

The background of the cover is a photograph of a beach at sunset. The sun is low on the horizon, casting a warm, golden glow over the scene. The sky is a mix of orange and yellow, and the water reflects this light. The beach is in the foreground, with gentle waves lapping at the shore. In the distance, a line of trees is visible against the horizon.

**ERNEST  
HEMINGWAY**

**Rajski ogród**

**Czytelnik**

**Ernest Hemingway**

# **Rajski ogród**

**(Przełożyła: Mira Michałowska)**

## OD TŁUMACZA

W późnych latach pięćdziesiątych, niedługo przed samobójczą śmiercią, Ernest Hemingway otrzymał list od dyrektora hotelu Ritz w Paryżu. W czasie remontu znaleziono w przepastnych piwnicach tego wielkiego gmachu dwie walizy pozostawione tam na przechowaniu bez mała czterdzieści lat wcześniej. Jedna z nich — właściwie kufer — wyklejona była wzorzystym jedwabiem według mody lat dwudziestych. Zawierały poza kilkoma sztukami męskiej bielizny i parą sandałów cały stos grubych brulionów z żółtego i niebieskiego papieru — gęsto zapisanych ołówkiem. Były to szczegółowe zapiski dotyczące paryskich lat autora i mnóstwo szkiców, notatek, a także — jak się później okazało — gotowe dzieła literackie.

Część notatek pochodzących z lat dwudziestych wykorzystał Hemingway do stworzenia książki pt. *Ruchome święto*, wydanej pośmiertnie w 1964 r., a u nas, w przekładzie Bronisława Zielińskiego, w 1966 r.

Gdy książka ta znalazła się w rękach krytyków literackich, jakież było ich zdumienie. Dowiedzieli się bowiem z jej lektury, że ich dotychczasowy pogląd na młodzieńczą twórczość Hemingwaya był z gruntu fałszywy. Uważano dotychczas, że autor świadomie tę swoją twórczość ukrywał i dążył do tego, żeby jego pierwszą wydaną w 1926 r. powieść *Słońce też wschodzi* uważano powszechnie za początek jego wszelkich wysiłków literackich (nie licząc oczywiście szczupłego tomiku złożonego z kilku opowiadań i garstki wierszy a zatytułowanego *Three Stories and Ten Poems*, który ukazał się w 1923 r. i minął niemalże bez echa). Miało to ścisły związek z jego pierwszym romansiem i pierwszym wielkim zawodem miłosnym. A było tak: w 1918 r. młodziutki Ernest Hemingway zostaje ranny na froncie włoskim, w czasie ratowania postrzelonego kolegi. Dostaje w nogi odłamkami pocisku z moździerza. Zawieziono go do mediolańskiego szpitala wojskowego, gdzie pielęgnuje go śliczna młoda dziewczyna, o kasztanowych włosach i szarych przepastnych oczach, Agnes Kuronsky.

Agnes twierdziła, że jej ojciec był generałem w polskiej (?) armii, że pochodzi z arystokratycznej rodziny, i przyznawała się do tego, że jest o dziewięć lat od Ernesta starsza.

A ten zakochał się w niej po uszy, oświadczył się o rękę i został przyjęty. Do szpitala doprowadzały go wprawdzie jej rozliczne flirty z lekarzami i pacjentami szpitala, ale zwierzył się swojemu najbliższemu przyjacielowi, Billowi Horne, że oddałby za nią wszystko, że jest jego ideałem kobiety.

Niebawem, z nogami pełnymi metalowych odłamków, dwoma włoskimi medalami za waleczność na piersi i sercem pełnym Agnes, powrócił Ernest do swojego kraju, do Oak Park, w stanie Illinois, i zabrał się do pisania opowiadań, żeby zarobić magiczną sumę dwustu dolarów miesięcznie. Agnes przyrzekła mu bowiem, że jeśli uzyska on taki dochód, to przyjedzie i zostanie jego żoną. Ale już w marcu (a był rok 1919) otrzymał od niej list, w którym zawiadamiała go, że uważa ich romans za dziecinadę, że wychodzi za mąż za włoskiego hrabiego i życzy mu wszelkiej pomyślności. Wiadomość ta przyprawiła młodego pisarza o długotrwałą depresję. Ucieka do Michigan, do rodzinnego letniego domu, gdzie samotnie spędza wiele tygodni na polowaniu, łowieniu ryb, spacerach i rozmyślaniu. Pióra nie bierze do ręki. Gdy to wreszcie czyni, uczy się pisać zupełnie na nowo, tak jak rekonwalescent uczy się chodzić. Píše więc powoli, mozolnie, bardzo krótkimi, bardzo lapidarnymi zdaniem, bez upiększeń, bez jakiegokolwiek kokieterii.

Postać Agnes pojawiać się będzie później w wielu jego utworach. Jej pełnym wcieleniem jest także pielęgniarzka, Catherine Barkley, z *Pożegnania z bronią*, którą notabene uśmierca.

Gdy w 1921 r. spotyka swoją późniejszą i pierwszą żonę, Hadley Richardson, postanawia całkowicie zerwać z przeszłością, rozpocząć nowe życie. Żeni się, młodzi wyjeżdżają do Paryża, tam spotykają cały krąg amerykańskich ekspatriantów—pisarzy, zgrupowanych dokoła Gertrudy Stein, nawiązują przyjaźnie z takimi ludźmi jak Ezra Pound, Scott Fitzgerald, Dos Passos, Picasso i oczywiście z samą Gertrudą i jej przyjaciółką, Alicją Toklas.

W Paryżu Hemingway zarabia na życie jako korespondent kanadyjskiej gazety „Toronto Star” i po nocach pisze „na serio”. Gdy wreszcie ukaże się *Słońce też wschodzi*, jest to niespodzianka dla jego przyjaciół i natychmiastowy sukces literacki i wydawniczy. I, jak się już rzekło, zostaje uznana za jego absolutny debiut.

Powróćmy teraz do *Ruchomego święta*, przeskakując ni mniej, ni więcej tylko 39 lat. Albowiem w książce tej opisane jest wydarzenie, które (jak się miało w jeszcze kilka lat później okazać było mistyfikacją) położyło kres spekulacjom na temat młodszej twórczości pisarza. Wydarzenie z tych, co to nawiedzają czasami pisarzy w szczególnie paskudnych okresach ich życia. Otóż zwierza się swoim czytelnikom Hemingway, że w 1922 r. Hadley zgubiła, dosłownie zgubiła, wszystkie jego rękopisy wszystkich dotychczas napisanych utworów wraz z maszynopisami i kopiami.

Hemingway przebywał wtedy w Szwajcarii, gdzie odbywała się jakaś konferencja pokojowa, z której musiał wysłać do „Toronto Star” sprawozdania. Stęskniona za mężem Hadley postanowiła zrobić mu niespodziankę, przywieźć mu cały jego literacki dorobek, namówić go na pojechanie z nią do jakiegoś górskiego ustronia, gdzie mógłby spokojnie oddawać się pracy literackiej. Wyobrażała sobie naiwnie, że pisarz nie może pracować, jeżeli nie ma przy sobie wszystkiego, co dotychczas stworzył. Na dworcu Gare de Lyon w Paryżu postawiła walizkę z pracami Ernesta na peronie, by po chwili zorientować się, że została okradziona.

A teraz pomówmy jeszcze o odnalezionych w Ritzu walizkach. Wkrótce po śmierci Ernesta zajrzała do nich czwarta żona, Mary. Znalazła tam aż dziewięć gotowych książek, w tym jedną pełną powieść. Kolejno ofiarowywała je wydawcy męża, Scribnerowi. Ukazywały się w niewielkich odstępach czasu, kreując nieustanną obecność niezżyjącego pisarza na literackiej arenie świata. Że na samym dnie kufra znalazła Mary młodsze opowiadania, jakie jej poprzedniczka Hadley miała jakoby lekkomyślnie pozostawić na peronie paryskiego dworca, mieliśmy się dowiedzieć dopiero po jej własnej śmierci.

W 1972 r. zdeponowała ona całą mężowską niepublikowaną jeszcze spuściznę literacką, wszystkie jego „papiery”, w bibliotece im. Johna F. Kennedy’ego w Massachusetts. Gdy zabrali się do niej specjaliści, okazało się, że cała ta historyjka o Gare de Lyon i złodzieju była przez Ernesta zmyślona, co więcej, że Hemingway przez całe swoje życie nie wyrzucił ani jednego kawałka zapisanego przez siebie papieru, innymi słowy, że wszystko ocalało, nawet to, czego nigdy nie zamierzał pokazać światu.

Ale umarłych już nikt nie pyta o zdanie, chyba że obwarowali się testamentami. Toteż w 1986 r. młody historyk literatury, Peter Griffin, wydobył na światło dzienne najwcześniejsze z nich, pięć króciutkich opowiadań, i umieścił je w pierwszym tomie swojej biografii pisarza.

I bardzo dobrze się stało. Mamy bowiem nareszcie autentyczne pierwociny hemingwayowskiej prozy. Są to teksty może nie dopracowane i jeszcze niedojrzałe, ale jakże fascynujące. Fascynujące przede wszystkim właśnie ze względu na sposób ich pisania, na fakt, że prezentują narodziny STYLU. Później, doprowadzony przez autora do perfekcji, wydał mu się on, być może, jak gdyby karykaturą rodzaju, który uprawiał.

Przytoczę tu dla przykładu jedno z tych opowiadań, pochodzących z legendarnych już walizek z piwnicy paryskiego Ritza. Nosi ono tytuł: „Bob White”.

Oto ono:

„Bob White został powołany do wojska, przydzielono go do jednostki sanitarnej i wysłano do Europy. Przyjechał do Francji na jakie trzy dni przed zawieszeniem broni. Pierwszego wieczoru po powrocie do domu zjawił się w swoim klubie i opowiedział kumplom różne historie. Mówił, że ma Żelazny Krzyż, który odebrał zabitemu niemieckiemu oficerowi. Że w odległości czterdziestu mil od linii frontu hałas jest gorszy niż w samych okopach. Francuzi nie podobali mu się. Niektórzy zapręgają bydło do pługów. Wszystkie francuskie dziewczyny mają szerniałe zęby. Są zupełnie inne niż nasze dziewczyny. Bob bywał w najlepszych francuskich rodzinach, więc wie, co mówi. Bob twierdzi, że francuscy żołnierze w ogóle nie walczyli. Byli starzy i pracowali głównie przy robotach ziemnych. Tak naprawdę to Marines też nie walczyli. Widział ich mnóstwo. Same kanarki. Kręcili się dokoła doków i po całym Paryżu.

Ludzie ze Wschodniego Wybrzeża nie lubią Francji i Marines też nie bardzo. Szczególnie odkąd Bob powrócił z wiadomościami z pierwszej ręki”.

Trudno wyobrazić sobie opowiadanie krótsze i bardziej lapidarne. Bo oto sylwetka bohatera nakreślona kilkoma zaledwie pociągnięciami pióra — niczym słynny byk Picassa — jakże ostra, jakże wyraźna. Oto stosunek Amerykanów do Francuzów. Oto nastrój bitwy. I trochę ironii, i masa dowcipu. I jakże mało przymiotników. Proszę je przeliczyć.

Najbardziej charakterystyczną cechą hemingwayowskiego stylu jest jego dialog.

Klasycznym tego przykładem jest krótka rozmowa — zawarta w jednym z jego wczesnych opowiadań, bo już z lat paryskich, no i nie pochodzącego z żadnego tam spleśniałego kufra.

Jeden ze znanych amerykańskich krytyków literackich Ward Just tak wyobraża sobie metodę pracy młodego autora.

„Gdzieś chyba w roku 1927 — pisze — młody Ernest Hemingway zasiadł do biurka, by napisać opowiadanie pt. «Wzgórza jak białe słonie». W pierwszej wersji napisał następujący urywek dialogu pomiędzy kobietą a mężczyzną:

- Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?
- Wszystko, co zechcesz.
- No to, proszę cię, przestań już mówić.

To są dobre, mocne zdania, naprawdę dobry urywek— dialogu. Ale coś nie daje Hemingwayowi spokoju. Gwałtownym ruchem wyciąga kartkę papieru z maszyny i przeredagowuje je. Brzmi to teraz:

- Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? .
- Wszystko, co zechcesz.
- No to, proszę cię, proszę, proszę, proszę, przestań już mówić”.

Żaden pisarz tak dotychczas nie pisał, ale już wkrótce miały to robić całe zastępy młodych, często wcale nie tak młodych, pisarzy na całym świecie. Wszędzie tam, gdzie docierały, w lepszych lub gorszych przekładach, jego dzieła. Styl hemingwayowski zawładnął literaturą środkowej części naszego stulecia. Okazało się nagle, że dobre zdanie to zdanie krótkie, że dobry dialog musi mieć rytm staccato, nawet jeżeli żywi ludzie wcale tak nie mówią. Przymiotniki stały się rzeczą wręcz wstydliwą, zaczęto wykreślać je niemiłosiernie, czasami ze szkodą dla sprawy. Największą sztuką było znalezienie jednego przymiotnika, który zastępowałby dwa, trzy a nawet cztery. Wielu miał i ma Hemingway naśladowców, a to — zdaniem jego najpierw wielkiej przyjaciółki, a potem wielkiej przeciwniczki, Gertrudy Stein — najlepiej świadczy o tym, że jest geniuszem. Według jednej z jej przewrotnych teorii — a dotyczyło to zarówno pisarzy, jak malarzy — dzieło sztuki albo „wsiąka w ścianę”, czyli po pewnym czasie staje się niezauważalne i trzeba je wynieść do komórki, albo staje się przedmiotem naśladownictwa, ba, często nawet plagiatu. Twórca pierwszego powinien przestać tworzyć, a w gruncie rzeczy powinien sobie strzelić w łeb, twórca zaś drugiego nadal pobudzać innych do naśladowania i oczywiście tworzyć dalej.

*Rajski ogród*, powieść, jaką dajemy do rąk polskim czytelnikom, nie pochodzi z żadnego lamusa. Od 1946 roku przez następnych piętnaście lat pisarz pracował nad nią z większymi czy mniejszymi przerwami.

Ukazała się jednakże w 25 lat po jego śmierci i jest ostatnia z pośmiertnej serii. Jej pierwsza wersja miała 48 rozdziałów i 1500 stron, druga 1200 stron, trzecia 400.

Cała ta wielka góra zadrukowanego papieru wylądowała pewnego dnia na biurku jednego z najzdolniejszych współczesnych redaktorów literackich, pracownika firmy Scribner Sons, Toma Jenksa. Opowiada on, że po starannym wczytaniu się we wszystkie trzy wersje, w końcu zdecydował się na pracowanie nad pierwszą, czyli najdłuższą.

„Wycinając kierowałem się następującym kryterium — mówi. — Usunąłem jeden długi poboczny wątek, którego autor nie potrafił jakoś zintegrować z głównym. Wydobyłem z rękopisu pełne i absolutnie autentyczne dzieło... myślę, że gdyby to Hemingway robił, wyciąłby to samo”.

Jenks pracował z ogromnym szacunkiem dla autora, nie dodając od siebie ani jednego słowa, jedynie czyszcząc nie dopracowany oryginał, tak jak piele się klomb szlachetnych kwiatów.

Należałoby się może zastanowić nad tym, dlaczego tak wprawny fachowiec jak Hemingway nie mógł sobie z tym tekstem poradzić, a skoro już tak było, dlaczego wkładał weń tyle wysiłku i czasu, dlaczego nigdy tej właśnie powieści nie zaproponował swojemu wydawcy, dlaczego wreszcie w obliczu takiej sytuacji nie zniszczył go, względnie, dlaczego nie pozostawił żadnych dyspozycji co do jego losu.

Ogólnie przypuszcza się, że przyczyna tkwi w fakcie, że powieść poświęcona jest miłości biseksualnej i lesbijskiej. Bohaterami *Rajskiego ogrodu* są młody pisarz i jego równie młoda żona, znajdujący się w kilka tygodni po ślubie na francuskiej Riwierze. Spotykają tam inną młodą kobietę, do której oboje poczują neodparty pociąg. Mąż i żona zamieniają się czasami rolami, on udaje kobietę, ona mężczyznę. Jedno i drugie łąduje w łóżku z tą trzecią, i tak dalej. Jednym słowem jest to książka o rzeczach, które dziś na pewno nikogo nie zgorszą, ale które jeszcze stosunkowo niedawno uchodziły za drastyczne. A Hemingway drastyczności nader nie lubił. Jest rzeczą wprost zadziwiającą jak on, ten „prawdziwy mężczyzna”, który wyżywał się w niebezpiecznych, jakże często przez niego samego kreowanych sytuacjach, stronił od opisów scen miłosnych, opisów nagości (jego kobiety zdawały zaczynać się od głowy), od wszelkiej niemal erotyki. Mój ty Boże, jeżeli w *Komu bije dzwon* jego bohaterowie w końcu już śpią ze sobą, to robią to w śpiworze i po ciemku. On, który nieustannie albo polował w Afryce i to na grubego zwierza, albo przyglądał się walce byków w Hiszpanii, łowił ogromne ryby na wodach Kuby, pchał się pod kule w wojnach



domowych i nie domowych, latał byle jakimi prywatnymi samolotami (czego kiedyś o mały włos nie przypłacił życiem, gdy po katastrofie leżał długo ciężko ranny w buszu, aż doczekał się pomocy i pewnie w głowie układał sobie opowiadanie na ten temat), który uważał, że mężczyzna powinien żyć niebezpiecznie albo wcale, i który wreszcie, gdy zawiodło go zdrowie, strzelił sobie w usta z obu luf dubeltówki, otóż że ten symbol męskości, krzepy i sex-appealu był w gruncie rzeczy – co tu ukrywać – pruderyjny.

Jak się już rzekło, pracował nad *Rajskim ogrodem* przez 35 lat i niemało się nad nim natrudził. W znanej biografii pisarza Carlos Baker twierdzi, że Hemingway powiedział mu pewnego razu, że jego zdaniem „każdy człowiek musi utracić swój raj”. Fascynowało go samo pojęcie absolutnego szczęścia, czyli raju, w którym musi pojawić się kusiciel – w naszym przypadku kusicielka (co u osób biseksualnych przecież wychodzi na jedno) – i spowodować wygnanie. Tak więc wszyscy jesteśmy wygnańcami i tym właśnie tłumaczy się nasza człowiecza dola, taka jaką znamy, taka jaka jest.

*Rajski ogród* miał niezliczoną ilość recenzji, nie zawsze pochlebnych, ale zawsze chwalaących wydawcę i redaktora książki za to, że ją nam udostępnili. Stanowi ona bowiem, jak powiedział w „New York Review of Books” znany krytyk literacki, Wilfred Sheed, „kwintesencję wszystkiego, w co wierzył Ernest Hemingway, tego, co go najbardziej interesowało: pojednanie w ekstremalnych sytuacjach ofiary z katem, ściganego z ścigającym, kobiety z mężczyzną i przemienianie się jednego w drugie”.

Tenże Sheed ostrzega nas jednakże przed zbyt głębokim wnikaniem się w dzieło literackie, a szczególnie w motywacje literackie Hemingwaya. Każda następna analiza dzieł tego pisarza mówi nam mniej o nim niż poprzednia. Więc może lepiej skończyć z tą krótką próbą wyjaśnienia, „o co mu chodziło”, i zabrać się do lektury dzieł Davida Bourne'a, jego żony, Katarzyny – zwanej przez niego Diablicą – i kusicielki o dźwięcznym imieniu Marita. Życzymy państwu dobrego odbioru.

M. M.

# **Księga pierwsza**

## ***Rozdział pierwszy***

Mieszkali wtedy w Grau du Roi, w hotelu nad kanałem, który biegł od otoczonego murami miasteczka Aigues Mortes prosto do morza. W oddali, na skraju płaskowyżu Camargue, wznosiły się wieże domów Aigues Mortes i każdego niemal dnia o jakiejś porze jeździli tam na rowerach, sunąc wzdłuż białej, równoległej do kanału drogi. Rano i wieczorem wraz z odpływem pojawiały się w wodzie okonie wprawiając w dziki popłoch kielbie, więc przyglądali się ich próbom ucieczki, atakującym ich okoniom i wzbierającej morskiej toni. Stojąc na molo przecinającym błękitną, spokojną powierzchnię wody, łowili ryby, wylegiwali się na plaży, pływali i codziennie pomagali rybakom przy wyciąganiu na piasek długiej, pełnej ryb sieci. W narożnej kawiarence z widokiem na morze popijali aperitify i przyglądali się żaglom łodzi rybackich poławiających makrele w Zatoce Lwiej. Była późna wiosna, sezon na makrele w pełni, toteż rybacy ciężko pracowali. Było to miłe i przyjazne miasteczko. Młodym podobał się hotel, który miał tylko cztery pokoje na pierwszym piętrze, restaurację na dole, od strony kanału i latarni morskiej, i dwa stoły bilardowe. Pokój, w którym mieszkali, przypominał pokój z obrazu van Gogha w Arles, tyle że miał dwa okna, z których rozciągał się widok na morze i grzędzawiska, łąki, białe domy i połyskliwą plażę miasteczka Palavas.

Choć jedli doskonale, byli stale głodni. Byli głodni przed śniadaniem, które jadali w kawiarence; maślane bułeczki, białą kawę, jajka i dżem, przy czym zamawianie takiego czy innego rodzaju dżemu i określanie, jak mają być przyrządzone jajka, sprawiało im wielką przyjemność. Byli zawsze tak głodni przed śniadaniem, że dopóki nie podano kawy, dziewczyna często skarżyła się na ból głowy. Kawę piła bez cukru i młody człowiek próbował to zapamiętać.

Tego ranka podano im bułeczki i dżem z malin, jaja na miękko w jajecznikach i kawałeczki masła, które topiło się w gorącym jajku, posypanym lekko solą i pieprzem. Były to duże, świeże jajka, z tym że te, które dostała dziewczyna, gotowano krócej niż

te, które podano młodemu człowiekowi. To też potrafił bez trudu zapamiętać. Jego przyrządzone były na pół-miękko, brał je po kawałeczku łyżeczką, zwilżone roztopionym masłem, świeże jak poranek, przyprawione ostrym, grubo zmielonym pieprzem. Smakowała mu gorąca kawa w filiżance a także biała z dodatkiem cykorii, nalana do miseczki.

Łodzie rybackie wypłynęły daleko w morze. Ruszyły, kiedy jeszcze było ciemno, z pierwszym podmuchem bryzy i właśnie wtedy dziewczyna i młody człowiek przebudzili się i zaczęli nasłuchiwać, a potem zwinęli się na powrót w kłębek, nakryli prześcieradłem i zasnęli. Kochali się na pół przebudzeni, kiedy na dworze było już zupełnie jasno, ale w pokoju niemal ciemno, a potem leżeli obok siebie, zmęczeni i szczęśliwi, i po chwili znowu zaczęli się kochać. Po tym zrobili się tacy głodni, że byli przekonani, iż nie dożyją śniadania, a teraz siedzieli w kawiarence i jedli, i patrzyli na morze i na żagle, i wiedzieli, że nastał nowy dzień.

— O czym myślisz? — spytała dziewczyna.

— O niczym.

— Musisz o czymś myśleć.

— Po prostu czuję...

— Co czujesz?

— Czuję się szczęśliwy.

— A ja wciąż jestem głodna. Jak myślisz? Czy to normalne, że jest się tak strasznie głodnym po miłości?

— Jeżeli się jest zakochanym.

— Och, ty za dużo wiesz o tych sprawach.

— Wcale nie.

— Wszystko mi jedno. Strasznie lubię to robić, a w ogóle to nie powinniśmy się niczym przejmować, prawda?

— Niczym.

— Co będziesz dzisiaj robić?

— Sam nie wiem. A ty?

— Mnie jest wszystko jedno. Jeżeli pójdziesz na ryby, to wezmę się do pisania listów, a potem, przed samym obiadem, moglibyśmy popływać.

— Dla nabrania apetytu?

— Nawet tego nie mów. Już jestem głodna, a jeszcze nie skończyliśmy śniadania.

— Pomyślmy o obiedzie.

— A po obiedzie?

— Zdrzemniemy się trochę, jak grzeczne dzieci.

— To zupełnie nowy pomysł — powiedziała dziewczyna. — Dlaczego nie pomyśleliśmy o tym wcześniej?

— Mnie przytrafiają się takie przebłyski intuicji — odparł. — Należę do ludzi typu wynalazczego.

— A ja do ludzi typu destruktywnego — i na pewno cię zniszczę. Umieszczą na ścianie tego budynku przy naszym pokoju tablicę. Obudzę się w środku nocy i zrobię ci coś niewyobrażalnego, coś takiego, o czym nigdy w życiu nie słyszałeś. Miałam to zrobić ostatniej nocy, ale byłam zbyt senna.

— Jesteś zbyt senna, żeby być niebezpieczna.

— Tylko nie utwierdzaj się w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa.

Och, kochanie, niech ten czas już zleci, niech już będzie pora obiadu.

Siedzieli tak w pasiastych rybackich bluzach i w szortach, które kupili w sklepie z przyborami żeglarskimi, i bardzo byli opaleni, włosy wyblakły im od słońca i słonej wody, całe były w jasnych pasemkach. Niektórzy ludzie nie chcieli wierzyć, że są małżeństwem, co szalenie bawiło dziewczynę.

W owych latach niewiele osób przyjeżdżało latem do Camargue, a już do Graiss du Roi nie zaglądał nikt poza może kilkoma osobami z Nîmes. Nie było tam ani kasyna gry, ani lokali rozrywkowych i z wyjątkiem najgorętszych miesięcy, kiedy ludzie zjawiali się, żeby popływać, hotel nie miał ani jednego gościa. Nikt nie ubierał się wtedy w bluzy rybackie, a ta dziewczyna, dziewczyna, z którą się właśnie ożenił, była pierwszą dziewczyną, jaką znał, która coś takiego na siebie włożyła. To ona zakupiła te bluzy, jedną dla siebie i jedną dla niego, i przeparała je w umywalce ich pokoju, żeby straciły aperturę. Bluzy te były sztywne i odporne na niepogodę, lecz po wypraniu zrobiły się miększe, a teraz były już wystarczająco znoszone i sprane i zauważył — gdy przyglądał się dziewczynie — że sfatygowany już trochę materiał pięknie uwydatnia jej piersi.

Nikt w miasteczku nie nosił szortów, zresztą dziewczyna też nie nakładała ich, kiedy wybierała się gdzieś na rowerze. Ale w miasteczku mogła, bo tam wszyscy byli

im życzliwi i tylko miejscowy ksiądz trochę się krzywił. Ale w niedzielę dziewczyna zjawiała się na nabożeństwie w spódnicy i kaszmirowym swetrze z długimi rękawami i chustce na głowie, zaś młody człowiek pozostał przy drzwiach w grupie innych mężczyzn. Na tacę położyli dwadzieścia franków, co wynosiło wówczas przeszło dolara, a jako że sam ksiądz zbierał pieniądze, ich stosunek do kościoła został zauważony i od tego czasu fakt, że w miasteczku pokazywali się w szortach, uznany został raczej za oznakę ekscentryczności cechującą cudzoziemców niż za dowód pogardy dla kodeksu moralnego portów Camargue. Ksiądz nie rozmawiał z nimi, gdy byli ubrani w szorty, ale też nie krytykował ich głośno, a wieczorem, kiedy wszyscy troje mieli na sobie spodnie i spotykali go na ulicy, kłaniał im się, a oni — jemu.

— Pójdę pisać listy — odezwała się dziewczyna, wstała, uśmiechnęła się do kelnera i opuściła kawiarnię.

— Monsieur wybiera się na ryby? — zapytał kelner, kiedy młody człowiek, który nazywał się David Bourne, przywołał go, żeby zapłacić.

— Chyba tak. Jak z odpływem?

— Bardzo dobrze. Jeżeli pan sobie życzy, to mogę panu dostarczyć przynętę.

— Kupię sobie po drodze.

— Nie, nie. Proszę wziąć moją. To glisty. Pełno ich tu wszędzie.

— A nie poszedłby pan ze mną?

— Teraz pracuję. Ale może później wyskoczę, żeby zobaczyć, jak panu idzie. Ma pan wszystko, co trzeba?

— Tak, w hotelu.

— Niech pan wpadnie po glisty.

W hotelu młody człowiek najpierw chciał pójść na górę do pokoju, do dziewczyny, ale rozmyślił się i wziął z za kontuaru, za którym wisiały klucze, długą bambusową wędkę i koszyk z ekwipunkiem, po czym wyszedł na słoneczną drogę, wstąpił do kawiarenki i ruszył na molo. Słońce prażyło, ale wiała orzeźwiająca bryza, odpływ był w pełni. Żałował, że nie wziął ze sobą spinningu z wirową błyską, bo wtedy mógłby zarzucać linkę stojąc po drugiej stronie kanału, pod prąd wody płynącej po grubych kamieniach, ale zamiast tego dobrze umocował swoją długą wędkę, zaopatrzoną w spławik z korka, a hak z glistą wpuścił na taką głębokość, na jakiej przypuszczał, że ryby szukają żeru.

Przez pewien czas siedział spokojnie, ale szczęście nie sprzyjało mu, więc przyglądał się łodziom poławiającym makrele, które sunęły tam i sam po powierzchni wody, tu błękitnej, tam poszarzałej od cieni rzucanych przez żeglujące wysoko na niebie chmury. Nagle pływak zanurzył się gwałtownie, linka naprężyła się, więc chwycił wędkę i przyciągnął ją do siebie w kierunku przeciwnym do tego, w którym ciągnęła ryba. A ryba była silna, szarpała i rzucała się dziko, linka ze świstem przecinała powierzchnię wody. Próbował trzymać wędkę najluźniej, jak tylko mógł, ale wyginała się do granicy wytrzymałości i własnej, i ryby, która usiłowała odpłynąć w kierunku otwartego morza. Młody człowiek szedł za nią przez molo i próbował zmniejszyć napięcie linki, ale ryba mocno ciągnęła i wkrótce jedna czwarta tyczki znalazła się pod powierzchnią.

Po chwili zjawił się szalenie podniecony kelner. Biegł obok młodego człowieka i wołał: — Nie puszczaj pan! Trzymaj pan mocno, ale delikatnie. Zmęcz się. Żeby tylko linka się nie urwała. Ostrożnie, panie! Ostrożnie!

Delikatniej niż młody człowiek nikt z pewnością nie potrafiłby się obchodzić z tą rybą, chyba żeby wskoczył do wody, ale to nie miało sensu, bo kanał był głęboki. Gdybym mógł chodzić za nią wzdłuż brzegu, pomyślał sobie. Wreszcie molo skończyło się. Przeszło połowa wędki znajdowała się teraz pod wodą.

— Delikatnie — zaklinał go kelner. — To twarda sztuka.

Ryba ciągnęła w dół, szarpała się na wszystkie strony, a długa bambusowa tyczka wyginała się pod jej ciężarem, napinała pod wpływem jej szybkich, gwałtownych ruchów. Nagle wyprysnęła cała rozdygotana na powierzchnię, prawie natychmiast zanurzyła się z powrotem i młody człowiek pomyślał, że chociaż wciąż robi wrażenie równie silnej, co przedtem, to ta dramatyczna walka chyba już trochę osłabła. Gdy dotarł do końca mola, zawrócił i zaczął iść wzdłuż kanału.

— Ostrożnie teraz — błagał kelner. — Bardzo ostrożnie. To wyjdzie jej na dobre i nam też.

Jeszcze dwa razy ryba próbowała wyrwać się w głąb morza i dwa razy młody człowiek przyciągnął ją z powrotem, a teraz wodził ją delikatnie wzdłuż mola w stronę kawiarenki.

— Jak z nią? — zapytał kelner.

— W porządku, mamy ją.

— Niech pan tego nie mówi. Trzeba ją zmęczyć. Zmęczyć ją. Zmęczyć.

— To moje ramię jest zmęczone — odparł młody człowiek.

— A może ja bym ją trochę pottrzymał? — zaproponował kelner z nadzieją w głosie.

— Skądże!

— No to teraz ostrożnie, ostrożnie, ostrożnie. Delikatnie, delikatnie, delikatnie — mruzczał kelner.

Młody człowiek z rybą na uwięzi minął taras kawiarenki i znów zaprowadził ją do kanału. Pływała tuż pod powierzchnią wody, ale była wciąż silna, więc zastanawiał się nad tym, czy będzie musiał prowadzić ją kanałem biegnącym przez całe miasteczko. Przyłączyło się do niego kilku ludzi, kiedy mijali hotel, dziewczyna zobaczyła ich przez okno i zawołała:

— Cóż za wspaniała ryba! Zaczekaj na mnie! Zaczekaj na mnie!

Z góry widziała bardzo wyraźnie i długość ryby, i jej połyskliwość, i swojego męża, który szedł z bambusową tyczką wygiętą niemal w pół i idącą krok w krok za nim grupkę ludzi. Biegiem dotarła na brzeg, do miejsca, w którym procesja się zatrzymała. Kelner stał w wodzie tuż przy brzegu, a jej mąż kierował rybą powoli w kierunku kępy chwastów. Ryba wychynęła na powierzchnię, kelner pochylił się, objął ją rękami, podniósł wbijając kciuki w skrzela i zaczął powoli sunąć brzegiem kanału. Była ciężka, więc niemal musiał przycisnąć ją do piersi, jej głowa sięgała jego podbródka, ogon bił go po udach.

Kilku mężczyzn klepało młodego człowieka po plecach, inni obejmowali go, a handlarka z rybnego targu pocałowała. Zaraz potem dziewczyna też go objęła i także ucałowała, a on zapytał: — Czy widziałaś ją?

A potem wszyscy poszli obejrzeć rybę, która leżała na drodze, srebrna niczym łosoś, z pasem koloru ciemnego metalu na grzbiecie. Piękna to była ryba, kształtna, o wielkich żywych oczach. Oddychała powoli, z trudem.

— Jak się nazywa? — zapytała dziewczyna.

— *Loup* — odparł młody człowiek. — Okoń morski. Nazywają je tu także *bar*. Wspaniała. Największa, jaką w życiu widziałem.

Kelner, któremu na imię było Andre, podszedł do nich, zarzucił Davidowi ręce na szyję, pocałował go, a potem pocałował także dziewczynę.

— To się należy, Madame — powiedział. — To się absolutnie należy.

Nikt nigdy nie złapał takiej ryby na taką wędkę.

— Trzeba ją będzie zważyć — zaproponował David.

Znajdowali się teraz w kawiarence. Młody człowiek po zważeniu ryby odstawił sprzęt i umył się, a ryba została ułożona na bloku lodu, przywiezionego z Nimes ciężarówką, która przyjechała, żeby zamrozić i zabrać połów makreli. Okazało się, że ryba waży nieco ponad piętnaście funtów. Leżąc na lodzie była srebrzysta, tyle że pas na jej grzbiecie poszarzał. Jej oczy zdawały się wciąż żywe. Łodzie rybackie z makrelami przybijały do brzegu i kobiety zaczęły wyładowywać z nich połyskliwe błękitniezielonkawosrebrzyste makrele, wkładać je do koszy, które stawiały sobie na głowie i zносиły do szopy. Połów okazał się obfity i w miasteczku zapanowała ożywiona radosna krzątania.

— Co zrobimy z tą wielką rybą? — zapytała dziewczyna.

— Oni zabiorą ją i sprzedadzą — odparł młody człowiek. — Jest za duża, żeby mogli ją tu ugotować, a twierdzą, że grzechem byłoby pokrajać ją na kawałki. Może pojedzie aż do Paryża. I skończy we wspaniałej restauracji. Albo kupi ją jakiś bogacz.

— Była taka piękna, gdy znajdowała się jeszcze w wodzie. A kiedy Andre ją podniósł, oczom nie wierzyłam. Patrzałam na was z góry przez okno i myślałam, że śnię. Ty i ci otaczający cię ludzie.

— Kupimy sobie mniejszą i każemy ją przyrządzić. To szalenie smaczne ryby. Mniejsze piecze się na ruszcie z masłem i ziołami. Smakują podobnie jak nasze amerykańskie okonie.

— Strasznie się podniecasz tą rybą — powiedziała dziewczyna. — Jak cudownie nam tutaj.

W porze obiadu byli bardzo głodni. Do selera w sosie *rémoulade*, do małych rzodkiewek i marynowanych domowym sposobem grzybków z wielkiego słoja pili także zamrożone białe wino. Okoń, zdjęty z rusztu, miał ciemne pasy na srebrnym grzbiecie, masło rozpląwało się na gorących talerzach. Podano im także plasterki cytryny do przyprawienia ryby i świeży chleb z pobliskiej piekarni, zimne wino chłodziło im języki, gdy jedli gorące frytki. Pili lekkie, wytrawne, zabawne i zupełnie nieznane białe wino, restauracja była z niego bardzo dumna.

— Nie jesteśmy szczególnie interesującymi rozmówcami w czasie posiłków — zauważyła dziewczyna. — Kochanie, czy ja cię nudzę?

Młody człowiek roześmiał się.

— Nie śmiej się ze mnie, Davidzie.

— Ależ skąd. Ty mnie nigdy nie nudzisz. Byłbym szczęśliwy od samego patrzenia na ciebie, nawet gdybyś się w ogóle nie odzywała.



Nalał jej jeszcze jeden kieliszek wina i napełnił własny.

— Mam dla ciebie wielką niespodziankę. Nic ci chyba nie mówiłam?

— Jakiego rodzaju niespodziankę?

— Och, bardzo prostą, ale i bardzo skomplikowaną.

— Mów.

— Może ci się spodoba.

— To brzmi trochę niebezpiecznie.

— Bo to jest niebezpieczne — zgodziła się. — Ale nie wypytuj mnie. Pójdę teraz do pokoju, jeżeli pozwolisz.

Młody człowiek zapłacił za obiad i nalał sobie resztę wina z butelki. Potem wszedł na górę. Rzeczy dziewczyny ułożone były na jednym z van goghowskich krzeseł, a ona leżała na łóżku nakryta prześcieradłem i czekała na niego. Włosy miała rozrzucone po poduszce, oczy roześmiane, a gdy zsunął z niej prześcieradło, powiedziała: — Halo, kochanie. Czy smakował ci obiad?

Potem leżeli, ona z głową na jego ramieniu, leniwi i pełni szczęścia. Dziewczyna kręciła głową to w jedną, to w drugą stronę, muskając włosami jego policzek. Poczul ich jedwabistość i lekką szorstkość, wywołaną działaniem słońca i morskiej wody. A potem z twarzą całą zakrytą włosami tak, że gdy poruszała głowę, łaskotały go trochę, zaczęła go lekko i dociekliwie pieścić i po chwili odezwała się głosem pełnym radości: — Chyba mnie naprawdę kochasz.

Skinął na znak zgody, ucałował czubek jej głowy, a potem ujął jej twarz w obie ręce i pocałował w usta.

— Och — wzdychała. — Och.

Leżeli przez długą chwilę, obejmując się ciasno, wreszcie odezwała się: — Kochasz mnie taką, jaka jestem, prawda? Na pewno?

— Tak. Bardzo.

— Bo mam się zamiar odmienić.

— O nie. Nie rób tego.

— A jednak to zrobię — odparła. — Dla ciebie. I dla mnie też. Nie będę udawać, że tak nie jest. Ale to będzie dobre dla nas obojga. Jestem tego pewna, chociaż nie powinnam tego teraz mówić.

— Lubię niespodzianki, ale podoba mi się wszystko tak, jak jest.

— To może powinnam z tego zrezygnować. Ach, jak mi smutno. To miała być taka wspaniała, niebezpieczna niespodzianka. Zastanawiałam się od kilku dni, czy to zrobić, i dopiero dziś rano zdecydowałam się.

— Jeżeli ci na tym naprawdę zależy.

— Naprawdę — odparła. — I zrobię to. Do tej pory podobało ci się wszystko, cośmy robili, prawda?

— Tak.

— To dobrze.

Wysunęła się z łóżka i stanęła wyprostowana, na długich opalonych nogach. Piękne jej ciało było brązowe od stóp do głów. Opalali się na dalekiej plaży, pływali bez kostiumów. Odrzuciła ramiona, uniosła podbródek do góry i potrząsała głową tak, że gęste złotobrunatne pukle smagały ją po policzkach, a potem opadały naprzód całkowicie zakrywając jej twarz. Naciągnęła pasiastą bluzę przez głowę, odrzuciła włosy w tył, usiadła przed lustrem toaletki i zaczęła szczytywać je z czoła, przyglądając im się krytycznie. Opadały jej aż do ramion. Potrząsnęła głową z niesmakiem, naciągnęła spodnie, zapięła pasek i nałożyła wyblakłe espadrile.

— Jadę do Aigues Mortes — oświadczyła.

— Doskonale. Ja też.

— Nie. Muszę pojechać sama. W związku z niespodzianką.

Pocałowała go na do widzenia i zeszła na dół. Patrzył, jak wsiadała na rower i z rozwianymi włosami spokojnie i bez wysiłku odjechała.

Popołudniowe słońce świeciło teraz prosto w okno, pokój stał się nieznośnie gorący. Młody człowiek umył się, nałożył spodnie i koszulę i ruszył na plażę. Wiedział, że powinien trochę popływać, ale był zmęczony, toteż po krótkim spacerze wzdłuż brzegu, a potem ścieżką przecinającą zasoloną trawę, która prowadziła w głąb lądu, powrócił na plażę, dotarł do portu, wdrapał się pod górę i wszedł do kawiarenki. Tam znalazł gazetę i ponieważ czuł się pusty i jakby wydrążony po kochaniu się z dziewczyną, zamówił sobie *fine à l'eau*.

Byli trzy tygodnie po ślubie i przyjechali pociągiem z Paryża do Avignionu, zabierając ze sobą rowery, walizkę z miejską odzieżą, plecak i torbę z przyborami toaletowymi. W Avignionie zamieszkali w dobrym hotelu i pozostawiwszy tam walizkę pojechali na rowerach do Pont du Gard. Ale wiał mistral, więc kierując się nim dotarli do Nimes, gdzie zatrzymali się w hotelu Imperator, a potem popedałowali do Aigues Mortes wciąż poganiani ciężkim wiatrem i dalej do Grau du Roi. Mieszkali tam od tej

chwili. Było im cudownie, czuli się naprawdę szczęśliwi. Młody człowiek nie wyobrażał sobie dotychczas, że można kogoś tak mocno kochać, tak mocno, że nic poza tym się nie liczy, że wszystko inne wydaje się nie istnieć. Kiedy się z nią żenił, miał wiele problemów, ale tutaj zapomniał o nich i o pisaniu, i w ogóle o wszystkim z wyjątkiem dziewczyny, którą kochał i która była jego żoną, i nawet nie przytrafiła mu się owa nagła, przerażająca jasność widzenia, jaką zwykle odczuwał po stosunku. Minęło mu to całkowicie. Teraz po tym jak się kochali, natychmiast czuli potrzebę zjedzenia czegoś i wypicia, a potem kochali się od nowa. Prosty był ich świat i miał wrażenie, że nigdy nie był prawdziwie szczęśliwy w żadnym innym świecie i że ona czuje to samo. W każdym razie takie robiła wrażenie, aż dzisiaj wyskoczyła z tym zamiarem odmienienia się i z tą niespodzianką. Ale mogło to się przecież skończyć zmianą na lepsze i miłym zaskoczeniem. Koniak z wodą, który popijał czytając miejscową gazetę, zrobił swoje i zaczął cieszyć się na to, co mu szykowała.

Po raz pierwszy od chwili wyruszenia w podróż poślubną pił whisky czy koniak bez niej. Ale przecież nie pracował, a jedyną jego zasadą dotyczącą alkoholu było nie pić tuż przed albo podczas pracy. Pomyślał, że chętnie by się znowu wziął do pisania, dobrze zresztą wiedział, że długo bez tego nie wytrzyma, i przyrzekł sobie, że postara się nie być zbyt samolubnym i wytłumaczy jej, najjaśniej jak tylko potrafi, że niestety niezbędna mu jest do tego samotność i że bynajmniej nie jest z tego dumny. Był pewien, że dziewczyna go zrozumie, że ma własne życie wewnętrzne, ale w gruncie rzeczy niechętnie o tych sprawach myślał, o rozpoczęciu pracy w obecnej sytuacji. Nie mógł oczywiście zacząć bez wyjaśnienia dziewczynie, jak z nim jest, ale zaczął się zastanawiać, czy ona przypadkiem czegoś nie podejrzewa i dlatego szuka czegoś nowego, czegoś, co mogłoby ich jeszcze bardziej scementować. Cóż to mogło być? Trudno przecież o mocniejszą więź niż ta, która ich łączy, po chwilach uniesień nie czuli ani śladu goryczy, byli w pełni szczęśliwi, kochali się, a potem odczuwali tylko głód, jedli i zaczynali od nowa.

Zorientował się, że wypił swoją *fine à l'eau* i że popołudnie ma się ku końcowi. Zamówił jeszcze jedną porcję i usiłował skupić się na treści gazety. Ale to się nie udało, więc zaczął patrzeć na morze, na które kładła się ciężka kula słońca, aż usłyszał jej kroki i jej głęboki ciepły głos: — Halo, kochanie.

Podeszła szybko do stolika, uniosła ku niemu swoją upstrzoną malutkimi piegami, opaloną na złoty kolor twarz i spojrzała nań roześmianymi oczyma. Włosy miała krótkie jak chłopiec. Ostrzyżone bez najmniejszego kompromisu. Zaczesane do

tyłu, jak dotychczas gęste, gładkie, brązowo-złote, ale bardzo krótkie po bokach, odsłaniały jej mocno przylegające do czaszki uszy. Podniosła głowę, wypięła pierś i powiedziała: — Pocałuj mnie, proszę.

Pocałował ją, spojrzął na nią, na jej włosy i znowu ją pocałował.

— Podobają ci się? Pogłaskaj je. Zobacz, jakie są miękkie. Dotknij ich z tyłu.

Dotknął ich z tyłu.

— Pogłaskaj mnie po policzku i koło ucha. I z boku. No widzisz. To jest moja niespodzianka. Jestem dziewczyną. Ale teraz jestem także chłopcem i mogę robić wszystko, wszystko i wszystko.

— Usiądź — odezwał się. — Co ci zamówić, braciszku?

— Dziękuję ci bardzo — odparła. — Zamów mi to samo, co ty pijesz.

Czy już zrozumiałeś, dlaczego to jest niebezpieczne?

— Zrozumiałem.

— Dobrze, że to zrobiłam, prawda?

— Może.

— Dlaczego może? Przemyślałam to. Przemyślałam do końca. Nie musimy się trzymać cudzych zasad. My to my.

— Było nam bardzo dobrze i żadne tam cudze zasady mi nie przeszkadzały.

— Proszę cię, przesun jeszcze raz rękę po moich włosach.

Zrobił to i znowu ją pocałował.

— Jesteś kochany — powiedziała. — Podobają ci się. Czuję to i wiem.

Nie musisz się nimi zachwycać, ale przecież mogą ci się podobać. Zacznij od polubienia ich.

— Już je lubię. Masz taką ładną, kształtną głowę i takie piękne kości policzkowe. Teraz je znacznie lepiej widać.

— A podobają ci się boki? — zapytała. — W tym nie ma żadnego humbugu, żadnej sztuczności. To jest prawdziwe chłopięce strzyżenie, a nie fryzura wymyślona w salonie fryzjerskim.

— Kto to zrobił?

— Fryzjer w Aigues Mortes. Ten sam, u którego byłeś w zeszłym tygodniu. Powiedziałaś mu wtedy, jak cię ma strzyc, więc zażądałam, żeby ostrzygł mnie tak samo. Był szalenie miły i wcale się nie dziwił. Ani się nie wahał. Zapytał tylko, czy

dokładnie tak samo? Więc powiedziałam, że tak, że dokładnie tak samo. Czy to cię nie zaskoczyło, Davidzie?

— O tak — odparł.

— Głupi ludzie będą ze mnie kpili. Ale musimy trzymać wysoko głowy.

Lubię trzymać wysoko głowę.

— Ja też — powiedział. — Zaczniemy już teraz, w tej chwili.

Siedzieli więc dalej w kawiarence i patrzyli, jak kula zachodzącego słońca odbija się w wodzie i jak zmierzch powoli ogarnia miasteczko, i pili *fine à l'eau*. Ludzie mijali kawiarenkę, żeby dyskretnie przyjrzeć się dziewczynie, bo ci dwoje byli w końcu jedynymi cudzoziemcami w miasteczku i przebywali tam już od trzech tygodni, a dziewczyna była piękna i wszyscy ją lubili. A poza tym on złowił rano tę wielką rybę i było w związku z tym wiele gadania, ale to, co się teraz stało, też stanowiło dla miasteczka niemałą sensację. Żadna przyzwoita dziewczyna nie kazała sobie dotychczas obciąć włosów na tak krótko i to nie tylko w tej części kraju, ale nawet w Paryżu, gdzie też uznano by to za dziwaczne i ryzykowne, bo mogło się okazać albo piękne, albo bardzo brzydkie, mogło znaczyć zbyt wiele albo służyć wyłącznie dla pokazania pięknego kształtu czaszki, na co lepszego sposobu nie ma.

Na kolację jedli krwiste befsztyki z tłuczonymi kartoflami i fasolą, i sałatę i dziewczyna zapytała go, czy mógłby zamówić wino Tavel.

— To jest wino w sam raz dla zakochanych — powiedziała.

Zawsze wyglądała na swój wiek, pomyślał. A ma teraz dwadzieścia jeden lat. Był z tego powodu dumny. Ale dzisiaj na swój wiek nie wygląda. Jej kości policzkowe uwypuklają się jak nigdy przedtem, a kiedy się uśmiecha, na jej twarzy rysuje się coś, co budzi litość.

Pokój był ciemny, oświetlony tylko padającym z zewnątrz światłem. Wiatr wiał od morza, zrobiło się chłodno, wierzchnie prześcieradło znikło z łóżka.

— Dave, przyrzeknij, że nie zmartwisz się, jeżeli nas diabli wezmą, dobrze?

— Nie, dziewczyno.

— Nie mów do mnie dziewczyno.

— To, czego teraz dotykam, wskazuje na to, że nią jesteś — dotykał jej piersi, otwierał i zcierał palce, wyczuwając jędrność sutek.

— One są częścią mnie samej — powiedziała. — A niespodzianka to coś zupełnie nowego. Zostaw je. Nie uciekną. Dotknij moich policzków i mojego karku. Tam jest zupełnie wspaniała, pyszna, czysta nowa skóra. Kochaj mnie, Davidzie, taką, jaką teraz jestem. Proszę cię o to, spróbuj mnie zrozumieć i kochaj mnie.

Zamknął oczy, poczuł na sobie jej smukłe, długie ciało, piersi napierające na jego pierś, na ustach jej usta. Leżał, wsłuchiwał się w siebie i po chwili jej ręka zaczęła go szukać i zsunęła się niżej, więc pomógł, a potem zapadli się w ciemność i zupełnie przestał myśleć i tylko czuł jej ciężar i coś obcego w środku, a wtedy odezwała się:

— Teraz już zupełnie nie wiesz, kto z nas jest kim, prawda?

— Nie wiem.

— Zmieniasz się, O tak. O tak. O tak, zmieniasz się. Jesteś moją dziewczyną. Moją Katarzyną. Czy pragniesz się zmienić, zostać moją Katarzyną i pozwolić, żebym ja ciebie wzięła?

— Katarzyna to ty.

— Nie. Ja nazywam się Piotr. To ty jesteś moją wspaniałą Katarzyną.

Moją cudowną, przepiękną Katarzyną. Jak to miło, że przemieniłeś się w nią. Zrozum to, proszę, naucz się tego i zrozum. Będę się z tobą kochała do końca świata.

Po pewnym czasie oboje jakby zdrętwieli, ogarnęła ich pustka, ale to nie był jeszcze koniec. Leżeli obok siebie w ciemnościach, dotykając się nogami, jej głowa na jego ramieniu. Księżyc przesunął się wysoko na niebo i w pokoju zrobiło się nieco jaśniej. Głaskała go po brzuchu i nie patrząc na niego spytała:

— Czy uznałeś mnie za sprostą?

— Skądże. Ale powiedz, czy od dawna o tym myślałaś?

— Od niedawna i nie przez cały czas, ale dużo. Jesteś wspaniałą, że się na to zgodziłaś.

Młody człowiek objął dziewczynę ramieniem i przycisnął ją mocno do siebie. Poczul nacisk jej wspaniałych piersi, pocałował jej kochane usta. Trzymał ją blisko i mocno i szeptał bezgłośnie: żegnaj, żegnaj i jeszcze raz żegnaj.

— Poleźmy tak objęci bardzo spokojnie i cicho i nie myślmy o niczym — powiedział, a jego serce biło w rytm słów: żegnaj, Katarzyno, żegnaj, moja cudowna dziewczyno, żegnaj i wszystkiego dobrego i jeszcze raz żegnaj.

## ***Rozdział drugi***

Wstał, rozejrzał się po plaży, zakorkował butelkę z olejkim, wsunął ją do bocznej kieszeni plecaka i poszedł w stronę morza, rozgarniając stopami chłodny mokry piasek. Spojrzał na dziewczynę, która leżała na wznak na opadającej lekko plaży, z zamkniętymi oczami, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, na jej kwadratowy ręcznik i na pierwsze źdźbła wiosennej trawy. Nie powinna zbyt długo trwać w tej pozycji, pomyślał, słońce pada na nią prawie prostopadle. Ale nie zatrzymał się, wskoczył do czystej zimnej wody, przewrócił na plecy i popłynął w głąb morza, kraulem, przez cały czas patrząc na plażę, która ukazywała mu się pomiędzy rytmicznymi uderzeniami rąk i nóg. Obrócił się, ponurkował na dno, dotknął szorstkiego piasku, jego ostrych krawędzi, wychynął na powierzchnię i skierował się ku brzegowi, starając się płynąć najwolniej jak tylko mógł. Podszedł do dziewczyny, która wciąż spała. Poszukał w plecaku zegarka, żeby się zorientować, czy należy ją obudzić. Znalazł butelkę zimnego białego wina, opakowaną w gazetę i kilka ręczników. Odkorkował ją, nie usuwając ani gazety, ani ręczników i pociągnął głęboki orzeźwiający łyk z niezgrabnego zawiniątka. Potem usiadł, by przyglądać się dziewczynie i morzu.

Woda jest zawsze zimniejsza, niż się wydaje na oko, pomyślał. Cieplesza staje się dopiero gdzieś w połowie lata. z wyjątkiem płytszych miejsc. Ta plaża opada dość gwałtownie, a woda jest lodowata. Dopiero po pewnym czasie zrobiło mu się ciepłej. Spojrzał ku horyzontowi i zauważył, że flota rybacka przesunęła się na zachód. Potem popatrzył znów na uśpioną dziewczynę. Leżała na zupełnie już teraz suchym piasku, a kiedy poruszała nogami, łagodny wietrzyk rozpylał piasek.

W środku nocy poczuł dotyk jej palców, błędzących po jego ciele. A kiedy się obudził, zobaczył w świetle księżyca, że znowu posłużyła się ciemną magią przemiany, lecz gdy zagadnęła go, nie powiedział nic, ale odczuł tę jej przemianę tak silnie, że przeszył go ostry ból, a kiedy było po wszystkim i oboje całkowicie wyczerpani opadli na poduszki, szepnęła, drżąc na całym ciele: — Teraz było tak jak trzeba. Teraz dopiero było naprawdę tak jak trzeba.

Tak, pomyślał. Teraz było jak trzeba. Po chwili raptownie zasnęła, jak to się zdarza młodym dziewczynom, i leżała przy nim, na boku, jakże piękna w świetle

księżycą z tą wspaniałą, zupełnie nową i jakże dziwną linią głowy odcinającą się od bieli poduszki, i wtedy pochylił się nad nią i szepnął: — Jestem przy tobie. Niezależnie od tego, co jeszcze wyroi się w twojej głowie, jestem z tobą i kocham cię.

Gdy się rano obudził, był szalenie głodny, ale postanowił poczekać na nią ze śniadaniem. Wreszcie pocałował ją, więc ocknęła się, uśmiechnęła, wciąż zaspana wstała, umyła się w wielkiej misce i pochyłona przed lustrem szafy szczotkowała sobie włosy. Patrzyła na swoje odbicie z powagą, wreszcie jednak uśmiechnęła się, dotknęła czubkami palców swoich policzków, naciągnęła przez głowę pasiastą bluzę i pocałowała go. Wyprostowała się i wpierając się piersiami w jego pierś powiedziała:

— Nic się nie martw, Davidzie. Twoja dziewczyna wróciła do ciebie.

Mimo to przygnębiała go myśl o tym, co się z nimi stanie, skoro wypadki rozwijały się tak żywiołowo, tak niebezpiecznie i tak szybko. Cóż to może być, co nie chce spłonąć nawet w tak gwałtownie gorejącym ogniu? Byliśmy szczęśliwi. Jestem pewny, że ona też była szczęśliwa. Co prawda, któż to może wiedzieć. A poza tym kim jesteś, żeby być sędzią i sądzić, a zresztą kto brał udział, kto zaakceptował przemianę, kto ją tak głęboko przeżył? Jeżeli ona właśnie tego pragnie, to jakim prawem chcesz jej odmówić? Masz szczęście, że trafiła ci się taka żona, nie być przy niej szczęśliwym to grzech. Ale przecież jesteś szczęśliwy. Wino ci w tym pomaga. Lecz co będziesz pił, kiedy wino przestanie na ciebie działać?

Wyjął olejek z plecaka i posmarował nim podbródek i policzki dziewczyny, w bocznej kieszeni plecaka znalazł wyblakłą chustkę i nakrył nią jej piersi.

— Czy muszę się obudzić? — zapytała. — Mam wspaniały sen.

— To wyśnij go do końca.

— Dziękuję.

Po kilku minutach westchnęła głęboko, potrząsnęła głową i usiadła. — Chodźmy do wody — zaproponowała.

Poszli więc razem do wody i wypłynęli daleko, a potem nurkowali i baraszkowali jak foki. Powrócili na plażę, wytarli się ręcznikami, po czym podał jej butelkę z winem, które wciąż było chłodne w opakowaniu gazet, i każde z nich mocno pociągnęło. Spojrzała na niego i roześmiała się.

— Przyjemnie gasić pragnienie winem — powiedziała. — Nie masz chyba nic przeciwko temu, żebyśmy byli braćmi?

— Nie — wysmarował jej czoło, nos, policzki i podbródek olejkiem i po chwili jeszcze bardzo dokładnie nad i za uszami.



— Chcę się dobrze opalić za uszami, na karku i na skroniach. Wszystkie te nowe miejsca.

— Jesteś już bardzo ciemny, braciszku. Sam nie wiesz, jaki ciemny.

— To dobrze, ale chciałabym być jeszcze ciemniejsza.

Położyli się na twardym piasku, który był już suchy, ale wciąż chłodny, mimo że od pewnego czasu odpływ się kończył. Młody człowiek nalał sobie olejku na dłoń i rozprowadził go po udach dziewczyny, a one, w miarę jak skóra go pochłaniała, połyskiwały coraz to cieplejszym brązem. Potem smarował jej brzuch i piersi, aż dziewczyna zrobiła się od tego senna i szepnęła.

— Nie wyglądamy na braci, kiedy zachowujemy się tak jak teraz, co?

— Nie.

— Staram się być naprawdę dobrą dziewczyną — mruzczała. — Nie myśl o niczym do wieczora. Nie dopuścimy do tego, żeby nocne sprawy mieszały się do naszego dnia.

W hotelu listonosz popijając wino czekał na dziewczynę z grubą kopertą, zawierającą listy przekazane przez jej paryski bank. Dla niego też miał trzy listy, nadane do jego banku i przedadresowane. Była to pierwsza poczta, jaką otrzymali od chwili, kiedy posłali do Paryża nowy adres. Młody człowiek wręczył listonoszowi pięć franków i zaprosił go do cynowego kontuaru na jeszcze jeden kieliszek. Dziewczyna zdjęła klucz z haka i powiedziała: — Idę na górę umyć się, spotkamy się w kawiarence.

Wysączył wino, pożegnał się z listonoszem i poszedł wzdłuż kanału do kawiarenki. Przyjemnie było usiąść w cieniu, szczególnie, że z dalekiej plaży wracał po słonecznej stronie i z gołą głową. W kawiarence było przytulnie i chłodno. Zamówił sobie wermut z wodą sodową, wyjął scyzoryk i zabrał się do rozcinania kopert. Wszystkie trzy listy były od jego wydawcy, przy czym dwie koperty zawierały wycinki z prasy i korektę notek reklamowych. Przejrzał wycinki i zabrał się do czytania długiego listu. Wesołego i pełnego ostrożnego optymizmu. Jeszcze może za wcześnie, żeby się można było zorientować, jak książka się rozejdzie, ale wszystko wskazuje na to, że dobrze. Większość recenzji jest doskonała. Oczywiście i parę mniej pochlebnych. Ale tego należy się spodziewać. W recenzjach znalazł kilka podkreślonych zdań, które prawdopodobnie zamierzano wykorzystać w ogłoszeniach. Wydawca żałował, że nie może mu jeszcze powiedzieć, jak książka się będzie sprzedawała, bo z zasady nigdy nie bawi się w przepowiednie. To zły obyczaj. Ale najważniejsze, że książka została naprawdę dobrze przyjęta. Prawdę mówiąc sensacyjnie. Zresztą autor zorientuje się

sam, jak przeczyta wycinki. Pierwsze wydanie wynosiło pięć tysięcy egzemplarzy i po ukazaniu się recenzji wydawnictwo zdecydowało się na drugie. W najbliższym czasie ukażą się ogłoszenia z nadrukiem „Wkrótce drugie wydanie”. Wydawca wyrażał nadzieję, że autor jest zadowolony i że wykorzystuje dobrze zasłużony odpoczynek. Załączał najlepsze pozdrowienia dla żony autora. Młody człowiek pożyczył od kelnera ołówek i zaczął mnożyć \$ 2.50 przez tysiąc. To mu poszło łatwo. Dziesięć procent od tej sumy to dwieście pięćdziesiąt dolarów. Pomnożyć przez pięć tysięcy dwieście pięćdziesiąt. Odjąć siedemset pięćdziesiąt dolarów zaliczki. Pozostaje pięćset dolarów na czysto z pierwszego wydania.

Teraz drugie wydanie. Powiedzmy dwa tysiące egzemplarzy. Czyli dwanaście i pół procent od pięciu tysięcy dolarów. Chyba tak jest w umowie. Do jego kieszeni wpłynęłoby sześćset dwadzieścia pięć dolarów. Ale może dwanaście i pół procent zaczynają wypłacać, dopiero kiedy nakład osiągnie dziesięć tysięcy? No nic, nawet wtedy należałoby mu się pięćset dolarów. Nie biorąc pod uwagę pozostałych tysiąca egzemplarzy.

Zabrał się do czytania recenzji i po chwili zorientował się, że nie wiadomo kiedy wypił cały kieliszek wermutu. Zamówił więc drugi i zwrócił kelnerowi ołówek. Kiedy dziewczyna z grubą kopertą pełną listów weszła do kawiarenki, był wciąż jeszcze pogrążony w lekturze recenzji.

— Nie wiedziałam, że dostałeś wycinki! — zawołała. — Pokaż je. Pokaż, bardzo cię proszę.

Kelner przyniósł jej także kieliszek wermutu i nachylając się nad nią zauważył zdjęcie.

— *C'est Monsieur?* — zapytał.

— Tak, to on — odparła dziewczyna i przesunęła wycinek tak, żeby kelner mógł je lepiej obejrzeć.

— Tyle że inaczej ubrany — zauważył kelner. — Czy oni piszą o państwa ślubie? I czy można zobaczyć zdjęcie Madame?

— Nie o ślubie. To są recenzje z książki Monsieur.

— To nadzwyczajne — ucieszył się kelner. — Czy Madame także pisze?

— Nie — dziewczyna nie przerywała lektury wycinków. — Madame jest gospodynią domową.

Kelner roześmiał się z dumą. — Madame na pewno gra w filmach.

Oboje zagłębili się w czytaniu, a po chwili dziewczyna podniosła głowę i powiedziała: — To straszne. To przerażające, co oni o tobie piszą. Jak możemy być sobą i zachować to, co mamy, jeżeli ty miałbyś być taki jak w tych recenzjach?

— Przedtem też już o mnie pisano — odparł młody człowiek. — To jest szkodliwe, ale mija.

— To okropne. Mogłoby cię zniszczyć, gdybyś za dużo myślał o tym, co oni piszą, albo im uwierzył. Nie wyobrażasz sobie chyba, że wyszłam za ciebie dlatego, że jesteś taki, za jakiego oni cię uważają?

— Nie. Przeczytam te recenzje, a potem włożymy je do koperty i zakleimy ją.

— Rozumiem, że chcesz je przeczytać. Nie myśl, że histeryzuję. Ale nawet w kopercie nie wolno ich nosić przy sobie. To tak jak podróżować z czyimiś prochami w słoiku.

— Znam mnóstwo kobiet, które byłyby szczęśliwe, gdyby ich cholerny małżonek miał takie recenzje w prasie.

— Ja to nie mnóstwo ludzi, a ty nie jesteś moim cholernym małżonkiem. Nie kłóćmy się, bardzo cię proszę.

— Skądże. Przeczytaj je i pokaż, jeżeli znajdziesz w nich coś dobrego, szczególnie jakąś interesującą uwagę, coś inteligentnego, na cośmy sami nie wpadli. Wiesz, ta książka przyniosła nam już trochę pieniędzy.

— Wspaniale. Cieszę się. Ale przecież wiemy, że jest dobra. Nawet gdyby recenzenci uznali ją za kiepską, gdyby nie przyniosła nam złamanego centa, byłabym równie dumna i szczęśliwa jak teraz.

A ja nie, pomyślał młody człowiek, ale tego głośno nie powiedział. W dalszym ciągu czytał wycinki z recenzjami, rozkładając je, składał z powrotem i wsuwał do koperty. Dziewczyna zaś otwierała swoje koperty i pobieżnie przeglądała listy. Po chwili wyjrzała przez okno na morze. Twarz jej była koloru ciemnego złota, włosy szczesane prosto z czoła wyglądały jak wygładzone przez prąd morskiej wody. Tam gdzie były świeżo obcięte a także na skroniach słońce wybieliło je do tego stopnia, że odcinały się od jej opalonej skóry jak złoty puch. Patrzyła w morze bardzo smutnymi oczami. Potem powróciła do otwierania listów. Był wśród nich jeden długi, pisany na maszynie, który czytała ze skupieniem. Potem przejrzała jeszcze kilka listów. Młody człowiek patrzył na nią i myślał, że wygląda trochę tak, jak gdyby łuskała zielony groszek.

— Jest tam coś ciekawego? — zapytał.

- W niektórych czeki.
- Na duże sumy?
- Owszem, dwa czeki są spore.
- To świetnie — zauważył.
- Nie wyłączaj się. Zawsze mówiłeś, że ci to nie sprawia różnicy.
- Nic nie mówiłem.
- Nie. Po prostu wyłączyłeś się.
- Przepraszam — powiedział. — Czy to rzeczywiście duże sumy?

— Nie takie znowu duże. Ale przydadzą nam się. Wpłacili je na moje konto. Dlatego, że wyszłam za męża. Mówiłam ci, że najlepiej będzie, jak się pobierzemy. To nie jest wielki majątek, ale nie będziemy się musieli liczyć z groszem. Możemy wydać te pieniądze, to nikomu nie zaszkodzi, są wyłącznie na to przeznaczone. One nie są częścią mojego normalnego dochodu ani tego, co otrzymam, jak skończę dwadzieścia pięć lat albo jeżeli dożyję trzydziestki. Są dla nas obojga, na teraz, na każdą zachciankę. Żadne z nas nie będzie się przez pewien czas musiało martwić o stan swojego konta. Na tym to polega.

— Dochód ze sprzedaży mojej książki pokrył już zaliczkę i przyniósł mi tysiąc dolarów na czysto — oświadczył.

- To wspaniale, szczególnie że tak niedawno się ukazała.
- To całkiem niezłe. Czy napijesz się jeszcze wermutu? — zapytał.
- Wolalabym coś innego.
- Ile wypiałś?
- Jeden kieliszek. Musi być bardzo słaby.
- Ja wypilem dwa i nawet nie poczułem smaku.
- Czy istnieje jakiś prawdziwy trunek? — zapytała.
- Piłaś kiedy Armagnaka z wodą sodową? To jest naprawdę coś.
- Dobrze. Spróbujmy.

Kelner przyniósł im Armagnaka i młody człowiek poprosił go o butelkę Perriera zamiast syfonu z wodą. Kelner nalał dwie duże porcje do szklanek, młody człowiek wrzucił kilka kawałków lodu i zalał je Perrierem.

— To nas załatwi — oświadczył. — Picie czegoś tak mocnego przed obiadem jest zabójcze.

Dziewczyna pociągnęła duży łyk. — Pyszne — oświadczyła. — Ma jakiś taki czysty, zdrowy paskudny smak. — Wypiła drugi łyk. — To to się naprawdę czuje.

— Owszem — młody człowiek nabrał powietrza w płuca. — Owszem, to się czuje.

Łyknęła jeszcze raz, uśmiechnęła się i dokoła jej oczu ukazały się drobne zmarszczki. Zimny Perrier ożywił ciężki koniak.

— Zdrowie bohaterów.

— Nie mam nic przeciwko temu, żeby zostać bohaterem — powiedziała dziewczyna. — Jak to dobrze, że nie jesteśmy podobni do innych ludzi.

Nie musimy mówić do siebie kochanie, najdroższa i różne takie, żeby wszystko było dla nas jasne. Kochanie i najdroższa, i najukochańsza i takie powiedzonka uważam za wręcz nieprzyzwoite. My zwracamy się do siebie po prostu po imieniu. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi? Nie musimy robić tego, co wszyscy.

— Bardzo z ciebie inteligentna dziewczyna.

— W porządku, Davie. Nie zanudzajmy się. Powinniśmy podróżować i to właśnie teraz, bo już nigdy nie będzie nam to sprawiało tyle radości. Będziesz robił wszystko, na co masz ochotę. Gdybyś był Europejczykiem i miał adwokata, moje pieniądze i tak byłyby twoje. Są twoje.

— Do diabła z pieniędzmi.

— W porządku. Do diabła z pieniędzmi. Trzeba je wydawać i będzie cudownie. Potem zaczniesz sobie znów pisać. W ten sposób skorzystamy z życia, zanim urodzę dziecko, to też coś warte. Zresztą, skąd mogę wiedzieć, kiedy zajdę w ciążę? Ale wiesz, gadanie zamienia wszystko w proch i nudę. Czy nie moglibyśmy po prostu żyć bez żadnego gadania?

— A jeżeli zechce mi się pisać? Wystarczy, że się czegoś nie robi, żeby mieć na to ochotę.

— No to będziesz pisał, głuptasie. Przecież mi nie przyrzekałeś, że nie będziesz pisał. Nie było w ogóle mowy o tym, żebym miała ci to mieć za złe.

Ale gdzieś kiedyś musiała być o tym mowa, tyle że teraz nie mógł sobie przypomnieć kiedy, głównie dlatego, że intensywnie myślał o tym, co będzie.

— Jeżeli masz ochotę, to proszę cię bardzo, ja sobie świetnie poradzę. Czy musisz być sam, kiedy piszesz, chyba nie?

— A dokąd chciałabyś pojechać, jak zaczną tu napływać turyści?

— Gdziekolwiek. Tam gdzie ty.

— Na jak długo?

— Na jak długo zechcesz. Na sześć miesięcy. Na dziewięć. Na rok.

— Świetnie — powiedział.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Jesteś nadzwyczajny. Gdybym cię nie kochała za inne rzeczy, kochałabym cię za samą już umiejętność podejmowania decyzji.

— Łatwo je podejmować, kiedy się jeszcze nie wie, jak niektóre fatalnie się kończą.

Wypił to, co pozostało w szklance po toaście za bohaterów, ale resztką już nie była smaczna, więc zamówił świeżą butelkę Perriera i zrobił sobie małego drinka, bez lodu.

— Zrób mi też takiego. Poczekamy, aż podziąła, i pójdziemy na obiad.

## ***Rozdział trzeci***

Tej nocy w łóżku w ciemności, tuż przed zaśnięciem, powiedziała do niego: — Nie musimy co noc robić tych diabelskich rzeczy. Pamiętaj o tym, bardzo cię proszę.

— Wiem.

— Przedtem też mi było cudownie. Zawsze będę twoją dziewczyną.

Nigdy nie będziesz samotny. Chcę, żebyś o tym wiedział, jestem taka, jaką chcesz, żebym była, ale jestem też taka, jaką sama pragnę być, i tak jest dobrze dla nas obojga. Nic nie mów. Opowiadam ci po prostu bajeczkę na dobranoc, a ty jesteś moim cudownym mężem i jednocześnie bratem.

Kocham cię, a jak pojedziemy do Afryki, będę twoją afrykańską dziewczyną.

— Więc jedziemy do Afryki?

— A nie jedziemy? Czy nie pamiętasz? Przecież wyjaśniliśmy sobie wszystko. Że pojedziemy, gdzie nam się żywnie spodoba. Czyżbyśmy tego nie postanowili?

- Dlaczego mi tego jasno nie powiedziałaś?
- Nie chcę ci niczego narzucać. Mówiłam przecież, że pojedziemy, gdzie zechcesz. A zdawało mi się, że masz ochotę na Afrykę.
- Na Afrykę jest za wcześnie. Tam teraz padają silne deszcze, a zaraz potem trawa jest za wysoka i robi się zimno.
- Moglibyśmy leżeć w łóżku, to nam będzie ciepło, i słuchać stukania deszczu w dach.
- Mówię ci, że jest za wcześnie. Drogi toną w błocie, nie można się nigdzie ruszać, jedno wielkie grzęzawisko. Trawa rośnie tak wysoko, że wszystko zasłania.
- No to dokąd jedziemy?
- Moglibyśmy pojechać do Hiszpanii, ale w Sewilli jest już po wszystkim, w San Isidro też. Na Hiszpanię jest też za wcześnie. Na wybrzeże baskijskie także. Wszędzie teraz leje.
- Czy nie ma jakichś miejsc o gorącym klimacie, gdzie można by było sobie pływać tak jak tutaj?
- W Hiszpanii nie mogłabyś pływać tak jak tutaj. Aresztowaliby cię.
- Co za nuda. Więc zaczekajmy z wyjazdem, bo chciałabym się jeszcze trochę mocniej opalić.
- Dlaczego pragniesz być taka ciemna?
- Sama nie wiem. Dlaczego się w ogóle czegoś pragnie? W tej chwili mam akurat na to ochotę, większą niż na cokolwiek innego. To znaczy na coś takiego, czego nie mamy. Czy nie podnieca cię to, że staję się z dnia na dzień ciemniejsza?
- Owszem, bardzo mi się to podoba.
- Czy wyobrażałaś sobie, że potrafię się tak opalić?
- Nie, jesteś w końcu blondynką.
- Ale ja mogę dlatego, że jestem spod znaku Lwa, a lwy bywają ciemne. Chcę być brązowa na całym ciele i powoli do tego dochodzę, ty także będziesz bardzo ciemny, ciemniejszy od Indianina, to nas jeszcze bardziej wyróżni spośród innych ludzi. Już teraz rozumiesz, dlaczego to takie ważne?
- To czym wtedy będziemy?
- Nie wiem. Może po prostu sobą. Tyle że trochę inni. To chyba najlepsze, co się może człowiekowi przytrafić. I będziemy podróżowali, prawda?

– Naturalnie. Moglibyśmy pojechać w okolice Estérelu i rozejrzeć się. Pewnie znajdziemy jakieś dobre miejsce, tak samo jak znaleźliśmy to.

– Świetnie. Jest tam mnóstwo zupełnie dzikich plaż i nikt nie przyjeżdża latem. Wynajmiemy samochód i pojedziemy. Może nawet do Hiszpanii, jeżeli przyjdzie nam na to ochota. Jak się opalimy na brąz, to nie będzie trudno utrzymać tej opalenizny, chyba że będziemy mieszkali w mieście. Ale czy to ma sens latem?

– Długo jeszcze zamierzasz się opalać?

– Chcę być tak ciemna, jak się tylko da. Zresztą, zobaczymy. Szkoda, że nie mam w sobie indiańskiej krwi. Chcę być tak ciemna, żeby ci to zaczęło działać na nerwy. Nie mogę się doczekać jutrzejszej plaży.

Zasnęła na wznak z odrzuconą w tył głową i wysuniętym podbródkiem, zupełnie jak gdyby leżała w słońcu na plaży, oddychała cichutko. A potem obróciła się na bok, zwinęła w kłębek, przytuliła do niego i młody człowiek nie mógł zasnąć, myślami wracał do wydarzeń dnia. Niewykluczone, że wcale nie uda ci się pracować, myślał, ale nie męcz się tym, ciesz się z tego co masz. Jak poczujesz konieczność pisania, weźmiesz się do roboty. Wtedy nic cię nie powstrzyma. Ostatnia książka wyszła dobrze, następna musi być jeszcze lepsza. Ten nonsens, w któryśmy się wdali, jest całkiem zabawny, chociaż zupełnie nie wiadomo, ile w tym fikcji, a ile prawdy. Picie koniaku w południe to głupota, ale zwykły aperitif przestał na nas działać. To też zły znak. Ona przemienia się z dziewczyny w chłopca, z chłopca w dziewczynę zupełnie bez wysiłku i z dużą przyjemnością. Zasypia łatwo, śpi smacznie i ja także powinienem spać spokojnie, bo ostatecznie jedyna rzecz, której jestem pewny, to to, że jest mi dobrze. Wszystko, co mówiła o pieniądzach, okazało się prawdą. W ogóle wszystko okazało się prawdą. Przez pewien czas będziemy żyli za darmo.

Ale zaraz. Co ona takiego powiedziała o niszczeniu? Nie mógł sobie przypomnieć. Coś na ten temat powiedziała, ale co?

Wkrótce zmęczyły go te rozmyślania. Spojrzał na dziewczynę, pocałował ją leciutko w policzek, ale jej nie obudził. Kochał ją bardzo, kochał w niej wszystko. Zasnął myśląc o miękkości jej policzka, gdy go dotykał wargami, i o tym że nazajutrz opalą się jeszcze trochę, i o tym, jak ciemna może się stać dziewczyna i jak ciemna w końcu będzie.



## Księga druga

### *Rozdział czwarty*

Było późne popołudnie i mały niski samochodzik sunął po czarnej drodze przecinającej wzgórze i nie zaorane pola, jasny na tle granatowej smugi oceanu, a potem skręcił w prawo i wjechał na pusty bulwar, biegnący wzdłuż żółtych piasków płaskiej plaży w Hendaye. Na samym jej końcu, od strony oceanu, wznosiły się masywne bryły wielkiego hotelu i kasyna, a po lewej stronie ciągnął się rząd świeżo zasadzonych drzew i kilka willi zbudowanych w stylu baskijskim, o białe tynkowane ścianach poprzecinanych ciemnymi belkami i okolonnych drzewami i krzewami. Dwoje młodych ludzi przejechało wolno przez bulwar patrząc na wspaniałą plażę i na niebieskie w tym świetle pasmo gór Hiszpanii, minęli kasyno, wielki hotel i zatrzymali się dopiero na końcu bulwaru. Był odpływ, poprzez bezmiar jasnego piasku widać było domy starego hiszpańskiego miasta i zielone wzgórze wieńczące zatokę i sterczącą daleko w morzu latarnię morską.

— Co za cudowne miejsce — odezwała się dziewczyna.

— Tam jest kawiarenka i stoliki pod drzewami — powiedział młody człowiek. — Pod starymi drzewami.

— Te tutaj są dziwne — zauważyła dziewczyna. — Musieli je niedawno zasadzić. Ciekawa jestem, dlaczego posadzili mimozę.

— Żeby móc konkurować z naszą Camargue.

— Być może. To wszystko wygląda, jakby było wczoraj zbudowane. Ale plaża jest wspaniała. Nie znam plaży we Francji z takim gładkim, drobnym piaskiem. Biarritz jest potworne. Podjedźmy do tej kawiarni.

Zawrócili i ruszyli na prawą stronę drogi. Młody człowiek zatrzymał samochód przy krawężniku i zgasił motor. Weszli do ogródka. Miło było jeść tylko we dwójkę, z zupełnie obcymi ludźmi przy sąsiednich stolikach.

W nocy podniósł się wiatr i w ich narożnym pokoju na szczycie wielkiego hotelu słychać było huk ogromnych fal, rozbijających się o piaszczysty brzeg. W

ciemności młody człowiek naciągnął lekki koc na przeście radło i dziewczyna zapytała go: — Czy jesteś zadowolony, że zostaliśmy tu?

— Lubię słuchać szumu fal.

— Ja też.

Leżeli przytuleni do siebie i wsłuchiwali się w ocean. Położyła głowę na jego piersi, tuż pod jego podbródkiem, a potem przesunęła się, mocno przycisnęła policzek do jego policzka. Pocałowała go, poczuł dotyk jej ręki.

— Tak jest dobrze — szepnęła. — Czy mam się teraz przemienić?

— Nie teraz. Zimno mi. Trzymaj mnie i rozgrzej.

— Strasznie lubię cię tulić, kiedy jesteś zmarznięty.

— Jeżeli tu zawsze jest tak zimno nocą, to trzeba będzie spać w pidżamach. Przyjemnie będzie jeść śniadanie w łóżku i w pidżamach.

— Jesteśmy przecież nad Atlantykiem — zauważyła. — Posłuchaj tylko.

— Będzie nam tu dobrze. Jak chcesz, to zatrzymamy się na dłużej. Chyba że wolisz jechać dalej, to wyjedziemy. Jest tyle innych miejscowości.

— Zostańmy kilka dni, a potem się zobaczy.

— Dobrze. Jeżeli zostajemy, to chciałbym zacząć pisać.

— Wspaniale. Jutro rozejrzemy się za mieszkaniem. Na razie mógłbyś pracować w tym pokoju, kiedy będę wychodziła, prawda? Dopóki nie znajdziemy czegoś lepszego.

— Naturalnie.

— Nigdy się o mnie nie martw, kocham cię i pamiętaj, że jest nas dwoje przeciwko reszcie świata. Pocałuj mnie, proszę.

Pocałował ją.

— Nie chciałam nam zaszkodzić, rozumiesz to chyba? Ale musiałam to zrobić. To chyba też rozumiesz?

Nie odpowiedział, tylko wsłuchiwał się w noc i huk wielkich fal rozbijających się na wilgotnym, twardym piasku.

Nazajutrz morze było wciąż wzburzone, padało, wiał porywisty wiatr. Hiszpański brzeg był niewidoczny, a kiedy przejaśniało się pomiędzy jednym a drugim szkwałem, nad rozkołysaną zatoką ukazywały się czarne chmury spadające aż

do nasady gór. Po śniadaniu Katarzyna nałożyła płaszcz deszczowy i zostawiła go samego. Pisanie szło mu tak prosto i gładko, że obawiał się, iż okaże się nic niewarte. Bądź ostrożny, mówił do siebie, dobrze, że piszesz prosto, bo im prościej, tym lepiej, ale żebyś tylko nie zaczął, do cholery, zbyt prymitywnie myśleć. Najpierw zdaj sobie sprawę, jak skomplikowana jest rzecz, a potem wyraż ją w jak najmniej skomplikowanej formie. Nie wyobrażasz sobie chyba, że to, co się stało w Grau du Roi, było proste tylko dlatego, że potrafiłeś trochę z tego opisać bez wielkich słów?

Pisał ołówkiem w tanim liniowanym zeszytcie szkolnym, po francusku *cahier*, ze stroniczkami ponumerowanymi rzymskimi cyframi. Wreszcie przestał, zamknął zeszyt w walizce wraz z pudełkiem ołówków i temperówką w kształcie różka, pozostawiając pięć spisanych ołówków do zatemperowania nazajutrz rano, zdjął z wieszaka płaszcz deszczowy i zszedł do hallu. Zajrzał do baru, który był ponury i sympatyczny zarazem i z powodu deszczu miał już kilku klientów, po czym wrócił do portierni. Zastępca portiera wieszając jego klucz sięgnął do szpary na listy i powiedział:

— Madame zostawiła to dla Monsieur.

Rozłożył karteczkę i przeczytał: Davidzie, nie chciałam ci przeszkadzać, jestem w kawiarni, całuję Katarzyna. Nałożył płaszcz, z kieszeni wyjął boinę<sup>1</sup> i wyszedł na deszcz.

Siedziała przy narożnym stoliku w małej kawiarence, przed nią stała szklanka z jakimś przydymionym, żółtawym płynem i talerzyk, na którym znajdował się jeden mały czerwony raczek i skorupy po kilku innych. Była już trochę podchmielona: — Gdzie się podziewałaś, piękna nieznajomo?

— Przeszłam się kawalek. — Zauważył, że ma wilgotne policzki, i zajął się obserwacją skutków wystawiania twarzy na deszcz. Mimo wszystko bardzo ładnie wygląda, stwierdził z wielkim zadowoleniem.

— Dobrze ci szło? — zapytała dziewczyna.

— Nieźle.

— Więc pracowałeś? To świetnie.

Kelner zajęty był trzema Hiszpanami, którzy siedzieli przy stoliku koło drzwi. Teraz podszedł do nich trzymając w ręku butelkę napelnioną Pernodem i dzbanuszek z wąskim dziobem, pełen wody, w której pływały kawałki lodu.

---

<sup>1</sup> Boina (hiszp.) — beret.

— Dla Monsieur to samo? — zapytał.

— Tak — odparł młody człowiek. — Bardzo proszę.

Kelner napełnił ich szklanki do połowy żółtawym płynem i zaczął powoli wlewać wodę do porcji dziewczyny. Ale młody człowiek powiedział: — Ja to zrobię — i kelner odszedł zabierając ze sobą butelkę. Robił wrażenie zadowolonego, że udało mu się ją zabrać.

Młody człowiek nalewał wodę bardzo cienkim strumieniem i dziewczyna przyglądała się absyntowi, który powoli się opalizował. Poczowała ciepło płynu poprzez szkło szklanki. Po chwili płyn stracił opalizujący blask, zaczął nabierać mlecznej gęstości i szybko się ochładzał. Młody człowiek nalewał teraz wodę kropla po kropli.

— Dlaczego tak wolno? — zapytała dziewczyna.

— Absynt rozdziela się i jest nie do picia, kiedy zbyt szybko miesza się go z wodą — wyjaśnił. — Traci smak i robi się do niczego. Właściwie powinno się postawić na szklankę drugą, taką specjalną z dziurką, i napełnić ją lodem, który by się bardzo wolniutko skraplał. Ale wtedy wszyscy wiedzieliby, co się pije.

— Musiałam szybko wypić pierwszego drinka, bo weszło dwóch Geenów<sup>2</sup>.

— Geenów?

— Coś tam nationales. W mundurach koloru khaki i z czarnymi kaburami. Szybko wychleptałam poszlakę.

— Wychleptałaś poszlakę?

— No tak. Może trochę za dużo jej wychleptałam.

— Bądź ostrożna z absyntem.

— Dobrze mi robi, nabieram pewności siebie.

— Czy nie mogłabyś spróbować czego innego?

Skończył przyrządzanie jej drinka, uważając, żeby go zbyt nie rozwodnić. — No to pij — powiedział. — Nie czekaj na mnie. — Pociągnęła łyk, po czym on odebrał jej szklankę, napił się i powiedział: — Dziękuję pani. To dodaje mężczyźnie ducha.

— Zrób sobie własnego, czytelniku wycinków.

— Coś ty powiedziała?

— Nic.

Ale powiedziała, co powiedziała, więc mruknął: — Zamknij się, dobrze? Dlaczego nie przestajesz pleść o tych wycinkach?

---

<sup>2</sup> G.N. — Guard National — Gwardia Narodowa.

— Dlaczego? — zapytała i nachylając się nad nim dodała zbyt głośno: — Dlaczego miałabym się niby zamknąć? Tylko dlatego, że zabrałeś się dzisiaj do pisania? Czy uważasz, że zgodziłam się zostać twoją żoną, bo jesteś pisarzem? Ty i te twoje wycinki.

— No dobrze. Resztę powiesz mi, jak będziemy sami.

— I nie licz na to, że ci tego oszczędzę.

— Domyślam się.

— Nie masz się czego domyślać. Możesz być pewny.

David Bourne wstał, podszedł do wieszaka, wziął płaszcz i opuścił kawiarnię nie oglądając się za siebie.

Katarzyna uniosła szklankę i zaczęła małutkimi łyżkami popijać absynt.

Drzwi otworzyły się, ukazał się w nich David i podszedł do jej stolika.

Miał na sobie płaszcz, boinę nasunął nisko na czoło: — Czy masz kluczyki od samochodu?

— Tak — odparła.

— A możesz mi je dać?

Wręczyła mu je i powiedziała: — Nic bądź dumny, Davidzie. To przez ten deszcz, no i dlatego, że tylko ty pracowałeś. Siadaj.

— Czy naprawdę tego chcesz? '

— Proszę.

Usiadł. Gada bez sensu, pomyślał. Wstałeś, żeby wyjść, wsiąść do tego cholernego samochodu i przejechać się samemu, życzyłeś jej, żeby ją diabli wzięli, po czym okazuje się, że musisz wrócić po kluczyki i zaraz siadasz z powrotem przy niej jak dureń. Wziął swoją szklankę i napił się. Przynajmniej absynt był dobry.

— A co z obiadem? — zapytał.

— Powiedz, gdzie chcesz jeść, to pójdziemy razem. Przecież wciąż mnie kochasz, no mów?

— Nie bądź głupia.

— To była paskudna kłótnia — stwierdziła Katarzyna.

— I nasza pierwsza.

— Przeze mnie, nie powinnam była o tych wycinkach.

— Przestańmy już o tych przeklętych wycinkach.

— To wszystko przez nie.

— Bo myślałaś o nich, kiedy piłaś. Odbiły ci te wycinki.

— To brzmi zupełnie tak, jakbym je zwymiotowała — zauważyła. — Okropność. A to był tylko głupi żart. Właściwie to przejęczyłam się.

— Musiały ci chodzić po głowie, skoro tak nagle z nimi wystrzełaś.

— No już dobrze — powiedziała. — Myślałam, że skończyliśmy z nimi.

— W porządku.

— To dlaczego wracasz do nich i wracasz?

— Nie powinniśmy byli pić.

— Oczywiście, że nie. Szczególnie ja. Ale tobie ten absynt był naprawdę potrzebny. Czy nie uważasz, że ci dobrze zrobił?

— Musimy to ciągnąć dalej?

— Ja na pewno nie. To nuda.

— Nienawidzę tego cholernego słowa.

— Masz szczęście, że nienawidzisz tylko jednego słowa w całym języku.

— Cholera — mruknął. — Idź sobie sama na obiad.

— Nie mam zamiaru. Zjemy razem i będziemy się zachowywali jak ludzie.

— Zgoda.

— Przepraszani cię. To miał być żart, ale się nie udał. Słowo, Davidzie, to miał być tylko żart.

## ***Rozdział piąty***

Kiedy David Bourne się obudził, odpływ był w pełni, nad plażą świeciło słońce, morze miało odcień ciemnego granatu, w dali zieleń się świeżo wymyte wzgórze, a chmury rozeszły się całkowicie. Katarzyna wciąż spała, regularnie oddychając, a on patrzył na jej rozświetloną słońcem twarz i myślał, jakie to dziwne, słońce świeci jej prosto w oczy i wcale jej nie budzi.

Wziął prysznic, wyszorował zęby, ogolił się, poczuł wielką ochotę na śniadanie, ubrał szorty i sweter i rozłożył zeszyt, ołówki i temperówkę na stole pod oknem, przez które widać było ujście rzeki płynącej ku Hiszpanii. Wziął się do roboty i zupełnie zapomniał o Katarzynie i o widoku z okna i pisanie szło mu jak gdyby samo, co zdarza się tylko wtedy, kiedy komuś szczególnie sprzyja szczęście. Opisywał wszystko bardzo

dokładnie, a złowieszczą sprawę zaznaczył tak lekko, jak lekka jest w spokojny dzień drobna piana na gładkiej fali, wskazująca na obecność podwodnej skały.

Po pewnym czasie spojrzął na Katarzynę, która wciąż spała z uśmiechem na wargach. Prostokątna plama słońca oświetlała jej opalone ciało, jej ciemną twarz i ciemnozłote włosy, odcinające się od bieli prześcieradła i odsuniętej na bok poduszki. Za późno na śniadanie, pomyślał. Zostawię jej karteczkę, zejdę do kawiarni, zamówię sobie białą kawę i coś do zjedzenia. Ale kiedy wkładał przybory do pisania do walizki, Katarzyna obudziła się, podeszła do niego, pocałowała go w kark i powiedziała: — To ja, twoja naga, leniwa żona.

— Po co wstałaś?

— Sama nie wiem. Powiedz mi, dokąd się wybierasz, to będę tam za pięć minut.

— Do kawiarni, żeby coś zjeść.

— Idź, a ja zaraz przyjdę. Pracowałeś?

— Pewnie.

— To nadzwyczajne po tym, co było wczoraj i w ogóle. Jestem z ciebie dumna. Pocałuj mnie i spójrz na nasze odbicie w lustrze na drzwiach łazienki.

Więc pocałował ją i oboje spojrzeli w długie lustro.

— Jak to przyjemnie nie mieć na sobie za dużo łańców — odezwała się. — Bądź grzeczny i nie wdawaj się w żadne awantury po drodze do kawiarni. Zamów mi także *oeufs au plat avec jambon*<sup>3</sup>. I weź się od razu do jedzenia. Przykro mi, że kazałam ci tak długo czekać na śniadanie.

W kawiarni znalazł poranną gazetę miejscową i gazety paryskie z poprzedniego dnia i zamówił sobie kawę z mlekiem i sadzone jajka na szynce z Bayonne, które posypał odrobiną pieprzu i musnął musztardą, zanim przekłuł żółtko widelcem. Ponieważ Katarzyna nie nadchodziła i jej porcja zaczynała stygnąć, zjadł ją także, po czym wytarł płaski talerz kawałkiem świeżego chleba.

— O, idzie Madame — stwierdził kelner. — Zaraz przyniosę jej śniadanie.

Miała na sobie spódnicę, kaszmirowy sweterek i sznur pereł na szyi.

Kolor jej wilgotnych, gładko zaczesanych włosów zlewał się z niebywałą wprost opalenizną jej twarzy. — Co za piękny dzień — zauważyła. — Przepraszam za spóźnienie.

— Po co się tak wystroiłaś?

---

<sup>3</sup> Oeufs au plat... (fran.) — sadzone jajka na szynce.

— Jadę do Biarritz. Pojedziesz ze mną?

— Pewnie wolisz być sama?

— Tak, ale jeżeli chcesz, to bardzo cię proszę.

Wstał, a ona dodała: — Przywiozę ci niespodziankę.

— Nie, nie rób tego.

— Na pewno ci się spodoba.

— Pozwól mi z tobą jechać. Przypilnuję, żebyś nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

— Nie. Będzie lepiej, jak pojedę sama. Wrócę po południu. I nie czekaj na mnie z obiadem.

David przeczytał gazety, a potem poszedł do miasteczka, by rozejrzeć się za jakąś willą do wynajęcia, za dzielnicą, w której byłoby przyjemnie pomieszkać. Nowo zbudowane osiedle uznał za sympatyczne, ale nudne. Podobał mu się widok na zatokę i ujście rzeki płynącej ku hiszpańskiej granicy i stare szarawe kamienie Fuenterrabii, i połyskująca biel pobliskich domów, i pasmo brunatnych gór rzucających granatowe cienie. Zastanawiał się, dlaczego burza tak szybko przeszła, i doszedł do wniosku, że musiała być północną odnogą silnej burzy znad Zatoki Biskajskiej. Po francusku Biscay, po hiszpańsku Vizcaya. Za San Sebastian, wzdłuż brzegu zatoki, ciągnął się kraj Basków. Góry stanowiące tło dla dachów granicznego miasta Irun znajdowały się już w Guipuzcoa, dalej była Nawarra, po francusku Navarre. Ale co my właściwie tutaj robimy, pomyślał nagle, i co ja tu robię, po co zwiedzam nadmorską miejscowość kuracyjną, po co patrzę na te świeżo posadzone magnolie i te cholerne mimozy, po co rozglądam się za wywieszkami na fałszywych baskijskich willach do wynajęcia? Przecież nie pracowałeś dzisiaj tak intensywnie, żeby ci się w głowie pomieszało, a może masz po prostu kaca po wczorajszym wieczorze? Tak naprawdę, to dzisiaj nic nie działałeś. Lepiej zabierz się na serio do roboty, bo wszystko szybko mija i ty także i zanim się obejrzysz, już cię nie będzie. Może nawet już cię nie ma. W porządku. Nie zaczynaj filozofować. Tyle chyba się nauczyłeś. Więc wrócił przez miasto, ze wzrokiem wyostrzonym przez złość złagodzoną nieco smętnym pięknem dnia.

Wiatr od morza przewiewał pokój. David czytał siedząc na łóżku, plecy podparł dwiema poduszkami, trzecią wsunął sobie pod kark. Był senny po obiedzie i zmęczony czekaniem na Katarzynę, więc czytał i czekał. Usłyszał otwierające się drzwi i przez



sekundę nie poznał jej. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, okrytych kaszmirowym swetrem i oddychała jak po biegu.

— O nie! — zawołała. — Nie.

Po chwili znalazła się na łóżku i napierając na niego głową powtarzała: — Nie, nie. Proszę cię, Davidzie, czy ty nic a nic nie czujesz?

Przycisnął jej głowę mocno do swojej piersi. Była gładka, z króciutko obciętych włosami, szorstko jedwabista. Katarzyna wtulała się w niego coraz silniej.

— Coś ty znowu zrobiła, Diablico?

Uniosła głowę, spojrzała na niego, przycisnęła wargi do jego warg, poruszając nimi z boku na bok, przytuliła się do niego z całych sił.

— Teraz już jestem pewna, że wszystko wiesz. Jakże się cieszę. To było takie straszne ryzyko. Jestem zupełnie nową dziewczyną, więc zapoznajmy się z nią.

— Pokaż się.

— Pokażę ci się, ale pozwól mi na chwilę odejść.

Powróciła i stanęła przy łóżku, w padającym przez okno świetle słońca. Zrzuciła z siebie spódnicę i została boso, tylko w swetrze i z tymi perłami na szyi.

— Dobrze mi się przyjrzyj — powiedziała. — Bo jestem teraz właśnie taka.

Przyjrzał się dobrze jej długim opalonym nogom, wyprostowanemu ciału, ciemnej twarzy i ciemnozłotej, wymodelowanej głowie, a ona patrząc mu prosto w oczy powiedziała: — Dziękuję.

— Jakaś to zrobiła?

— Czy mogę ci to opowiedzieć w łóżku?

— Jeżeli zrobisz to szybko.

— Nie. Szybko nie. Po swojemu. Więc przede wszystkim wpadłam na tę myśl, kiedyśmy tu jechali, gdzieś w okolicy Aix en Provence. Chyba kiedy spacerowaliśmy po tym ogrodzie w Nimes. Ale jeszcze nie byłam pewna, czy to ma sens, no i nie wiedziałam, jak im wytłumaczyć, żeby to dobrze zrobili, i o co mi chodzi. Ale wszystko wykombinowałam i wczoraj zdecydowałam się na dobre.

David głaskał ją, przesuwając rękę od nasady jej karku poprzez głowę i czoło.

— Daj mi mówić — nalegała. — Byłam pewna, że w Biarritz znajdą się dobrzy fryzjerzy, chociażby ze względu na Anglików. Jak tam przyjechałam, poszłam do najlepszego zakładu i powiedziałam fryzjerowi, że chciałabym mieć grzywkę, więc szesał mi włosy na twarz i okazało się, że sięgają do nosa, tak że prawie nic nie

widziałam, no i zażądałam, żeby je obciął tak jakby chłopcu przed pójściem do jednej z tych prywatnych angielskich szkół. Zapytał mnie, jaką szkołę mam na myśli, więc powiedziałam, że Eton lub Winchester, bo akurat te przyszły mi do głowy z wyjątkiem może Rugby, a Rugby przecież odpada. Nalegał, żebym mu powiedziała dokładnie, o którą mi chodzi. Powiedziałam, że o Eton, i dodałam, że wszystkie włosy mają być szesane do przodu. Jak skończył, wyglądałam jak najładniejsza dziewczyna, jaka kiedykolwiek chodziła do Eton, toteż kazałam mu je skrócić, aż z Etonu nie pozostał najmniejszy ślad i nawet wtedy zmusiłam go do obcięcia ich jeszcze odrobinę. W pewnym momencie powiedział bardzo stanowczo, Mademoiselle, to nie jest strzyżenie á la Eton, na co odpowiedziałam, wcale nie chcę strzyżenia á la Eton, Monsieur. I dodałam, że to był jedyny sposób, w jaki potrafiłam mu wytłumaczyć, o co mi chodzi, a w ogóle, to nie jestem Mademoiselle tylko Madame. Potem kazałam mu je jeszcze trochę skrócić i teraz możesz to uczesanie uznać za wspaniałe albo za okropne. Nie przeszkadza ci grzywka?

Kiedy były á la Eton, wpadały mi do oczu.

— Są cudowne.

— Szalenie klasyczna fryzura. Dotknij moich włosów. Czy nie robią wrażenia sierści zwierzęcia futerkowego?

Dotknął jej włosów.

— Nie martw się, że mam głowę jak klasyczna rzeźba — odezwała się. — Moje usta to równoważą. Czy moglibyśmy się teraz kochać?

Pochyliła się, więc ściągnął z niej sweter i nachylił się, żeby otworzyć zameczek sznurka pereł.

— Zostaw je.

Położyła się na wznak na łóżku, mocno ściskając opalone nogi, z głową na prześcieradle i perłami odcinającymi się bielą od łagodnej ciemnej linii jej piersi. Zamknęła oczy, ramiona wyciągnęła wzdłuż ciała. Była zupełnie nową dziewczyną, zauważył, że nawet usta miała inne. Oddychała bardzo ostrożnie i szeptała: — Rób wszystko od początku. Od samego początku.

— Czy to jest właśnie początek?

— Właśnie to. I spiesz się, spiesz...

Przez całą noc leżała do niego przytulona, z głową na jego piersi, którą głaskała czule i delikatnie, a potem podciągnęła się w górę, położyła usta na jego ustach, objęła go ramionami i powiedziała: — Jesteś taki cudny i lojalny, kiedy śpisz i nie budzisz się, i wcale się nie budzisz. Myślałam, że już nigdy tego nie uczynisz, i byłam szczęśliwa. Jesteś taki lojalny. Czy myślisz, że to był sen? Nie budź się. Zaraz też zasnę, bo jak nie, to znowu stanę się dzikuską. Albo będę czuwała i czuwała nad tobą. Śpij i czuj, że jestem przy tobie. Proszę cię, zaśnij.

Kiedy z rana obudził się, piękne jej ciało tuliło się do niego, zobaczył jej ramię koloru wypolerowanego orzecha i jej kark, i jej głowę pokrytą gładkimi, króciutko obciętymi włosami, przypominającą małe zwierzątko, więc zsunął się niżej, obrócił ku niej i pocałował jej przysłonięte grzywką czoło, jej oczy, a na koniec, bardzo delikatnie, jej usta.

— Jeszcze śpię.

— Też spałem.

— Wiem. Jakie to dziwne. Przez całą noc było cudownie, bo dziwnie.

— Wcale nie dziwnie.

— Jak chcesz. Och, jak my do siebie pasujemy. Czy moglibyśmy jeszcze trochę pospać?

— Masz wielką ochotę?

— Tak, ale tylko razem z tobą.

— Będę próbował.

— Czy już śpisz?

— Nie.

— Postaraj się.

— Staram się.

— Zamknij oczy. Nie zaśniesz, jeżeli nie zamkniesz oczu.

— Z rana mam zawsze ochotę na ciebie patrzeć, bo jesteś wtedy taka nowa i niezwykła.

— Czy dobrze sobie to wszystko wymyśliłam?

— Nie mów tyle.

— To jedyny sposób na zwolnienie upływu czasu. Udało mi się to. Czy zauważyłeś? Oczywiście, że zauważyłeś. Czy zauważyłeś teraz i teraz, i teraz, że serca nasze biją w tym samym rytmie i że to jest właśnie to i że tylko to się liczy i że ja to

wiem, ale że my tego wcale nie liczymy, bo jest nam tak cudownie i tak dobrze, tak dobrze i tak wspaniale...

Wróciła do dużego pokoju, podeszła do lustra, usiadła i przyglądając się sobie krytycznie, zaczęła szczotkować włosy.

— Zjedźmy śniadanie w łóżku — zaproponowała. — Z szampanem, jeżeli to nie za wielki grzech. Z dobrych wytrawnych mają tu Lansona i Perrier-Joueta. Czy mogę zadzwonić na kelnera?

— Tak — zgodził się i poszedł pod prysznic. Zanim jeszcze puścił silny strumień, usłyszał, jak mówiła do słuchawki.

Kiedy powrócił do sypialni, siedziała bardzo uroczyście, oparta o dwie poduszki. Pozostałe dobrze wyklepała i położyła jedna na drugiej u wezłowia łóżka.

— Czy ładnie mi z wilgotnymi włosami?

— Są prawie suche. Przecież wytarłaś je ręcznikiem.

— Mogłabym je jeszcze trochę skrócić na czole. Potrafię to sama. A może ty byś to zrobił?

— Wolę, jak ci zasłaniają oczy.

— Może odrosną. Kto wie? Może znudzi się nam ta klasyczna fryzura.

Dzisiaj pozostaniemy na plaży aż do popołudnia. Pójdziemy na sam koniec i jak wszyscy odejdą na obiad, rozbierzemy się do naga, a jak zrobimy się głodni, to pojedziemy do St. Jean do Baru Basque. Ale najpierw musisz zrobić tak, żebyśmy poszli na plażę, bo to jest szalenie ważne.

— Dobrze.

David przysunął krzesło, położył dłoń na jej dłoni, a wtedy ona spojrzała na niego i powiedziała: — Dwa dni temu wszystko rozumiałam, a potem ten absynt pomieszał mi w głowie.

— Wiem. To nie twoja wina.

— Ale dotknęłam cię tym gadaniem o wycinkach.

— Nie — odparł. — Próbowalaś, ale ci się nie udało.

— Tak mi przykro, Davidzie. Proszę cię, wierz mi.

— Każdy człowiek ma jakieś kaprysy, które coś tam dla niego znaczą. To nie twoja wina, powtarzam.

— Nie — dziewczyna potrząsnęła głową.

— No już dobrze. Nie płacz. Nie trzeba.

— Nigdy nie płaczę, ale teraz nie mogę się powstrzymać.

— Wiem. Jesteś piękna, kiedy płaczesz.

— Nie, nie mów tego. Dotychczas ani razu przy tobie nie płakałam, prawda?

— Nigdy.

— Czy będziesz się czuł pokrzywdzony, jeżeli pozostaniemy tu jeszcze dwa dni.

Ze względu na plażę? Do tej pory nie można było pływać i byłoby strasznie głupio, gdybyśmy tu ani razu nie weszli do wody. Dokąd stąd pojedziemy? No tak, jeszcześmy tego nie postanowili. Może zrobimy to wieczorem albo jutro rano. Dokąd miałbyś ochotę?

— Obojętne. Gdziekolwiek.

— No to tam właśnie pojedziemy.

— Ale czy nie zagubimy się?

— Lubię być sam na sam z tobą. Przepięknie zapakuję nasze rzeczy.

— Dużo do roboty nie ma. Tylko wrzucić przybory toaletowe do torby i zamknąć dwie walizki.

— Jeżeli chcesz, możemy wyjechać jutro rano. Wierz mi, nie mam zamiaru nic złego zrobić ani ci szkodzić.

Kelner zapukał do drzwi.

— Zabrakło Perrier-Joueta, Madame, więc przyniosłem Lansóna.

Katarzyna przestała płakać, a David z ręką wciąż na jej dłoni odpowiedział: — Wiem.

## **Rozdział szósty**

Przedpołudnie spędzili w Prado, a teraz siedzieli w winiarni, na parterze starego domu o grubych kamiennych murach. Było tam chłodno, dokoła ścian stały beczki z winem. Stoły też były stare, o masywnych blatach, krzesła podniszczone, źródłem światła otwarte drzwi. Kelner przyniósł im dwa kieliszki manzanilli z winnic nizinnej okolicy Kadyksu, zwanej Marismas, i cieniutkie plasterki *jamón serrano*, czyli twardej, wędzonej szynki ze świń karmionych żołądziami i jaskrawoczerwoną, ostrą *salchichón*, i jeszcze ostrzejszą i prawie czarną kielbasę z Vich a także

anchoviesy i oliwki z czosnkiem. Zjedli wszystko i wypili jeszcze po jednym kieliszku *manzanilli*, wina lekkiego, pachnącego świeżymi orzechami.

Katarzyna miała przed sobą na stole podręcznik hiszpańsko-angielski w zielonej okładce, zaś David kilka porannych gazet. Dzień był upalny, lecz w starym budynku panował miły chłód. Kelner zapytał: — Czy państwo macie ochotę na *gazpachól* — Był stary. Bez pytania dolał im wina do kieliszków.

— Czy sądzi pan, że to będzie senioricie smakowało?

— Niech ją pan wypróbuj — odparł kelner, zupełnie jak gdyby mówił o klaczy.

Na powierzchni zupy nalanej do sporej miski pływały kostki lodu, płatki świeżego ogórka i pomidora, grzanki z czosnkiem i kawałki zielonej i czerwonej papryki, sam płyn był pieprzny i lekko zaprawiony oliwą z octem.

— Zupa sałatkowa — zauważyła Katarzyna. — Pyszna.

— Es gazpacho — odparł kelner.

Pili teraz wino o nazwie *Valdepenas* z dużego dzbanka. Zaczęło działać szybko, bo po *manzanilli* tylko przez chwilę rozwodnionej zimną zupą, jednak zaraz nabrało pewności siebie, mocno ich atakowało.

— Co to za wino? — spytała Katarzyna.

— Afrykańskie — odparł David.

— Mówi się, że Afryka zaczyna się tuż po drugiej stronie Pirenejów — powiedziała Katarzyna. — Kiedy usłyszałam to po raz pierwszy, zrobiło na mnie kolosalne wrażenie.

— Jeszcze jedna z tych zdawkowych opinii. Sprawa jest bardziej skomplikowana. Pij je po prostu i nie zastanawiaj się nad nim.

— Jak mogę wiedzieć, gdzie zaczyna się Afryka, skoro nigdy tam nie byłam? Ludzie wymyślają sobie różne rzeczy.

— Naturalnie. Ale nietrudno się zorientować, co jest prawdą.

— Kraj Basków z pewnością nie jest podobny do Afryki czy do czegokolwiek, co mi o Afryce opowiadano.

— Ani Asturia, ani Galicja, ale w miarę, jak oddalasz się od wybrzeża, zaczynasz coraz bardziej czuć Afrykę.

— Dlaczego nikt nigdy nie malował tutejszego krajobrazu? — zapytała Katarzyna. — Na drugim planie wszystkich obrazów są zawsze góry zza Escurialu.

— Sierra — zauważył David. — Nikt nie chciał kupować kastylijskich krajobrazów. A poza tym oni nigdy nie mieli pejzażystów. Ich malarze malowali na zamówienie.

— Z wyjątkiem Toledo, które malował El Greco. To właściwie straszne. Mieć tak piękny kraj, którego żaden dobry malarz nigdy nie malował. — Co będziemy jedli po *gazpacho*? — zapytał ją David. Właściciel lokalu, człowiek w średnim wieku, przysadzisty o kwadratowej twarzy, podszedł do ich stolika. — Pyta, czy może jakieś mięso.

— *Hay solomillo muy bueno*<sup>4</sup> — nalegał właściciel lokalu.

— Nie, dziękuję — powiedziała Katarzyna. — Może trochę sałaty.

— No to niech się pani chociaż napije jeszcze wina — zaproponował właściciel lokalu i napełnił dzbanek z beczki, która stała za kontuarem.

— Nie powinnam w ogóle pić — powiedziała Katarzyna. — Za dużo mówię, przepraszam cię. I przepraszam, jeżeli nagadałam jakichś głupstw. Często to robię.

— Zważywszy upał mówisz całkiem ciekawie i do rzeczy. Czy wino zawsze rozwiązuje ci język?

— Ale inaczej niż absynt. Mam wrażenie, że nie jest niebezpieczne. Rozpoczęłam nowe dobre życie, zaczęłam czytać i myśleć o przyszłości, a nie ciągle tylko o samej sobie. Zamierzam to robić dalej, ale, jak już ci mówiłam, uważam, że nie powinniśmy o tej porze roku przebywać w mieście. Zabierajmy się stąd. Gdy jechaliśmy tutaj, widziałam cudowne tematy malarskie, ale nie potrafię malować, nigdy nie umiałam. Znam wspaniałe tematy do powieści, a nawet nie potrafię napisać głupiego listu. Nigdy nie pragnęłam być ani malarką, ani pisarką, aż przyjechałam do tego kraju. A teraz jest mi tak, jak gdybym była głodna i nie miała żadnej możliwości zaspokojenia głodu.

— Ten kraj jest i zawsze będzie. Zupełnie niezależnie od ciebie. Prado też jest.

— Świat istnieje tylko poprzez nas samych — powiedziała Katarzyna. — Nie chcę, żeby przestał istnieć, kiedy mnie nie będzie.

— Każdy skrawek ziemi, jaki przejechaliśmy, jest twój. Cała ta żółta gleba, te białe wzgórza, ten pył kwietny na wietrze, te korowody topoli wzdłuż dróg. Wszystko, co widzieliśmy, co czuliśmy, jest twoje. I Grau du Roi, i Aigues Mortes, i cała

---

<sup>4</sup> Hay solomillo muy... (hiszp.) — mamy dzisiaj bardzo dobry schabik.

Camargue, którą przemierzaliśmy na rowerach, czy to wszystko nie jest twoje? Z tym, co tu teraz masz, będzie tak samo.

— A kiedy umrę?

— To nie będzie cię.

— Nie mogę tego znieść.

— Myśl tylko o tym, co nie jest realne. A poza tym patrz, słuchaj i czuj.

— A jeżeli nic z tego nie zapamiętam?

Mówił o śmierci tak, jak gdyby była bez znaczenia. Wypiła wino i patrzyła na grube mury, na malutkie zakratowane okienka, wychodzące na wąską uliczkę, do której słońce nigdy nic docierało. Przez otwarte drzwi widać było duży pasaż, i dalej skąpany w słońcu skwer wybrukowany wielkimi, zniszczonymi kamiennymi płytami.

— Strasznie niebezpiecznie jest żyć zewnętrznym życiem. Może lepiej powrócę do naszego własnego świata, twojego i mojego. Tego, który wymyśliłam, a raczej, który myśmy razem wymyślili. W nim byłam wspaniała. To było zaledwie cztery tygodnie temu. Może mi się znowu uda.

Przyniesiono sałatę i na ciemnym stole znalazła się jej zieleń, a na zewnątrz, na skwerze, jasność słońca.

— Lepiej się teraz czujesz? — zapytał David.

— Tak — odparła. — Za dużo myślałam o sobie i przez to znowu zrobiłam się niemożliwa, zupełnie jakbym była malarzem. Stałam się obrazem samej siebie. To było straszne. Teraz, kiedy jestem znów przytomna, mam nadzieję, że wszystko jest, jak było.

Spadł ulewny deszcz i przerwał upał. Znajdowali się w chłodnym, poliniowanym smugami rzucanych przez żaluzje cieni półmroku dużego pokoju w hotelu Palace. Przedtem kąpali się w ciepłej wodzie wypełniającej głęboką, długą wannę. Odkręcili kran do oporu i poddali się silnemu strumieniowi wody, która opłukiwała ich ciała, a potem wirując znikwała w spuszcie. Wytarli się nawzajem wielkimi ręcznikami i poszli do łóżka. Lekki wietrzyk przedzierający się przez szpary w żaluzjach chłodził ich ciała. Katarzyna leżała na brzuchu wsparta na łokciach, podtrzymując dłońmi podbródek. — Czy myślisz, że byłoby zabawnie, gdybym się znów przemieniła w chłopca? Nie miałbyś nic przeciwko temu?

— Podobasz mi się taka, jaka jesteś.



— Mam na to ochotę. Może jednak nie powinnam tego robić w Hiszpanii. Oni są tacy konwencjonalni.

— Pozostań taką, jaką jesteś.

— Kiedy to mówisz, zmienia ci się głos. Dlaczego? Chyba jednak to zrobię.

— Nie. Nie teraz.

— Dziękuję ci za to „nie teraz”. Jeżeli pozwolę ci kochać się ze mną jako z dziewczyną, to czy potem dasz mi to zrobić?

— Jesteś dziewczyną. Jesteś nią. Jesteś moją kochaną dziewczyną Katarzyną.

— O tak, jestem twoją dziewczyną i kocham cię, kocham, kocham.

— Cicho.

— Chcę mówić. Jestem twoją dziewczyną i kocham cię, kocham cię, kocham cię.

— Nie musisz tego ciągle powtarzać. Ja to wiem.

— Lubię to mówić. Muszę to mówić. Zawsze byłam dobrą dziewczyną, porządną dziewczyną i znowu nią będę. Przysięgam ci.

— Nie musisz mi tego mówić.

— O tak, muszę. Mówię ci to, mówiłam ci to, ty mi to mówiłeś. Teraz proszę. Proszę cię.

Leżeli w milczeniu przez długi czas, wreszcie powiedziała: — Tak cię kocham, jesteś takim dobrym mężem.

— Moje ty złoto.

— Czy taką mnie właśnie chciałeś?

— A jak myślisz?

— Mam nadzieję, że tak.

— Więc tak.

— Przysięgam ci solennie, więc dotrzymam. Czy teraz już mogę się przemienić w chłopca?

— Po co?

— Bo mi z tym było bardzo dobrze, ale mogę się bez tego obejść. Tylko że mam taką ochotę być z tobą w łóżku właśnie tak. Jeżeli ci to nie robi różnicy. No więc co? Nie masz nic przeciwko temu?

— A nawet gdybym miał, to co z tego?

— Więc zgadzasz się?

— Jeżeli naprawdę musisz.

Chciał powiedzieć, jeżeli rzeczywiście musisz, ale powstrzymał się, więc odpowiedziała: — Nie, nie muszę, ale zrobimy to, jeżeli się nie sprzeciwiasz.

— Dobrze.

Pocałował ją i przycisnął do siebie.

— Nikt nie wie, jaka jestem naprawdę, tylko ty i ja. Chłopcem będę wyłącznie w nocy, żeby ci nie robić wstydu. Nie denerwuj się tym, kochanie.

— Dobrze, chłopcze.

— Kłamałam mówiąc, że mogę się bez tego obejść. Tyle, że dzisiaj na przykład naszła mnie taka gwałtowna ochota.

Zamknął oczy i próbował o niczym nie myśleć, pocałowała go, poczuł to w sobie jeszcze głębiej, zalała go fala rozpaczy.

— Teraz ty się zmień. Nie każ mi tego robić za siebie. Czy muszę koniecznie? No dobrze, zrobię to. Już jesteś odmieniony. Jesteś. Sam to zrobiłeś. Jesteś moją najdroższą, ukochaną Katarzyną. Moją cudowną, moją przepiękną Katarzyną. Moją dziewczyną, moją najmiłą dziewczyną. Och, dziękuję ci, dziewczyno, dziękuję...

Leżała nieruchomo przez dłuższy czas, był pewny, że zasnęła. Potem odsunęła się od niego bardzo ostrożnie i unosząc lekko na łokciach powiedziała: — Jutro zamierzam zrobić sobie wspaniałą niespodziankę. Pójdę z rana do Prado i obejrzę obrazy jako chłopiec.

— Poddaję się — westchnął David.

## ***Rozdział siódmy***

Wstał, kiedy jeszcze spała, wyszedł z hotelu i zachłysnął się czystym porannym, podgórskim powietrzem. Wspiął się stromą uliczką na Plaza Santa Ana, zjadł śniadanie w kawiarence i przeczytał gazety. Katarzyna zamierzała pójść do Prado na dziesiątą, bo o tej porze je otwierali, więc nastawiła budzik na dziewiątą. Przedtem, kiedy szedł po stromej ulicy, myślał o niej uśpionej, ze zmierzwionymi włosami, z głową jak wizerunek na starej monecie, na tle białego prześcieradła. Odsunęła

poduszkę, cienka kołdra uwypuklała miękkie zarysy jej ciała. To trwa dopiero miesiąc, pomyślał, albo prawie. Pomiędzy Grau du Roi a Hendaye upłynęło dwa miesiące. Na pewno nie mniej, bo myśleć o tym zaczęła w Nîmes. No tak, niecałe dwa miesiące. Małżeństwem jesteśmy od trzech miesięcy i dwóch tygodni i chyba na pewno robię wszystko, żeby była szczęśliwa, ale w tej sprawie nic dla nikogo zrobić nie można. Wystarczy, że się w tym bierze udział. Różnica polega tylko na tym, że .tym razem zapytała go o zgodę. Zapytała.

Po zapłaceniu za śniadanie i przeczytaniu gazet wyszedł znów na ulicę, na której wznagał się upał, podsycony zmianą wiatru, wszedł do banku, zanurzył się w jego chłodnej, sztywnej, smutnej atmosferze i poprosił o przekazane mu z Paryża listy. Otworzył je i czytał stojąc w długich ogonkach do różnych okienek, by zrealizować czek wystawiony na madrycką filię jego paryskiego banku.

Wsunął gruby plik banknotów do kieszeni marynarki, zapiął ją, znów wyszedł na rozświetloną jaskrawym słońcem ulicę i zatrzymał się przy kiosku, by nabyć angielskie i amerykańskie gazety, które przywiózł z samego rana popołudniowy ekspres. Kupił kilka magazynów poświęconych walce byków, by owinąć w nie angielskojęzyczne gazety, i przemierzywszy Carrera San Geronimo wszedł do chłodnego Buffet Italianos. Nie było tam jeszcze żywej duszy i David przypomniał sobie, że przecież nie umówił się z Katarzyną.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał kelner.

— Poproszę piwo.

— Tu nie piwiarnia.

— Nie macie piwa?

— Mamy, ale tu nie piwiarnia.

— A żeby cię — mruknął, zwinął swoje pisma, wyszedł, przekroczył jezdnię i ruszył przez Calle Vittoria do Cervezeria Alvarez. Usiadł pod markizą w pasażu i wypił duży kufel piwa z beczki.

Tamten kelner chciał po prostu trochę pogadać, uświadomił sobie nagle, no i mówił prawdę, to była restauracja, a nie piwiarnia. Nie był bezczelny, lecz po prostu gadatliwy. Nie powinienem reagować tak niesympatycznie, nie mam nic na swoją obronę. Paskudnie się odezwałem. Wypił jeszcze jedno piwo i przywołał kelnera.

— Y la Señora?—zapytał kelner.

— W Museo del Prado, właśnie po nią idę.

— No to do zobaczenia.

Powrócił do hotelu stromym, prowadzącym w dół skrótem. Klucz był w portierni, więc pojechał na górę do pokoju, położył gazety i pocztę na stoliku, a większość pieniędzy zamknął do walizki. Pokój był uprzątnięty, żaluzje opuszczone tak, by nie dopuszczały słońca, panował półmrok. Umył się, przejrzał jeszcze raz swoją pocztę, wybrał cztery listy i wsunął je do tylnej kieszeni spodni. Wziął ze sobą paryskie wydanie „Herald Tribune”, „Chicago Tribune”, londyński „Daily Mail” i zszedł na dół. Położył klucz na blat kontuaru i poprosił portiera, by zawiadomił Madame, kiedy powróci, że poszedł do baru.

Usiadł na wysokim stołku, zamówił marismeno i jedząc pachnące czosnkiem oliwki z talerzyka, postawionego przed nim przez kelnera, otworzył i przeczytał listy. W jednej z kopert znalazł dwa wycinki z miesięczników literackich z recenzjami z jego powieści. Czytał je, jak gdyby nie dotyczyły ani jego osoby, ani czegoś, co kiedykolwiek napisał.

Wsunął je z powrotem do koperty. Były to inteligentne i dobre recenzje, ale nie dla niego nie znaczyły. List od wydawcy przeczytał z taką samą obojętnością. Książka sprzedaje się dobrze i wydawnictwo jest przekonane, że tak będzie co najmniej do jesieni, chociaż w tej materii nic nie da się przewidzieć. Na razie przyjęcie ze strony krytyki jest doskonale i droga dla jego następnej książki utorowana. Dużą rolę odgrywa fakt, że jest to druga a nie pierwsza jego powieść. Tragiczne to, choć niestety prawdziwe zjawisko, że debiuty to jedyne dobre powieści przeważającej większości amerykańskich pisarzy. Ale ta książka, ta jego druga, potwierdza wszystkie nadzieje rozbudzone przez pierwszą. Nowy Jork przeżywa wyjątkowo wilgotne i chłodne lato. O Boże, wzdrygnął się David, do diabła z pogodą w Nowym Jorku i do diabła z Coolidge'em, tym skurwysynem o zaciętych wargach, który w koszuli z wysokim sztywnym kołnierzykiem łowi pstrągi z hodowli w Czarnych Wzgórzach, które ukradliśmy Siuksom i Czejenom, i do diabła z uchlanymi pędzonym w wannie dżinem pisarzami, zastanawiającymi się nad tym, czy Anna jest panna, czy nie. I do diabła z nadziejami rozbudzonymi przez moją pierwszą powieść. Z jakimi znowu nadziejami? Czyimi nadziejami? Nadziejami takich czasopism jak „Bookman”, „New Republic”, „The Dial”? A kto je rozbudził? Te nadzieje? Już ja je wam pokażę. Już ja je spełnię. Co za szambo.

— Halo, młody człowieku — usłyszał nagle męski głos. — Czemu przypisać oburzenie malujące się na twojej twarzy?

— Halo, pułkowniku — ucieszył się David. — Co cię tu, u licha, przyniosło?

Pułkownik, mężczyzna o ciemnoniebieskich oczach i opalonej twarzy, robiącej wrażenie wyrzeźbionej w spiżu przez zmęczonego rzeźbiarza, który sobie na niej złamał dłuto, chwycił szklanę Davida i pociągnął łyk *marismeño*.

— Proszę mi przynieść butelkę tego samego wina do stołu — zażądał od barmana. — I to możliwie zimną. Nie musi jej pan specjalnie mrozić. Niech będzie taka, jaka jest, byle zaraz.

— Tak, proszę pana — odparł barman. — Oczywiście.

— Chodź ze mną — powiedział pułkownik prowadząc Davida do narożnego stolika. — Świetnie wyglądasz.

— Ty też.

Pułkownik John Boyle miał na sobie granatowe ubranie z dość sztywnego, ale lekkiego materiału, niebieską koszulę i czarny krawat — Bo ja się zawsze dobrze czuję — oświadczył. — Czy przypadkiem nie szukasz posady?

— Nie — odparł David.

— Tak po prostu. Nawet nie zapytałeś, o jaką posadę chodzi?

Głos pułkownika brzmiał jak gdyby miał on piasek w gardle. ∴

Przyniesiono wino, czosnkowe oliwki i orzechy laskowe.

— A gdzie anchoviesy? — zapytał pułkownik. — Cóż to jest za fonda<sup>5</sup>?

Barman uśmiechnął się i poszedł po anchoviesy.

— Doskonale wino — oświadczył pułkownik. — Pierwszorzędne. Zawsze liczyłem na to, że gust ci się poprawi. A teraz powiedz mi, dlaczego nie chcesz pracy? Wiem, że dopiero co skończyłeś nową książkę.

— To mój miodowy miesiąc.

— Co za głupie określenie. Nigdy go nie lubilem. Można się do niego przykleić. Czemu nie mówisz po prostu, że się ożeniłeś? To na jedno wychodzi. A co do pracy, to i tak wiele pociechy by z ciebie nie było.

— No to mów. Co to za posada?

— Szkoda słów. Z kim się ożeniłeś? Znam ją?

— Z Katarzyną Hall.

— Znałem jej ojca. Dziwny typ. Zabił się w wypadku samochodowym. Siebie i żonę.

---

<sup>5</sup> fonda (hiszp.) — knajpa.

— Ja ich nie znałem.

— Jego też nie?

— Nie.

— Dziwne. Ale zrozumiałe. Nic nie straciłeś. Powiadają, że jego żona skarżyła się na samotność. Co za głupia śmierć dla dwojga dorosłych ludzi. Gdzie poznałeś ich córkę?

— W Paryżu.

— Ma tam bardzo głupiego wujka. Zupełny bęcwał. Znasz go?

— Widywałem go na wyścigach.

— W Longchamps i Auteuil. Oczywiście, gdzież by indziej?

— Nie ożeniłem się z jej rodziną.

— Naturalnie że nie. Ale jednak zawsze się na tym kończy. Ma się ich zawsze na karku. Żywych i umarłych.

— Chyba nie wujków i ciotki.

— No nic, życzę ci dobrej zabawy. Podobała mi się twoja, książka. Dobrze się sprzedaje?

— Dosyć dobrze.

— Wzruszyła mnie. Przewrotny z ciebie skurwysyn.

— Z ciebie też, John.

— Mam nadzieję, że tak.

David zauważył stojącą w drzwiach Katarzynę i wstał. Gdy podeszła do stolika, powiedział: — Przedstawiam ci pułkownika Boyle'a.

— Bardzo mi miło, droga pani.

Katarzyna podniosła na niego wzrok, uśmiechnęła się i usiadła. David przyglądał jej się uważnie. Miał wrażenie, że wstrzymuje oddech.

— Zmęczyłaś się? — zapytał.

— Może trochę.

— Kieliszek wina? — zaproponował pułkownik Katarzynie.

— A nie mogłabym poprosić o absynt?

— Ależ, oczywiście — odparł David. — Też się napiję.

— Dla mnie nie — powiedział pułkownik do barmana. — Ale moje wino za bardzo się rozgrzało. Niech je pan wstawi do lodu i naleje mi na razie kieliszek z zamrożonej butelki.

— Czy pani pije prawdziwe Pernod? — zwrócił się do Katarzyny.  
— Tak — odparła. — Jestem nieśmiała przy ludziach i to mi pomaga.  
— Doskonały napój — zgodził się. — Chętnie dotrzymałbym wam towarzystwa, ale muszę po południu trochę popracować.

— Przepraszam, że się z tobą nie umówiłem — odezwał się teraz David do Katarzyny.

— Nie szkodzi.

— Wstąpiłem do banku po pocztę. Masz sporo listów, zostawiłem je w hotelu.

— Nieważne — powiedziała.

— Widziałem panią w Prado, w sali El Greco — zwrócił się do niej pułkownik.

— Też pana zauważyłam. Czy pan zawsze patrzy na obrazy, jak gdyby były pańską własnością i jak gdyby się pan zastanawiał, czy ich nie przewiesić?

— Pewnie tak. A czy pani zawsze patrzy na obrazy jak młody przywódca jakiegoś dzikiego szczepu, który uciekł swoim doradcom i nagle zobaczył marmurową rzeźbę Ledy z łabędziem?

Opalona twarz Katarzyny załała się rumieńcem, spojrzała najpierw na Davida, potem na pułkownika.

— Pan mi się podoba — powiedziała. — Proszę mówić dalej.

— Pani mi się też podoba — uśmiechnął się pułkownik. — Zazdroszczę Davidowi. Czy pani w nim naprawdę wszystko odpowiada?

— A nie widzi pan?

— Ja widzę tylko to, co na wierzchu — oświadczył pułkownik. — No proszę, niech pani wypije jeszcze trochę tego zalatującego piołunem eliksiru prawdy.

— Już mi niepotrzebny.

— Już panią opuściła nieśmiałość? To nic, proszę się mimo to napić.

Pani jest najciemniejszą białą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. Pani ojciec też był raczej ciemny.

— Odziedziczyłam jego cerę. Mama była bardzo jasna.

— Jej nie znałem.

— A ojca dobrze pan znał?

— Raczej tak.

— Jaki był?

– Był to trudny, ale bardzo czarujący człowiek. Czy pani rzeczywiście jest nieśmiała?

– Przysięgam. Proszę zapytać Davida.

– Szybko się pani tego pozbyła.

– To dzięki panu. Jaki był mój ojciec?

– Był najbardziej nieśmiałym człowiekiem, jakiego znałem, ale potrafił też być najbardziej czarującym.

– Czy on też pomagał sobie absyntem?

– Pomagał sobie, czym tylko mógł.

– Jestem do niego podobna?

– Ani trochę.

– To dobrze. A David?

– Ani odrobinę.

– To jeszcze lepiej. Skąd pan wiedział, że w Prado byłem chłopcem?

– Czemu nie miałyby pani nim być?

– Zostałam nim dopiero wczoraj wieczorem. Prawie przez cały miesiąc byłam dziewczyną. Proszę zapytać Davida.

– Wcale nie muszę pytać Davida. A czym pani jest w tej chwili?

– Chłopcem, jeżeli to panu nie robi różnicy.

– Żadnej. Ale pani nie jest chłopcem.

– Chciałam to tylko wypowiedzieć na głos. Teraz, kiedy to zrobiłam, nie muszę już nim być. Prado było cudowne. Chciałam o nim opowiedzieć Davidowi.

– Na to będziecie mieli jeszcze mnóstwo czasu.

– Tak – zamyśliła się. – Mamy mnóstwo czasu na wszystko.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie się pani tak opaliła. Czy pani wie, jaka pani jest ciemna?

– Najpierw w Grau du Roi, a potem w pobliżu La Napoule. Była tam zatoczka, szło się do niej ścieżką przez zagajnik. Z drogi nic nie było widać.

– Jak długo pracowała pani, żeby osiągnąć ten kolor?

– Prawie trzy miesiące.

– Co pani zamierza zrobić? Z tą opalenizną.

– Nic, nosić ją. Bardzo ładnie wygląda w łóżku.

– Mam nadzieję, że nie zamierza jej pani marnować w mieście.



— W Prado jej nie marnuję. A poza tym to ja przecież wcale jej nie obnoszę. Ona jest we mnie. Słońce ją tylko wywołuje. Jestem z natury ciemna. Chciałabym być jeszcze ciemniejsza.

— To się pani na pewno uda — zauważył pułkownik. — Czy poza tym ma pani jeszcze jakieś projekty?

— Po prostu cieszę się każdym dniem. Każdym pojedynczym dniem.

— A czy dzień dzisiejszy uzna pani za udany?

— Naturalnie. Pan to dobrze wie, pan też tam był.

— Czy można panią i Davida zaprosić na obiad?

— Świetnie — zgodziła się Katarzyna. — Pójdę się przebrać. Czy zaczekacie na mnie?

— A nie skończysz swego drinka? — zapytał ją David.

— Nie mam ochoty. Nie martw się o mnie. Już przestałam być nieśmiała.

Przyglądali jej się, gdy szła ku drzwiom.

— Czy nie byłem zbyt obcesowy? — zwrócił się pułkownik do Davida. — Mam nadzieję, że nie. To taka urocza dziewczyna.

— A ja mam nadzieję, że jestem jej wart.

— Jesteś. Ale teraz mów, co się z tobą właściwie dzieje?

— Chyba wszystko w porządku.

— Jesteś szczęśliwy?

— Bardzo.

— Pamiętaj, że wszystko jest dobrze, dopóki nie zaczniesz się psuć. A jak zaczniesz się psuć, sam się zorientujesz.

— Tak uważasz?

— Jestem tego pewny. Póki jest dobrze, tylko to się liczy. Tylko to.

— A szybko to mija?

— Ani słowa na ten temat nie mówiłem. Nie wiem, o co ci chodzi.

— Przepraszam.

— Na razie macie, co macie, więc bawcie się dobrze.

— Robimy to.

— Zauważyłem. Ale jeszcze jedno.

— Co takiego?

— Opiekuj się nią jak należy.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?
- Tylko jeszcze jeden drobiazg: lepiej nie mieć dzieci.
- Na razie się nie zanosi.
- To dobrze.
- Dobrze? Dla kogo?
- Dla dzieci.

Trochę powspominali wspólnych znajomych, przy czym pułkownik obgadywał ich niemiłosiernie, aż w pewnym momencie David spostrzegł stojącą w drzwiach Katarzynę. Nałożyła na siebie kostium z białego rypsu dla podkreślenia opalenizny.

— Wygląda pani niezwykle pięknie — odezwał się pułkownik. — Ale musi pani koniecznie jeszcze bardziej się opalić.

— Dziękuję, zrobię to — odparła Katarzyna. — Nie będziemy chyba wychodzili na ten upał. Zostańmy tu. Zjemy coś na miejscu.

— Jesteście moimi gośćmi — powiedział pułkownik.

— Ależ skąd, my zapraszamy pana.

David wstał niepewnie. Zauważył, że w barze było teraz sporo ludzi. Spojrzał na stolik i stwierdził, że wypił zarówno swój absynt jak i Katarzyny. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy się to stało.

Była pora sjesty, więc leżeli na łóżku i David czytał w świetle, które docierało doń przez okno po jego lewej stronie, gdzie podciągnął nieco żaluzję. Światło odbijało się od fasady przeciwległego domu. Niebo było niewidoczne.

— Pułkownik pochwalił moją opaleniznę — odezwała się Katarzyna. — Musimy znów pojechać nad morze. Chcę ją utrzymać.

— Pojedziemy, kiedy zechcesz.

— Cudownie. Czy mogę ci coś powiedzieć? Muszę.

— Co takiego?

— W czasie obiadu wcale nie byłam dziewczyną. Czy dobrze się zachowywałam.

— Naprawdę?

— Tak. Nie jesteś zły? Teraz jestem twoim chłopcem i gotowa jestem robić, co tylko zechcesz.

David nie odrywał oczu od książki.

— Gniewasz się?

— Nie — powiedział i pomyślał: może po prostu otrzeźwiałem.

— Teraz wszystko będzie prostsze.

— Nie sędzę.

— Będę bardzo ostrożna. Z rana, w świetle dnia to, co robiłam w nocy, wydało mi się słuszne, czyste i dobre dla nas. Czy pozwolisz, że znowu spróbuję?

— Wolalbym nie. Chodź, pocałuję cię.

— Nie. Jeżeli ja jestem chłopcem i ty też, to dajmy sobie spokój.

Czuł się tak, jak gdyby kawał żelaza przeszywał mu pierś.

— Nie powinnaś była mówić o tym pułkownikowi.

— On to sam zauważył, Davidzie. Pierwszy o tym wspomniał. On wszystko wie, wszystko rozumie. Wcale nie byłam głupia, że mu to powiedziałam. Tak jest lepiej. To nasz przyjaciel. Teraz, kiedy to wie ode mnie, nie będzie nas obgadywał. Gdybym mu nic nie powiedziała, miałby do tego prawo.

— Nie możesz ufać wszystkim ludziom.

— Gwiżdżę na ludzi. Zależy mi wyłącznie na tobie. Nigdy nie będę tego robiła z nikim innym.

— Mam jakiś paskudny ucisk w klatce piersiowej.

— To straszne. A ja czuję się taka szczęśliwa.

— Kochana Katarzyna.

— Świetnie. Nazywaj mnie tak. Kiedy ci tylko przyjdzie ochota. Zawsze będę twoją Katarzyną. Na każde zawołanie. A teraz może trochę pośpimy? Albo spróbujemy znowu i zobaczymy, jak nam pójdzie?

— Poleżymy jeszcze chwilę spokojnie po ciemku. — David wstał i spuścił żaluzję, a potem znów trwali wyciągnięci obok siebie na łóżku w dużym pokoju hotelu Palace, w Madrycie, mieście, w którym Katarzyna weszła do Museo del Prado w pełnym świetle dnia jako chłopiec i za chwilę znów odkryje przed nim ciemną stronę tych spraw; był pewien, że już nigdy nie będzie końca tym zmianom.

## **Rozdział ósmy**

Rano w Buen Retiro było zielono i chłodno jak w lesie, drzewa ciemne, wszystkie odległości niepewne. Jezioro zniknęło ze swojego poprzedniego miejsca i gdy nagle ukazało im się spomiędzy drzew, stwierdzili, że jest zupełnie odmienione.

— Idź naprzód — zażądała. — Chcę ci się przyjrzeć.

Więc odwrócił się od niej, podszedł do ławki i usiadł. Jezioro wydało mu się tak dalekie, że o dojściu doń piechotą mowy być nie mogło, siedział więc na ławce, a po chwili ona usiadła przy nim i powiedziała: — Będzie dobrze.

Ale w Retiro czyhały na niego wyrzuty sumienia i teraz zaatakowały go tak gwałtownie, że poprosił Katarzynę, żeby spotkała się z nim później w kawiarni hotelu Palace.

— Czy źle się czujesz? Może lepiej pójdę z tobą?

— Wszystko w porządku. Po prostu muszę stąd iść.

— No to zobaczymy się w kawiarni.

Wyglądała tego ranka wyjątkowo pięknie i uśmiechała się do ich sekretu, więc też uśmiechnął się do niej i zabrał swoje wyrzuty sumienia do kawiarni. Był prawie pewny, że nie dojdzie tam o własnych siłach, ale doszedł i później, kiedy przyłączyła się do niego, kończył właśnie drugą szklankę absyntu i z wyrzutów sumienia żaden nie pozostał.

— Jak się masz, Diablico?

— Jak twoja Diablica — uśmiechnęła się Katarzyna. — Zamów mi to samo.

Kelner odszedł zadowolony, że ona wygląda tak pięknie i wydaje się taka szczęśliwa, i wtedy Katarzyna zapytała Davida: — Co ci właściwie było?

— Po prostu fatalnie się poczułem, ale mi już przeszło.

— Bardzo źle?

— Nie — skłamał.

Potrząsnęła głową.

— Strasznie mi przykro. Miałam nadzieję, że obejdzie się bez niedobrych następstw.

— Już mi przeszło.

— To świetnie. Jak cudownie jest tu w lecie, kiedy prawie nie ma ludzi. Wiesz, co sobie pomyślałam?

— Co?

— Zostańmy tu, zamiast jechać nad morze. To miasto jest już nasze.

To miasto i to miejsce. Moglibyśmy tu trochę posiedzieć, a potem pojechać prosto do La Napoule.

— Nie mamy już wielu możliwości.

— Dlaczego? Przecież dopiero zaczynamy.

— No tak, zawsze można zacząć od początku.

— Oczywiście. Można tak robić i zrobimy to.

— Przestańmy o tym mówić — zażądał.

Pomyślał sobie, że złe samopoczucie zaczyna mu powracać, więc pociągnął długi łyk absyntu.

— To dziwne — powiedział po chwili. — Absynt ma dokładnie taki sam smak jak wyrzuty sumienia. Smakuje identycznie jak one, a przecież niszczy je.

— Nie podoba mi się, że pijesz dla zabicia wyrzutów sumienia. To nie w naszym stylu. My nie powinniśmy być tacy.

— Może to tylko ja jestem taki.

— To niedobrze — pociągnęła ze szklanki raz i drugi i rozejrzała się po kawiarni. Potem spojrzała na Davida: — Uważaj, bo za chwilę to zrobię.

Patrz na mnie. Tu, w Madrycie na tarasie kawiarni hotelu Palace, z którego widać Prado i ulicę, i deszczownik zraszający trawnik, tutaj to zrobię, na dowód, że to prawda. Spójrz. No, patrz, jestem znowu dziewczyną, jestem spełnieniem twoich marzeń. Widzisz, mówiłam, że to zrobię.

— Nie musiałaś.

— Podobam ci się jako dziewczyna? — zapytała bardzo serio i uśmiechnęła się.

— Tak.

— To dobrze. Cieszę się, że ona się komuś podoba, bo mnie śmiertelnie nudzi.

— Daj sobie już spokój.

— Czy nie słyszałaś, co mówiłam? To się już stało. Byłeś tego świadkiem. Nie chciałbyś chyba, żebym cierpiała, żebym się rozerwała na dwie części tylko dlatego, że nie potrafisz się na nic zdecydować? Że nie potrafisz zadowolić się ani jednym, ani drugim?

— Czy nie mogłabyś z tego zrezygnować?

— Czemu? Przecież masz teraz ochotę na dziewczynę. I na wszystko, co się z tym łączy: sceny, histeria, fałszywe oskarżenia, wybuchy temperamentu. Prawda? Ja panuję nad tym wszystkim. Nie bój się, nie będę ci robiła wstydu przy kelnerze. Jemu też nie chciałabym sprawić przykrości. Poczytam sobie te cholerne listy. Czy mógłbyś posłać po nie na górę?

— Przyniosę ci je.

— Nie. Nie chcę zostać sama.

— Masz rację.

— No widzisz. Dlatego prosiłam, żebyś po nie posłał.

— Nie dadzą klucza żadnemu z *botones*<sup>6</sup>. Dlatego zaproponowałem, że po nie pójde.

— Już się uspokoiłam — oświadczyła Katarzyna. — Nie będę się więcej tak głupio zachowywała. To bez sensu. Idiotyczne i nieeleganckie. Takie głupie, że nawet nie zamierzam cię przeproszać. A i tak muszę sama pójść do pokoju.

— Teraz?

— No tak, jestem przecież nieszczęsną kobietą. Łudziłam się, że jeżeli pozostaną przez pewien czas dziewczyną, to przynajmniej zajdę w ciążę.

Ale nawet to się nie udało.

— Może to moja wina?

— Nie mówmy o winie. Zostań, a ja pójde po listy. Poczytamy je sobie i będziemy się zachowywali jak przyzwoici, inteligentni amerykańscy turyści, nieco rozczarowani, że przyjechali do Madrytu o nieodpowiedniej porze roku.

W czasie obiadu Katarzyna powiedziała: — Wróćmy do La Napoule. Tam jest pusto. Posiedzimy sobie spokojnie, popracujemy i będziemy dla siebie dobrzy. Pojedziemy do Aix i nacieszymy się krajobrazem Cezanne'a. Nie zrobiliśmy tego za poprzednim pobytem.

— Będzie wspaniale.

— A zaczniesz znowu pisać? Czy nie jest za wcześnie?

— O nie, myślę, że dobrze by było, gdybym teraz zaczął.

— Cudownie, a ja zabiorę się do nauki hiszpańskiego, bo przecież wrócimy tu kiedyś. Poza tym muszę przeczytać tyle książek.

---

<sup>6</sup> Botones (hiszp.) — pikolacy.

- Mamy mnóstwo roboty.
- Więc będziemy pracowali.

## Księga trzecia

### Rozdział dziewiąty

Nowy plan wystarczył im na przeszło miesiąc. Wynajęli trzy pokoje na samym końcu długiego, niskiego różowego domu, zbudowanego w stylu prowansalskim, w którym mieszkali podczas poprzedniego pobytu. Stał wśród sosen po tej samej stronie La Napoule, która wychodziła na Estérel. Z ich okien widać było ocean, z długiego frontowego ogródka, w którym jadali posiłki przy ustawionych pod drzewami stolikach, rozciągał się widok na puste plaże i kępy wysokich papirusów rosnących w delcie wąskiej rzeki, i drugą stronę zatoki z sylwetką Cannes, białą na tle ciemnych wzgórz i widocznych za nimi wysokich gór. Teraz, w lecie, nie było w różowym domu nikogo poza nimi, toteż właściciel i jego żona przyjęli ich powrót z zadowoleniem.

Spali w ostatnim pokoju, którego okna wychodziły na trzy strony świata. Panował w nim chłód. Nocą wdychali zapach sosen i morza. David pracował w pokoju położonym na drugim końcu domu. Zaczynał pisać bardzo wcześnie rano, a kiedy kończył, wracał po Katarzynę, szli do otoczonej skałami zatoczki, wygrzewali się na słońcu i pływali. Czasami okazywało się, że Katarzyna wzięła samochód i pojechała gdzieś, więc czekał na nią i fundował sobie drinka na tarasie. Po absyncie trudno było pić *pastis*, więc zamawiał sobie whisky z Perrierem. Powrót młodego małżeństwa cieszył gospodarza, gdyż ożywiał nieco martwy letni sezon i zmniejszał jego straty. Nie zaangażował kucharki, żywienie gości zlecił żonie. Pokoje sprzątała młoda, miejscowa dziewczyna, a siostrzeniec, który uczył się zawodu kelnera, podawał do stołu.

Katarzyna lubiła prowadzić mały wynajęty samochódzik i wybierała się często do Cannes lub Nicei. Duże sklepy otwierały się tylko w sezonie zimowym, ale kupowała ekstrawaganckie smakołyki i dobre alkohole, odkryła też kilka sklepów z książkami i czasopismami.

David pracował intensywnie przez cztery dni tygodnia. Popołudnia spędzali leżąc na piasku nowej zatoczki, jaką udało im się odkryć, pływali do kompletnego zmęczenia, a potem, pod wieczór, wracali do domu. Plecy ich pokrywała warstwa zaschniętej soli, więc brali prysznic, przebierali się i szli na drinka.



Wieczorem do pokoju wdzierala się morską bryza i chłodziła go. Kiedy leżeli wyciągnięci na łóżku obok siebie, nakryci prześcieradłem, Katarzyna powiedziała: — Kazałeś sobie wszystko mówić.

— No tak.

— Jestem bardzo szczęśliwa. I mam mnóstwo planów. Tym razem nie będę taka narwana i niedobra.

— Co to za plany?

— Mogłabym ci o nich powiedzieć, ale będzie lepiej, jeżeli sam zobaczysz. Może już jutro? Pojedziesz ze mną?

— Dokąd?

— Do Cannes. Do tego samego fryzjera, u którego już kiedyś byliśmy.

On jest naprawdę świetny. Zaprzyjaźniliśmy się, jest lepszy od tego w Biarritz, bo od razu zrozumiał, o co mi chodzi.

— Coś ty sobie znowu wymyśliła?

— Byłam u niego dzisiaj rano, kiedy pracowałeś, i wytłumaczyłam mu jak i co, a on się zastanowił i doszedł do wniosku, że to się da zrobić.

Powiedziałam mu, że nie jestem jeszcze pewna, ale że gdybym się zdecydowała, to spróbuję cię namówić, żebyś się ostrzygł tak samo jak ja.

— Jak?

— Zobaczysz. Pojedziemy tam. Trzeba strzyc na ukos w stosunku do naturalnej linii zarostu. Ten fryzjer jest pełen entuzjazmu. Myślę, że głównie dlatego, że podoba mu się nasze Bugatti. Masz pietra?

— Nie.

— Nie mogę się doczekać. On chce mi zupełnie utlenić włosy, ale boimy się, że się nie zgodzisz.

— Są już i tak spłowiałe od słońca i wody.

— On chce je znacznie bardziej rozjaśnić. Żeby były takie jak u Skandynawów. Wyobrażasz sobie, jak by to wyglądało przy naszej ciemnej opaleniznie? Z twoimi włosami mógłby zrobić to samo.

— Nie. Czułbym się głupio.

— Tutaj nie musisz się nikogo krępować. Jak będziesz się przez całe lato moczył w wodzie, to i tak ci spłowieją.

Milczał, więc po chwili dodała: — Nikt cię do tego nie zmusza. Zrobi moje, popatrzysz sobie i może się też zdecydujesz. Zobaczymy.

— Nie rób za mnie żadnych planów, Diablico. Jutro wstanę bardzo wcześnie, popracuję, a ty możesz zostać w łóżku i nie spieszyć się.

— Napisz także coś o mnie. Nawet że jestem niedobra, byleby było o tym, jak strasznie cię kocham.

— Prawie doszedłem do tego momentu.

— Czy to się nadaje do druku?

— Na razie próbuję to po prostu napisać.

— A dasz mi to kiedyś do przeczytania?

— Jeżeli uda mi się wyrazić to, co bym chciał.

— Już jestem z ciebie dumna. Wiesz co, nie wydawaj tego, wtedy nie będzie ani książki w sprzedaży, ani egzemplarzy dla recenzentów, no i żadnych wycinków prasowych. Nie będziesz się musiał niczego wstydzić, zostanie to naszą własnością, na zawsze.

David Bourne obudził się o świcie, wstał, nałożył szorty i koszulę i wyszedł na dwór. Bryza ustała. Morze było gładkie, dzień miał zapach rosy i sosen. Poszedł boso po gładkich płytach tarasu na drugi kraniec długiego domu, wszedł do pokoju i usiadł przy swoim roboczym stole. Okna pozostały otwarte przez całą noc, więc pokój był chłodny i pełen porannej nadziei.

Opisywał drogę z Madrytu do Saragossy, raz wznoszącą się, raz opadającą i to, jak pędem wjechali pomiędzy czerwone wzgórza, i to, jak sunąc po wąskiej zakurzonej szosie ich mały samochodzik dopędził ekspres i jak Katarzyna mijała go rytmicznie, wagon za wagonem, tender, maszynistę, palacza, nos lokomotywy, aż wreszcie pociąg wpadł do tunelu, a ona skręciła w lewo.

— Już go miałam — oświadczyła — ale uciekł mi pod ziemię. Jak myślisz, czy uda mi się go jeszcze kiedyś dopaść?

Patrząc na mapę Michelina odparł: — W każdym razie, jeszcze nieprędko.

— No to dam sobie z nim spokój — oświadczyła. — Pojeździmy trochę na chybił trafił.

Droga wznosiła się, ujrzeli rosnące wzdłuż rzeki topole, było coraz stromiej, ale samochodzik radził sobie doskonale i gdy wreszcie wyjechali na szosę, Katarzyna wyprostowała się z zadowoleniem.

Kiedy usłyszał jej dochodzący z ogrodu głos, przestał pisać. Zamknął brulion do walizki i wyszedł zamykając drzwi na klucz. Wiedział, że pokojówka, gdy będzie chciała sprzątnąć, otworzy je zapasowym kluczem.

Katarzyna siedziała na tarasie i jadła śniadanie przy stole nakrytym obrusem w biało-czerwoną kratę. Miała na sobie świeżo upraną, pasiastą bluzę z Grau du Roi, która już trochę zbiegła się i spłowiła, szare flanelowe spodnie i espadrile.

— Halo — pozdrowiła go. — Niezbyt dobrze spałam.

— Wyglądasz doskonale.

— Dziękuję. Czuję się doskonale.

— Skąd masz te spodnie?

— Kazałam je sobie uszyć w Nicei. U dobrego krawca. Podobają ci się?

— Są świetnie skrojone. Ale może trochę za nowe. Zamierzasz je nosić w mieście?

— Nie w mieście. W Cannes i przecież nie w sezonie. Na przyszły rok wszyscy będą się tak ubierać. Już teraz spotykam ludzi w naszych bluzach. One wyglądają fatalnie ze spódnicą. Mam się przebrać?

— Absolutnie nie. Bardzo ci w nich ładnie. Tyle że są trochę zbyt starannie zaprasowane.

Po śniadaniu, podczas gdy David golił się, brał prysznic, nakładał stare flanelowe spodnie, marynarską bluzę i espadrile, Katarzyna przebrała się w niebieską bawełnianą bluzkę i białą spódnicę z grubego lnu.

— Tak będzie lepiej. Te moje spodnie są może dobre tutaj, ale na to, co mamy zamiar dzisiaj robić, pewnie za bardzo rzucają się w oczy. Schowam je na inną okazję.

U fryzjera panował bardzo miły i swobodny, ale jednocześnie profesjonalny nastrój. Monsieur Jean, który był mniej więcej w wieku Davida i wyglądał bardziej na Włocha niż na Francuza, powiedział: — Ostrzygę panią tak, jak pani sobie życzy. Monsieur się zgadza?

— Nie jestem z fachu — uśmiechnął się David. — Pozostawiam to wam dwojgu.

— Może lepiej zrobimy eksperyment na włosach Monsieur — zaproponował fryzjer. — W razie gdyby nam nie wyszło.

Mimo to Monsieur Jean zabrał się do strzyżenia Katarzyny, czyniąc to ostrożnie, lecz sprawnie. David przyglądał się jej opalonej poważnej twarzy, wylaniającej się spod podchodzącej pod samą szyję ochronnej narzutki. Patrzyła w ręczne lustro, uważnie obserwując grzebień, nożyczki i każdy spadający włos. Fryzjer pracował niczym rzeźbiarz, z powagą i koncentracją.

— Zastanawiałem się nad tym, jak Madame strzyc przez cały wczorajszy wieczór i dzisiejszy ranek — powiedział. — Monsieur może mi nie wierzyć, ale dla mnie to, co robię, jest równie ważne, jak dla pana to, co pan robi.

Odsunął się, żeby obejrzyć z pewnej odległości kształt, jaki osiągnął. Potem zaczął pracować bardzo szybko i na koniec obrócił fotel Katarzyny tak, że duże lustro odbijało się w małym.

— Czy tak chce pan je zostawić za uszami? — zapytała go Katarzyna.

— Jak pani uważa. Mogę je jeszcze trochę podstrzyc. Ale jeżeli je mocno rozjaśnimy, będzie na pewno dobrze.

— Rozjaśnimy je.

Uśmiechnął się. — Madame rozmawiała już ze mną na ten temat. Ale powiedziałem jej, że zadecydować musi Monsieur.

— Monsieur już zadecydował — oświadczyła Katarzyna.

— Na ile mam je, zdaniem Monsieur, rozjaśnić?

— Na ile pan może.

— Proszę tak nie mówić. Muszę dokładnie wiedzieć.

— No to na kolor moich pereł — powiedziała Katarzyna. — Tyle razy je pan widział.

David podszedł do fotela i przyglądał się, jak Monsieur Jean rozbełtuje drewnianą łyżką szampon w dużej szklance. — Zamawiam specjalny szampon z mydła, zrobionego na bazie oliwy — wyjaśnił mu fryzjer. — Jest ciepły. Proszę podejść do umywalki. Niech się pani pochyli — zwrócił się do Katarzyny — i zakryje sobie czoło tym ręcznikiem.

— Ale to wcale jeszcze nie jest prawdziwie chłopięca fryzura — powiedziała Katarzyna. — Planowaliśmy coś zupełnie innego. Wszystko jest nie tak, jak miało być.

— Jest jak najbardziej chłopięca. Proszę mi wierzyć.

Fryzjer zmoczył włosy Katarzyny tym swoim gęstym, pieniającym się szamponem o nieco ostrym zapachu.

Kiedy włosy Katarzyny zostały starannie wymyte i kilkakrotnie wypłukane, David stwierdził, że straciły właściwie wszelki kolor i że woda rozdzielając je ryje w nich wąziutkie ścieżki, między którymi przebija się dziwna wilgotna bladość skóry. Fryzjer owinął je ręcznikiem i zaczął je delikatnie masować. Sprawiał wrażenie człowieka, który dobrze wie, co robi.

— Proszę się tak nie martwić, Madame — powiedział. — Chyba nie wyobraża pani sobie, że zrobiłbym cokolwiek, by zaszkodzić jej urodzie?

— Bardzo się martwię, ale to nie o urodę chodzi.

Wciąż delikatnie wycierał jej głowę, a potem przyniósł ręczną suszarkę, puścił ciepły strumień na włosy Katarzyny i zaczął je zaczesywać do przodu.

— Teraz uwaga — powiedział.

Włosy Katarzyny wysychając przemieniały się z wilgotno-szarych w jasne, błyszczące, skandynawskosrebrzyste. Podmuchi suszarki sprawiał to na ich oczach.

— Prosiłem, żeby się pani nie bała — odezwał się fryzjer, tym razem nie dodając Madame, opamiętał się jednak szybko: — Madame pragnęła, żeby były bardzo jasne, nieprawdaż?

— Są jeszcze piękniejsze niż moje perły. Pan jest wspaniały, a ja byłam okropna.

Natarł ręce żelem ze słoika. — Tylko jeszcze odrobinka tego — musnął palcami jej głowę, uśmiechnął się i spojrzał na nią z satysfakcją.

Katarzyna wstała i przejrzała się w lustrze z wielką powagą. Twarz jej nigdy jeszcze nie była taka ciemna, a włosy przypominały korę młodej białej brzozy.

— Bardzo mi się podobają — powiedziała. — Może nawet za bardzo.

Patrzała w lustro, jak gdyby nigdy nie widziała odbijającej się w nim dziewczyny.

— Teraz zabierzemy się do Monsieur — oświadczył fryzjer. — Czy Monsieur zgadza się na taką samą fryzurę? Jest tradycyjna i sportowa zarazem.

— No dobrze — zgodził się David. — Od co najmniej miesiąca nie byłem u fryzjera.

— Może go pan ostrzyże tak samo jak mnie — zaproponowała Katarzyna.

— Tylko jeszcze trochę krócej — dodał David.

— Nie, nie. Tak samo.

Kiedy było po wszystkim, David wstał i przesunął ręką po włosach. Było mu chłodno i przyjemnie.

— A nie chcesz, żeby ci je rozjaśnił?

— Nie. Dosyć cudów na jeden dzień.

— Może chociaż troszeczkę?

— Nie.

David rzucił okiem na Katarzynę, potem na odbicie swojej twarzy w lustrze. Miał równie ciemną opaleniznę co ona, identyczną fryzurę.

— Naprawdę ci tak na tym zależy?

— O tak, Davidzie. Naprawdę. Zgódź się. O jeden odcień. Proszę cię.

Raz jeszcze zerknął w lustro, podszedł do fotela i usiadł. Fryzjer spojrział na Katarzynę.

— Niech się pan zabiera do roboty — powiedziała.

## ***Rozdział dziesiąty***

Właściciel hotelu siedział na tarasie przy stoliku, na którym stała butelka wina, szklanka i filiżanka po kawie, czytając „Eclairer de Nice”, kiedy na wysypany żwirem podjazd pędem wjechał niebieski samochód, z którego wysiedli Katarzyna i David. Ruszyli ku niemu po gładkich płytach chodnika. Nie spodziewał się tak szybkiego ich powrotu i był bardzo senny, lecz gdy znaleźli się naprzeciwko niego, wstał i wypowiedział pierwsze zdanie, jakie przyszło mu do głowy.

— *Madame et Monsieur ont fait décolorer leur cheveux. C'est bien*<sup>7</sup>.

— *Merci Monsieur. On le fait toujours dans le mois d'août*<sup>8</sup>.

— *C'est bien. C'est très bien*<sup>9</sup>.

— Jak to miło — zwróciła się Katarzyna do Davida — że jesteśmy dobrymi klientami. A wszystko, co dobry klient robi, jest dobre. Ty jesteś *très bien*. Jesteś, jak Boga kocham, jesteś.

W sypialni było zimno, przewiewała ją silna bryza dobra dla żeglarzy.

---

<sup>7</sup> Madame et Monsieur... (fran.) — Madame i Monsieur kazali sobie odbarwić włosy. To dobrze.

<sup>8</sup> Merci Monsieur. On le... (fran.) — dziękuję. Robimy to zawsze w sierpniu.

<sup>9</sup> C'est bien. C'est très bien. (fran.) — to dobrze. To bardzo dobrze.

— Podoba mi się ta niebieska bluza — powiedział David. — Postój tak jak teraz przez chwilę.

— Jest tego samego koloru co nasz samochód. Czy nie sądzisz, że wyglądałabym ładniej, gdybym zdjęła spódnicę?

— Wszystko, co miewasz na sobie, wygląda lepiej bez spódnicy. Pójdę teraz do naszego starego kozła i postaram się zostać jeszcze lepszym klientem.

Wrócił z kubelkiem lodu i butelką tego szampana, którego właściciel hotelu zawsze im polecał, a który tak rzadko pili, w drugiej ręce trzymał tackę, na której stały dwa kieliszki.

— Może byśmy go spróbowali. Za kwadrans powinien być zimny.

— Daj sobie spokój z szampanem. Chodź do łóżka, niech na ciebie popatrę. Przytul mnie.

Zdejmowała mu koszulę przez głowę, więc podniósł się, by ułatwić jej zadanie.

Kiedy zasnęła, David wstał, wszedł do łazienki, spojrzął na swoje lustrzane odbicie i zaczął sobie szcztokować włosy. Nie dawały się ułożyć inaczej, niż były ostrzyżone. Można je było mierzwić, rozrzucać, a one zawsze wracały do nadanej im linii i kolor miały ten sam, co włosy Katarzyny. Podeszedł do drzwi i spojrzął na nią, uśpioną na łóżku. Potem powrócił do łazienki i wziął do ręki jej duże ręczne lustro.

— No więc, tak to jest. Pozwoliłeś to sobie zrobić z włosami, pozwoliłeś ostrzyć się tak samo jak twoja dziewczyna, i jak się teraz z tym czujesz? — zwrócił się do lustra. — Jak się czujesz? Mów.

— Podobasz się sobie — powiedział na głos.

Znowu spojrzął w lustro i tym razem zobaczył kogoś zupełnie innego, chociaż nieco mniej obcego.

— No dobra, podobasz się sobie — odezwał się znowu. — A teraz brnij dalej, rób, co musisz, chociaż diabli wiedzą, co to właściwie jest, i żebyś tylko potem nie mówił, że cię ktoś do tego namówił czy zmusił.

Patrzył na twarz, która nie była mu już obca, która już była jego własną twarzą, i dodał: — Przecież podoba ci się to. Zapamiętaj sobie wszystko. Żeby nie było żadnych wątpliwości. Teraz już dokładnie wiesz, jak wyglądasz i jak się z tym czujesz.

Oczywiście nie wiedział dokładnie, jak się z tym czuje. Ale usiłował to sobie uzmysłwić, a jego lustrzane odbicie mu w tym pomagało.

Tego wieczoru zasiedli do kolacji na tarasie przed długim domem, byli weseli, ale spokojni i z przyjemnością przyglądali się sobie nawzajem w przyćmionym świetle stojącej na stoliku lampki. Po kolacji Katarzyna powiedziała do młodego chłopca, który podawał do stołu: — Proszę iść do naszego pokoju, przynieść kubek do szampana i zamrozić nam butelkę.

— Czy nam rzeczywiście potrzebna jest jeszcze jedna butelka? — zapytał David.

— Myślę, że tak. A ty nie? .

— Proszę bardzo.

— Nie musisz.

— A nie chcesz koniaku?

— Nie. Wolę wino. Czy będziesz jutro pracował?

— Jeszcze nie wiem.

— Pracuj, jeżeli masz ochotę, bardzo cię proszę.

— A co będziemy robili dzisiaj?

— Zobaczymy. Mieliśmy bardzo bogaty dzień.

Noc była ciemna, wiało coraz silniej, wiatr szumiał w koronach sosen.

— Davidzie?

— Tak?

— Jak się masz, dziewczyno.

— W porządku.

— Dziewczyno, pozwól, że dotknę twoich włosów. Kto ci je ostrzygł? Czy to Jean? Są takie gęste, tak świetnie obcięte, identycznie jak moje. Pozwól, że cię pocałuję, dziewczyno. Och, jakie masz cudne usta. Zamknij oczy, dziewczyno.

Nie zamykał oczu, ale w pokoju było ciemno, z zewnątrz dochodził szum targanych wiatrem wysokich drzew.

— Wiesz, co ci powiem? Wcale nie jest łatwo być dziewczyną, kiedy się nią naprawdę jest. Jeżeli się czuje to, co czują dziewczyny.

— Wiem.

— Tego nikt nie wie. Powiem ci, jak to jest, kiedy się jest dziewczyną. Rzecz nie polega na zaspokajaniu. Mnie tak łatwo zaspokoić. Chodzi o to, że jedni czują, a inni nie. Ja myślę, że ludzie kłamią na ten temat. Tak przyjemnie jest mieć cię blisko, trzymać w ramionach. Jestem taka szczęśliwa. Bądź po prostu moją dziewczyną i



kochaj mnie tak, jak ja ciebie. Kochaj mnie więcej. Tak jak teraz potrafisz. Ty teraz. Tak ty. Proszę ty.

Zjeżdżali pochyłą drogą w stronę Cannes, a kiedy już byli na dole i sunęli wzdłuż opuszczonej plaży, a potem przez most na rzece, zerwał się silny wiatr, pod którego podmuchem wysoka trawa chyliła się i kładła. Na ostatnim odcinku dobrej podmiejskiej szosy Katarzyna dodała gazu. David sięgnął po zimną, owiniętą ręcznikiem butelkę, łyknął raz a dobrze i natychmiast poczuł się oderwany od swojej pracy, od pisania, poniesiony lekko w dal i w górę po czarnej asfaltowej drodze. Tego ranka nic nie napisał i kiedy już przemierzyli miasteczko i znaleźli się w plenerze, znów odkorkował butelkę, pociągnął z niej i podał Katarzynie.

— Nie chcę tego, nie jest mi potrzebne — oświadczyła. — Czuję się zbyt dobrze.  
— Doskonale.

Minęli Golfe-Juan, gdzie znali świetne bistro i mały barek, potem jechali przez sosnowy las, a potem wzdłuż żółtej plaży Juan-les-Pins. Przemierzyli półwysep szybką czarną szosą, przez Antibes jechali drogą prowadzącą wzdłuż torów kolejowych, przecięli środek miasteczka i port, minęli kwadratową wieżę obronną i znowu znaleźli się na otwartej przestrzeni. — Szkoda, że ta droga już się skończyła — powiedziała Katarzyna. — Zawsze pożeram ją zbyt szybko.

Zatrzymali się na piknik w załomie starego kamiennego muru stanowiącego część jakiegoś zrujnowanego budynku tuż przy wartkim strumyku, który spływał z gór i w drodze do morza przecinał tę nie zamieszkaną dolinę. Silny wiatr przedzierał się przez przełęcz. Rozłożyli koc na ziemi, usiedli pod samym murem i patrzyli poprzez bezludzie ku morzu o płaskiej, lekko pofalowanej powierzchni.

— Nie ma tu nic specjalnego — zauważyła Katarzyna. — Nie wiem, co sobie wyobrażałam, kiedy postanowiłam tu przyjechać.

Wstali i spojrzeli w górę na stoki z przylepionymi do nich tu i ówdzie wioskami i na wznoszące się w oddali szare i fioletowe góry. Wiatr rozgarniał im włosy, Katarzyna wskazała ręką drogę prowadzącą wysoko przez przełęcz, którą kiedyś jechała.

— Mogliśmy właściwie pojechać w góry — powiedziała. — Ale tam jest szalenie klaustrofobicznie i stanowczo zbyt malowniczo. Nie cierpię tych przyczepionych do stoków wiosek.

— Tu jest bardzo przyjemnie — odparł David. — Śliczny ten strumyk i trudno byłoby znaleźć lepszy mur.

— Nie pocieszaj mnie. Nie musisz.

— Jesteśmy znakomicie osłonięci od wiatru, podoba mi się tu. Odwróćmy się plecami od tej całej malowniczości.

Jedli faszerowane jajka, pieczoną kurę, kiszzone ogórki, z długiej białej bułki odrywali kawałki, smarowali je musztardą i popijali winem *rosé*.

— Dobrze ci? — zapytała Katarzyna.

— Pewnie.

— Przedtem też nie było źle?

— Nie.

— Nie zdenerwowało cię coś w tym, co mówiłam?

David łyknął wina i odparł: — Wiesz, nawet się nad tym nie zastanawiałem.

Katarzyna wstała, ustawiła się pod wiatr tak, że sweterek przyłgnał do jej piersi i włosy zmierzwiły się, a potem, gdy patrzyła na niego z góry i jej mocno opalona twarz rozjaśniła się uśmiechem, obróciła się i spojrzała na płaską, lekko pofałdowaną powierzchnię morza.

— Pojedziemy do Cannes, kupimy gazety i poczytamy je sobie w kawiarni — zaproponowała.

— Chcesz się pokazać ludziom?

— A czemu nie? Dzisiaj po raz pierwszy wyszliśmy razem. Nie krępuje cię to?

— Nie, Diablico. Czemu miałoby mnie krępować?

— Nie zrobiłabym tego bez twojej zgody.

— Twierdziłaś, że tego chcesz.

— Chcę zawsze tego samego co ty. Nie mogę być bardziej uległa, niż jestem. Powiedz sam?

— Nikt nie żąda, żebyś była uległa.

— Dajmy sobie z tym spokój, dobrze? Tak chciałam być dzisiaj dobra. Nie psujmy sobie wszystkiego.

— No to sprzątnijmy po sobie i jazda.

— Dokąd?

— Dokądkolwiek. Może być do tej cholерnej kawiarni.

W Cannes zakupili gazety i świeże numery francuskiego wydania „Vogue”, „Chasseur Français”, „Miroir des Sports” i usiedli przy stoliku przed kawiarnią od nawietrznej strony, czytali, pili i znów byli przyjaciółmi. David kazał sobie podać whisky Haiga z Perrierem, a Katarzyna Armagnac z Perrierem.

Zajechały dwie dziewczyny, zaparkowały samochód na ulicy, podeszły, usiadły przy stoliku i zamówiły sobie jedno Chamberry Cassis i jeden koniak z wodą sodową. Koniak z wodą zamówiła sobie ładniejsza z nich.

— Co to za dziewczyny? — zapytała Katarzyna Davida. — Wiesz coś o nich?

— W życiu ich nie widziałem.

— A ja tak. Muszą mieszkać gdzieś w pobliżu. Spotkałam je w Nicei.

— Jedna jest bardzo ładna. Nogi też ma dobre.

— To siostry — stwierdziła Katarzyna. — Są atrakcyjne, naprawdę.

— Jedna jest piękna. To nie mogą być Amerykanki.

Dziewczyny sprzeczały się ze sobą i Katarzyna zauważyła: — To chyba poważniejsza kłótnia.

— Skąd wiesz, że to siostry?

— Tak sobie pomyślałam, gdy zobaczyłam je w Nicei. Teraz już nie jestem taka pewna. Ich samochód ma szwajcarską rejestrację.

— Stary model Isotty.

— Poczekamy i zobaczymy, co będzie dalej. Od dłuższego czasu nie byliśmy świadkami niczego ciekawego.

— Myślę, że to po prostu zwykła włoska kłótnia.

— Sprawa staje się poważna, bo mówią coraz ciszej.

— Pewnie zaraz znowu zaczną na siebie wrzeszczeć. Ta jedna jest naprawdę piękna.

— O tak. Zobacz, podchodzi do nas.

David wstał.

— Bardzo przepraszam — odezwała się dziewczyna. — Państwo wybaczą. Niech pan nie wstaje — zwróciła się do Davida.

— A może się pani do nas przysiądzie? — zaproponowała Katarzyna.

— Nie powinnam. Moja przyjaciółka denerwuje się. Powiedziałam jej, że państwo zrozumiecie i wybaczącie nam.

— Wybaczamy? — zwróciła się Katarzyna do Davida.

— Wybaczamy.

— Wiedziałam, że tak będzie — uśmiechnęła się dziewczyna. — Chodzi o to, że chciałabym się zapytać, gdzie państwo się tak wspaniale ostrzygli. — Zarumieniła się. — A może to jest tak jak kopiowanie cudzej sukni? Moja przyjaciółka twierdzi, że to jeszcze gorszy nietakt.

— Zapiszę pani adres naszego fryzjera — zaofiarowała się Katarzyna.

— Trochę mi wstyd. Państwo się nie gniewają?

— Skądże — powiedziała Katarzyna. — Może wypłybyście panie z nami po kieliszku?

— Dziękuję, chyba nie. Ale zapytam przyjaciółkę.

Powróciła do swojego stolika, gdzie nastąpiła cicha, krótka, ale gwałtowna wymiana zdań.

— Moja przyjaciółka bardzo przeprasza — powiedziała dziewczyna — ale nie może się do państwa przysiąść. Mam jednakże nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy. Bardzo państwu dziękuję.

— Jak ci się podoba? — zwróciła się Katarzyna do Davida.

— Jak na tak burzliwy dzień, wcale nieźle nam idzie.

— Zaraz wróci, żeby zapytać, kto ci tak dobrze skroił spodnie.

Przy tamtym stoliku kłótnia wciąż trwała. Wtem dziewczyny wstały i podeszły do Katarzyny i Davida.

— Czy pozwolą państwo, że przedstawię im przyjaciółkę...

— Ja jestem Nina.

— Nasze nazwisko Bourne — powiedział David. — Miło nam, że panie zdecydowały się do nas przyłączyć.

— To miło, że państwo nas zaprosili — odparła ładniejsza. — Co za odwaga — dodała i zarumieniła się.

— Ależ to bardzo twarzowa fryzura — odpowiedziała Katarzyna. — Ten fryzjer jest świetny.

— Z pewnością — powiedziała ładniejsza. Mówiła zadyszczonym głosem i znowu spłonęła rumieńcem. — Zauważyłam panią w Nicei — zwróciła się do Katarzyny. — Już wtedy chciałam do pani podejść. To znaczy zapytać panią.

Ona nie może się znowu zarumienić, pomyślał David. Ale zrobiła to.

— Która z pań chce się tak ostrzyć? — zapytała Katarzyna.

— Ja — odparła ładniejsza.

— Ja też, głuptasie.

— Mówiłaś, że tego nie zrobisz.

— Zmieniłam zdanie.

— Masz ci — zauważyła ładniejsza. — Musimy już iść. Czy państwo często przychodzą do tej kawiarni?

— Czasami — odpowiedziała Katarzyna.

— Mam nadzieję, że się znowu kiedyś spotkamy. Do zobaczenia i raz jeszcze dziękuję za informację.

Dziewczyny powróciły do swojego stolika, Nina wezwała kelnera, zapłaciły i wyszły.

— To nie są Włoszki — powiedział David. — Ta jedna jest sympatyczna, ale denerwuje mnie to, że ciągle się rumieni.

— Zakochała się w tobie.

— Oczywiście. Właśnie na mnie zwróciła uwagę w Nicei.

— Nic na to nie poradzę, jeżeli się we mnie zakochała. Nie jest pierwszą dziewczyną, której się to przytrafiło. Żadnej nic z tego nie przyszło.

— A co z Niną?

— Z tą zdziwą?

— Jest agresywna jak wilczyca. Ale w sumie było to zabawne.

— Zabawne? Dla mnie raczej smutne.

— Dla mnie też.

— Poszukamy sobie na przyszłość innej kawiarenki — zaproponowała Katarzyna. — Na razie poszły sobie.

— Są raczej niesamowite.

— Też tak uważam. Chociaż jedna jest całkiem sympatyczna. Ma piękne oczy. Zauważyłeś?

— Ale ciągle się rumieni.

— Mnie się podobała. A tobie nie?

— Chyba tak.

— Ludzie, którzy się nie rumienią, są nic niewarci.

— Nina też się zarumieniła jeden raz.

— Potrafiłabym być bardzo niegrzeczna dla Niny.

– Nie przejęłaby się.

– Nie. Jest dobrze opancerzona.

. – Napijesz się jeszcze czegoś przed powrotem do domu?

– Nie, dziękuję. Ty się napij, jeżeli chcesz.

– Zamów sobie coś. Zwykle pijesz dwa drinki przed kolacją. Ja też mogę coś przelknąć dla towarzystwa.

– Lepiej nie. Wracajmy już.

Obudził się w środku nocy i słysząc wycie wiatru obrócił się na drugi bok, podciągnął prześcieradło pod szyję i zamknął oczy. Poczul jej oddech na plecach i znowu zamknął oczy. Oddychała cicho i regularnie. Po chwili i on usnął.

## ***Rozdział jedenasty***

Wiało silnie już drugi dzień i wiatr ani myślał ustawać. David przerwał w samym środku pisanie o ich podróży i zabrał się do opowiadania, na pomysł którego wpadł cztery czy pięć dni wcześniej i które dojrzewało w nim, tak przynajmniej podejrzewał, przez ostatnie dwie noce podczas snu. Wiedział, że nie należy przerywać wątku, nad którym się pracuje, ale był tak pewny swojego tematu, tak zadowolony z wyboru tematu, że bez wahania przerzucił się na pisanie opowieści, która go nawiedziła, w pełnym przekonaniu, że jeżeli nie zrobi tego zaraz, to straci ją bezpowrotnie. Pisanie szło mu łatwo, jak to się zwykle dzieje, gdy pracuje się nad czymś, co jest gotowe do przelania na papier, i kiedy był mniej więcej w połowie, postanowił przerwać robotę do następnego dnia. Jeżeli po odpoczynku miałyby się okazać, że go bardzo ciągnie do biurka, usiądzie i skończy rzecz za jednym zamachem. Miał jednakże nadzieję, że uda mu się od tego powstrzymać i że będzie to mógł zrobić z samego rana, świeży i wypoczęty. Dobry był to temat na opowiadanie i dopiero teraz uświadomił sobie, że od dawna nosił się z zamiarem wykorzystania go, że bynajmniej nie wpadł mu do głowy przed kilkoma dniami. Że w tym wypadku zawiodła go pamięć. Zakończenie znał. Znał zapach wiatru i wyblakłe na słońcu kości, ale te fakty były odległe, a on zabrał się do wymyślania całej fabuły od początku. Wszystko stawało się prawdą, bo przytrafiało mu się w trakcie pisania, tyle że kości były martwe

i rozrzucone i pozostały daleko za nim. Opowiadanie zaczynało się od zła czyhającego w afrykańskim osiedlu, wiedział, że pisać musi, i dobrze mu się pisało.

Zmęczony pracą, ale szczęśliwy znalazł karteczkę od Katarzyny, która zawiadamiła go, że nie chcąc mu przeszkadzać, wyszła i wróci dopiero na obiad. Wyszedł z pokoju, zamówił sobie śniadanie i kiedy na nie czekał, zjawił się właściciel hotelu, Monsieur Aurol. Panowie wdali się w rozmowę o pogodzie. Monsieur Aurol powiedział, że wiatr rzadko wieje w tym kierunku, że to nie jest prawdziwy mistral, bo jeszcze nie sezon na mistrale, i że najprawdopodobniej potrwa trzy dni. Pogoda jest obecnie zupełnie zwariowana, Monsieur z pewnością to zauważył. Gdyby ktoś zwracał na nią baczną uwagę, stwierdziłby bez wątpienia, że od zakończenia wojny jest nienormalna.

David odparł, że trudno mu było zwracać baczną uwagę na pogodę, ponieważ dużo podróżował, ale faktem jest, że pogoda jest dziwna. Nie tylko pogoda, dodał Monsieur Aurol, wszystko się zmieniło, a co się jeszcze nie zmieniło, na pewno bardzo szybko się zmieni. Może to i dobrze, on przynajmniej nie zamierza się przeciwstawiać tym zmianom. Monsieur, jako mężczyzna światowy, niewątpliwie podziela jego pogląd.

Niewątpliwie, zgodził się David, i w poszukiwaniu krańcowego i ostatecznego idiotyzmu dodał, że trzeba koniecznie zająć się przeglądem *cadres*.

Otóż to, zgodził się Monsieur Aurol.

Na tym rozmowa się skończyła. David wypił swoją *café creme*, przeczytał "Miroir des Sports" i nagle strasznie zatęsknił za Katarzyną. Poszedł do pokoju, znalazł *Daleko stąd i dawno temu*, powrócił na taras, usiadł przy stoliku stojącym w nasłonecznionym i bezwietrznym miejscu i zabrał się do lektury tej uroczej książki. Katarzyna sprowadziła ją z księgarni Galignaniego w Paryżu, prosząc specjalnie o wydanie Denta i kiedy paczka nadeszła, poczuli się autentycznie bogaci. Od czasu *Grau du Roi* cyfry określające jego konto bankowe, obojętne, w dolarach czy we frankach, wydawały się Davidowi zupełnie nierealne, nie wyobrażał sobie, że mogłyby symbolizować prawdziwe pieniądze. Dopiero widok dzieła W. H. Hudsona zrodził w nim poczucie zamożności. Kiedy powiedział o tym Katarzynie, szalenie się ucieszyła.

Po godzinie lektury zaczął na dobre tęsknić za Katarzyną, więc poszedł na poszukiwania młodego kelnera i zamówił sobie whisky z Perrierem. Nieco później wypił drugą. Było już dawno po obiadowej porze, kiedy wreszcie usłyszał warkot wjeżdżającego na wzgórze samochodu.

Po chwili usłyszał wesołe, podniecone głosy. Nagle rozmowa umilkła i Katarzyna powiedziała: — Zobacz, kogo ci przyprowadziłam.

— Przepraszam, wiem, że nie powinnam się była na to zgodzić — odezwała się dziewczyna. Była to owa ładna ciemnowłosa, jedna z tych, które spotkali poprzedniego dnia w kawiarni, ta, co się tak łatwo rumieniła.

— Dzień dobry — przywitał ją David. Najwyraźniej wracała od fryzjera, gdyż włosy miała obcięte krótko, podobnie jak Katarzyna w Biarritz. — Widzę, że znalazła pani ten adres.

Dziewczyna splonęła rumieńcem i spojrzała na Katarzynę jak gdyby szukając pomocy.

— Popatrz na nią — zażądała Katarzyna. — Przejeźdź ręką po jej włosach.

— Och, Katarzyno — powiedziała dziewczyna, a do Davida: — Jeżeli ma pan na to ochotę.

— Proszę się mnie nie bać — uśmiechnął się David. — Czy pani wie, w co się pani wplątała?

— Nie, chyba nie wiem — odpowiedziała. — Ale szalenie się cieszę, że tu jestem.

— Gdzieście były tak długo? — zwrócił się David do Katarzyny.

— U Jeana, to chyba widać. Potem zatrzymałyśmy się na drinka, no i zaprosiłam Maritę na obiad. Nie jesteś zadowolony, że przyjechałyśmy?

— Jestem zachwycony. Napijcie się?

— Zrób nam Martini — zażądała Katarzyna. — Jeden ci nie zaszkodzi — powiedziała do dziewczyny. .

— Nie, proszę cię, przecież prowadzę.

— Może wobec tego sherry?

— Nie, naprawdę.

David podszedł do baru, poszukał lodu i kieliszków i sporządził dwa koktajle Martini.

— Wezmę łyk z pańskiego kieliszka, jeżeli można — powiedziała dziewczyna do Davida.

— Już się go nie boisz? — zapytała ją Katarzyna.

— Nic a nic — znowu się zarumieniła. — Pyszny, ale strasznie mocny.

— Mocny — zgodził się David. — Ale wiatr też jest mocny, a my pijemy zawsze w zależności od siły wiatru.



— Ach tak? Czy wszyscy Amerykanie uznają tę zasadę?

— Tylko najstarsze rodziny — odparła Katarzyna. — My, Morganowie, Woolworthowie, Jelksowie, Jukesowie. Rozumiesz?

— Ciężkie jest życie w okresie burz i huraganów — oświadczył David. — Czasami wątpię, czy uda nam się przeżyć jesienne ekwinokcja.

— Kiedyś, jak nie będę prowadziła samochodu, chętnie wypiję takiego Martini — powiedziała dziewczyna.

— Nie musisz pić tylko dlatego, że my pijemy — powiedziała Katarzyna. — I nie zwracaj uwagi na nasze dowcipy. My tak zawsze. Spójrz na nią, Davidzie. No mów, zadowolony jesteś, że ją przywiozłam?

— Strasznie mi się podoba, że ciągle żartujecie. Tak się cieszę, że tu jestem. Nie gniewacie się?

— Miło nam, że pani zgodziła się przyjechać — pochwalił ją David.

W jadalni, gdzie kazali sobie podać obiad ze względu na wiatr, David zapytał:

— A gdzie pani przyjaciółka Nina?

— Wyjechała.

— Jest bardzo ładna — stwierdził David.

— O tak. Pokłóciłyśmy się i wyjechała.

— To straszna dziwka — stwierdziła Katarzyna. — Czasami mam wrażenie, że wszystkie baby to dziwki.

— Prawie wszystkie — zgodziła się dziewczyna. — Zawsze mam nadzieję, że któraś będzie inna, ale z reguły się myślę.

— Znam mnóstwo dziewcząt, które nie są dziwkami — powiedział David.

— Nie dziwi mnie to u pana — stwierdziła dziewczyna.

— A czy ta Nina była przynajmniej szczęśliwa? — zainteresowała się Katarzyna.

— Mam nadzieję, że będzie — odparła dziewczyna. — Z mojego doświadczenia wynika, że inteligentni ludzie rzadko bywają szczęśliwi.

— Nie miała pani zbyt wiele czasu, żeby się o tym przekonać.

— Jak się robi błędy, to się szybciej mądrzeje — uśmiechnęła się dziewczyna.

— Przez całe przedpołudnie robiłaś wrażenie szczęśliwej — powiedziała Katarzyna. — Bawiliśmy się doskonale, Davidzie.

— Nie musisz mi tego mówić — uśmiechnęła się dziewczyna. — Jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu.

Później, już przy sałacie, David zapytał dziewczynę: — Czy pani mieszka niedaleko stąd?

— Nigdzie nie mieszkam. Właśnie wyjeżdżam.

— Naprawdę? Szkoda — odparł i poczuł napięcie rozciągające się nad ich stolikiem jak struna. Spojrzał na dziewczynę siedzącą z nisko opuszczonymi powiekami, tak że jej rzęsy dotykały policzków, potem na Katarzynę, która patrząc mu prosto w oczy powiedziała: — Miała wracać do Paryża, więc powiedziałam jej, że mogłaby zamieszkać tutaj, jeżeli Aurol ma wolny pokój. Pojedź ze mną na obiad, zaproponowałam jej, zobaczymy, czy spodoba się Davidowi i czy tobie spodoba się nasz hotel. Powiedz, Davidzie, czy ona ci się podoba?

— To nie jest klub, lecz hotel — odparł David. Katarzyna odwróciła wzrok i David pospieszył jej z pomocą: — Pani jest bardzo miła i jestem przekonany, że Aurol ma wolny pokój. Będzie zadowolony z przyjazdu nowego gościa.

Dziewczyna siedziała nadal z opuszczonymi oczami.

— Chyba już na mnie czas.

— Zostań na kilka dni — prosiła ją Katarzyna. — Zrób to dla Davida i dla mnie. Nie mam się do kogoś odezwać, kiedy on pracuje. Będzie nam bardzo przyjemnie, tak samo jak dzisiaj. Namów ją, Davidzie.

Do diabła z nią, pomyślał David, niech ją szlag trafi.

— Nie bądź dzieckiem — powiedział do Katarzyny. — Proszę tu poprosić Monsieur Aurol — zwrócił się do młodego kelnera. — Spytały go o pokój.

— Czy pan naprawdę nie ma nic przeciwko temu? — zapytała dziewczyna.

— Nie zapraszalibyśmy pani, gdybyśmy nie mieli ochoty. Polubiliśmy panią, jest pani bardzo dekoracyjna.

— Może się na coś przydam — zarumieniła się dziewczyna. — Będę się starała.

— Niech pani będzie taka wesoła jak wówczas, kiedyście przyjechały — powiedział David. — To już będzie przydatne.

— Jestem wesoła. Szkoda, że nie wypłam tego koktajlu. Nie będę już przecież dzisiaj prowadziła samochodu.

— Napijesz się przed kolacją — przyrzekła jej Katarzyna.

— Cudownie. Może wybralibyśmy teraz dla mnie pokój, żeby to mieć z głowy?

David podwiózł ją swoim samochodem do Cannes, pod zaparkowaną przed kawiarnią wielką starą Isottę, w której znajdował się jej bagaż.

Po drodze powiedziała do niego: — Pana żona jest wspaniała, zakochałam się w niej.

Siedziała u jego boku i David nawet się nie obrócił, żeby zobaczyć, czy się zarumieniła.

— Ja też — oświadczył.

— W panu też się kocham — powiedziała dziewczyna. — W porządku?

Oderwał prawą rękę od kierownicy, położył ją na jej ramieniu. Przechyliła się w jego stronę.

— Zobaczymy, jak to będzie — powiedział.

— Cieszę się, że jestem niższa — zauważyła nagle.

— Niższa od kogo?

— Od Katarzyny.

— Co to ma znaczyć?

— Chciałam powiedzieć, że może będziesz miał ochotę na dziewczynę o mniejszych rozmiarach. Chyba że lubisz tylko duże.

— Katarzyna wcale nie jest duża.

— Naturalnie, że nie. Ale ja jestem od niej niższa.

— No tak i też bardzo opalona.

— Będziemy ładnie razem wyglądali.

— Kto?

— Katarzyna i ja. Ty i ja.

— Nic na to nie poradzimy.

— Nie rozumiem.

— To znaczy, że trudno byłoby, żebyśmy dobrze razem nie wyglądali, skoro jesteśmy ładni i jesteśmy razem.

— Teraz jesteśmy razem.

— Nie.

Prowadził jedną ręką, rozsiadł się wygodnie i pilnie obserwował szosę wypatrując skrzyżowania z drogą nr 7. Dziewczyna położyła mu rękę wysoko na udzie.

— Po prostu jedziemy w tym samym samochodzie — powiedział.

— Czuję, że mnie lubisz.

— Tak. Tego możesz być pewna, chociaż to nic nie znaczy.

— Znaczy.

— Tylko tyle co słowa.

— To są miłe słowa — powiedziała i umilkła. Nic nie mówiła, ale nie zdjęła ręki z jego uda, aż wjechali na bulwar i zatrzymali się tuż za starą Isottą Fraschini, zaparkowaną przed kawiarnią w cieniu starych drzew.

Wtedy uśmiechnęła się do niego i wyskoczyła z jego małego, niebieskiego samochodu.

A teraz w hotelu pod świerkami Katarzyna i David znowu byli sami w swojej sypialni. Katarzyna pomogła dziewczynie urządzić się w dwóch pokojach i powróciła do Davida.

— Myślę, że będzie jej tu dobrze — powiedziała. — Chociaż najlepszy pokój poza naszą sypialnią to ten na końcu domu, w którym pracujesz.

— I zamierzam go zatrzymać dla siebie — oświadczył David. — Za cholerę nie wyprowadziłbym się z niego dla jakiejś tam importowanej kurwy.

— Dlaczego jesteś taki agresywny? Nikt nie każe ci się wyprowadzać. Po prostu stwierdziłam, że to najlepszy pokój. Ale te dwa obok niego też są całkiem przyzwoite.

— Kim właściwie jest ta dziewczyna?

— Nie wiem, nie oglądałam jej dokumentów. Przesłuchaj ją, jeżeli jest ci to potrzebne do szczęścia.

— No nic, przynajmniej jest ładna. Ale właściwie czyja ona jest?

— Nie bądź prostacki. Jest niczyja.

— Mówże prosto z mostu.

— Dobrze. Ona jest zakochana w nas obojgu, chyba że mi się w głowie pomieszało.

— Nie pomieszało ci się.

— I co z tego wynika?

— Chyba jeszcze nic.

— Bo ja wiem — powiedziała Katarzyna.

— Ja też nie wiem.

— To dziwne, ale zabawne.

— Bo ja wiem — powtórzył David. — Może byśmy poszli popływać. Wczoraj też nie mieliśmy na to czasu.

– Doskonale. Zaproponować jej też? Zwykła uprzejmość.

– Musielibyśmy nałożyć kostiumy.

– To co? Przy tym wietrze to nie ma znaczenia. To nie jest dzień na leżenie na piasku i opalanie się.

– Nienawidzę pływania z tobą w kostiumie.

– Ja też. Może jutro wiatr ustanie.

Później, kiedy jechali we troje drogą na Estérel, i David, siedząc za kierownicą wielkiej starej Isotty, denerwował się z powodu zbyt twardych hamulców i jej ogólnego stanu, Katarzyna powiedziała: – Znamy dwie, trzy zatoczki, w których pływamy bez kostiumów, kiedy jesteśmy sami. To jedyny sposób na porządne opalenie się.

– To nie jest dzień na opalanie – przerwał jej David. – Za mocno dmucha.

– Jeżeli chcesz, to mimo to możemy pływać bez kostiumów – zwróciła się Katarzyna do dziewczyny. – Jeżeli David nie ma nic przeciwko temu. To mogłoby być całkiem zabawne.

– Świetnie – ucieszyła się dziewczyna. I do Davida: – Masz coś przeciwko temu?

Przed wieczorem, kiedy David sporządzał koktajle, dziewczyna powiedziała: – Czy z wami zawsze jest tak miło jak dzisiaj?

– Tak, to był zabawny dzień – zgodził się David. Katarzyna nie wyszła jeszcze z sypialni, więc on i dziewczyna siedzieli sami w kącie dużego salonu w stylu prowansalskim przed małym barem zainstalowanym przez Monsieur Aurol poprzedniej zimy.

– Kiedy piję, mówię rzeczy, jakie normalnie nie przeszłyby mi przez usta – stwierdziła dziewczyna.

– Lepiej tego nie rób.

– Po co w takim razie pić?

– To jest na razie twój pierwszy kieliszek.

– Wstydziles się, kiedy pływaliśmy nago?

– Nie. A powinienem był?

– Skąd. Podobasz mi się.

– Cieszę się. Jak ci smakuje mój Martini?

— Jest mocny, ale doskonały. Czy ty i Katarzyna z nikim innym nie pływaliście na golasa?

— Nie. Czemu mielibyśmy to robić?

— Opalę się na ciemny brąz.

— Na pewno.

— Może wolałbyś, żebym nie była taka ciemna?

— Masz piękną cerę. Opal się tak na całym ciele, jeżeli masz ochotę.

— ' Pomyślałam sobie, że może życzyłbyś sobie, żeby jedna z twoich dziewcząt była jaśniejsza, a druga ciemniejsza.

— Nie jesteś moją dziewczyną.

— Ależ tak. Już ci mówiłam.

— Przestałaś się rumienić.

— Przeszło mi to, kiedy zaczęliśmy pływać. Mam nadzieję, że mi szybko nie wróci. Dlatego ci wszystko powiedziałam. Żeby to mieć z głowy. Właśnie dlatego.

— Ładnie ci w tym kaszmirowym sweterku — uśmiechnął się David.

— Umówiliśmy się z Katarzyną, że nałożymy sweterki. Nie masz mi za złe tego, co ci powiedziałam?

— Już nic nie pamiętam.

— Że cię kocham.

— Nie gadaj bzdur.

— Nie wierzysz, że takie rzeczy są możliwe? To, co przytrafiło mi się w stosunku do was?

— Nie można zakochać się naraz w dwóch osobach.

— Ty nic o tym nie wiesz.

— Bzdura — powtórzył. — Puste gadanie.

— Ależ skąd? To szczerza prawda.

— Tak ci się wydaje. To czysty nonsens.

— Niech będzie, że to nonsens. Ale jestem tu, tak czy nie?

— Tak, jesteś. — David przyglądał się przechodzącej przez salon Katarzynie. Była radosna, uśmiechnięta.

— Halo, pływacy! — zawołała. — Jaka szkoda, że nie byłam przy tym, jak Marita piła swój pierwszy Martini.

— Jeszcze go nie skończyłam — zauważyła dziewczyna.

— Jak na nią działa?

— Gada bzdury — odparł David.

— Zrób mi też jednego. Jak to dobrze, że wskrzesiłeś ten barek. Jest raczej prymitywny. Moglibyśmy powiesić lustro za kontuarem. Co to za bar bez lustra za kontuarem.

— Kupimy je jutro — zgodziła się dziewczyna. — Ja to zrobię.

— Nie udawaj Krezusa — powiedziała Katarzyna. — Załatwimy to na spółkę, a potem będziemy mogli mówić bzdury, oglądając się w lustrze, i patrzeć na własne głupie gęby. Lustra barowego się nie oszuka.

— Kiedy widzę w takim lustrze, że mam zdziwioną minę, wiem, że jestem przegrany — powiedział David.

— Ty nigdy nie jesteś przegrany. Jakżebyś mógł być przegrany, skoro masz dwie dziewczyny? — zauważyła Katarzyna.

— Próbowałam mu to wytłumaczyć — Marita zarumieniła się po raz pierwszy tego wieczoru.

— Marita jest sympatyczna, ja jestem twoja, więc przestań być nadęty i zacznij być miły dla twoich dziewcząt. Może ci się nie podobają? Popatrz na mnie. To ja, ta blondynka, z którą się ożeniłeś.

— Jesteś ciemniejsza i jaśniejsza zarazem od tej, z którą się ożeniłem.

— Ty też, a ja przyprowadziłam ci w prezencie ciemnowłosą dziewczynę. Podoba ci się prezent?

— Podoba mi się. Bardzo.

— A twoja przyszłość?

— Nic nie wiem o przyszłości.

— O, tajemnicza przyszłości! — zawołała dziewczyna.

— Doskonale — ucieszyła się Katarzyna. — Widzisz, ona jest nie tylko piękna, bogata, zdrowa i sympatyczna, ale na dodatek dowcipna. Powinieneś się cieszyć, że ci ją przyprowadziłam.

— Wolę być uosobieniem tajemniczej teraźniejszości niż tajemniczej przyszłości — oświadczyła dziewczyna.

— Znowu powiedziała coś dowcipnego — ucieszyła się Katarzyna. — Pocałuj ją, Davidzie. Niech to będzie twój prezent dla niej.

David objął dziewczynę i pocałował ją, ona mu się odwzajemniła, ale szybko odwróciła się. Po chwili rozplakała się. Opuściła głowę i chwyciła się oburącz krawędzi kontuaru.

— Szybko powiedz coś szalenie śmiesznego — zażądał David od Katarzyny.

— Nic mi nie będzie — szepnęła dziewczyna. — Nie patrzcie na mnie. Mnie naprawdę nic nie jest.

Katarzyna objęła ją, pocałowała i pogłaskała po głowie.

— Zaraz mi przejdzie — zapewniała ją dziewczyna. — Bardzo cię proszę, zostaw mnie.

— Tak mi przykro.

— Pozwól mi odejść — szeptała dziewczyna. — Muszę stąd iść.

— No i co dalej? — odezwał się David, kiedy dziewczyna zniknęła i Katarzyna powróciła do salonu.

— Nie mów nic. To idiotyczna historia.

— Ona wróci.

— Więc nie sądzisz, że udaje?

— To były prawdziwe łzy, jeżeli o to ci chodzi.

— Nie udawaj głupiego. Przecież nie jesteś głupi.

— Pocałowałem ją bardzo delikatnie.

— Owszem. W same usta.

— A w co twoim zdaniem powinienem ją był pocałować?

— Nieważne. Nie mam żadnej pretensji.

— Cieszę się, że nie kazałaś mi jej całować, kiedy byliśmy na plaży.

— Nawet mi to wpadło do głowy — roześmiała się Katarzyna i nagle było tak jak za dawnych czasów, zanim ktokolwiek wmieszał się do ich życia. — Czy spodziewałaś się tego?

— Owszem i dlatego dałem nura.

— I bardzo dobrze.

Roześmieli się.

— No, przynajmniej nas to rozbawiło — powiedziała Katarzyna.

— Dzięki Bogu za to. Kocham cię, Diablico, i zapewniam cię, że nie pocałowałem jej, żeby ją skłonić do płaczu.



— Nie musisz nic mówić. Obserwowałam cię. Zachowałeś się zupełnie naturalnie.

— Chciałbym, żeby sobie poszła.

— Jesteś bez serca. A ja tak ją namawiałam.

— A ja próbowałam tego nie robić.

— Napuściłam ją na ciebie. Teraz jej poszukaj.

— Zaraz. Zaczekaj. Ona jest zbyt pewna siebie.

— Jak możesz tak mówić, Davidzie. Przed chwilą zupełnie ją zniszczyłeś.

— Nic podobnego.

— Jeżeli nie, to co ją tak rozstroiło? Pójdę po nią.

To okazało się zbyteczne, albowiem w tej samej chwili w salonie zjawiała się dziewczyna, podeszła do nich rumieniąc się i powiedziała: — Bardzo was przepraszam. — Miała umytą twarz, wyszczotkowane włosy, podeszła do Davida, pocałowała go szybko w usta i dodała: — Bardzo podoba mi się prezent. Czy ktoś wypił mojego drinka?

— Wylałam go — powiedziała Katarzyna. — David zrobi ci nowy.

— Mam nadzieję, że wciąż jeszcze masz ochotę na dwie dziewczyny na raz — powiedziała Marita do Davida. — Bo jestem twoja i zamierzam być także dziewczyną Katarzyny.

— Nie interesują mnie dziewczyny — odezwała się Katarzyna. W ciszy, jaka panowała w salonie, głos jej zabrzmiał nienaturalnie, co od razu sama zauważyła, podobnie zresztą jak David.

— Nigdy cię nie interesowały?

— Nigdy.

— Gdybyś się rozmyśliła, możesz na mnie liczyć, tak samo jak David.

— Czy nie myślisz, że to zadanie ponad twoje siły? — zapytała ją Katarzyna.

— Przecież po to tu jestem — odparła. — Zdawało mi się, że właśnie o to chodziło.

— Nigdy w życiu nie byłam z dziewczyną — powiedziała Katarzyna.

— Ależ jestem głupia. Nie miałam pojęcia. Czy to prawda? Mam nadzieję, że nie kpisz ze mnie.

— Nie kpię z ciebie.

— Nie wiem, jak mogłam być taka durna.

Jak mogłam się tak pomylić, chciała powiedzieć, pomyślał David i to samo pomyślała Katarzyna.

Tejże nocy już w łóżku Katarzyna zwróciła się do Davida: — Nie powinnam była narażać cię na coś takiego. W żadnym wypadku.

— Żałuję, żeśmy na nią trafili.

— Mogło być gorzej. Najlepiej będzie, jak rozstaniemy się z nią i w ten sposób pozbędziemy się całej sprawy.

— Odeślij ją do domu.

— Nie sądzę, żeby to mogło załatwić sprawę. Czy ona na ciebie w ogóle nie działa?

— Działa.

— Czułam to. Ale kocham cię, a reszta nie ma żadnego znaczenia. Chyba to wiesz.

— Ja już nic nie wiem, Diablico.

— Nie bądźmy tacy poważni. Powaga równa się śmierci.

## ***Rozdział dwunasty***

Na trzeci dzień wiatr osłabł. David siedział przy stole, czytał swoje nie dokończone opowiadanie i robił poprawki. Potem zabrał się do pisania dalszego ciągu i pogрузił się w nim tak całkowicie i bez reszty, że gdy doszły go z zewnątrz głosy dziewcząt, w ogóle nie słyszał tego, co mówiły. Gdy mijaly jego okno, podniósł bezwiednie rękę i pomachał im. One też mu pomachały, ciemnowłosa dziewczyna uśmiechnęła się, a Katarzyna przyłożyła palec do warg. Dziewczyna wyglądała bardzo ładnie tego ranka, miała rumiane, błyszczące policzki, Katarzyna zaś była równie piękna jak zawsze. Usłyszał odgłos zapalanego silnika i zorientował się, że to Bugatti. Powrócił do pracy nad opowiadaniem. Dobre to było opowiadanie, skończył je tuż przed południem.

Pora śniadania minęła, a że był zmęczony po pracy, nie chciało mu się jechać starą Isottą do miasta, głównie dlatego, że irytowały go jej rozregulowane hamulce i wielki rozklekotany silnik, mimo że Katarzyna zostawiła na stole kluczyki i karteczkę,

w której napisała, że jedzie z Maritą do Nicei i że zajrzy w powrotnej drodze do kawiarni, żeby zobaczyć, czy go tam nie ma.

Mam ochotę, pomyślał, na litr zimnego piwa w dużym szklanym kuflu i *pomme á l'huile*<sup>10</sup> z grubo zmielonym pieprzem. Ale piwo na tym wybrzeżu było, jak wiedział, kiepskie i z lubością oddał się marzeniom o Paryżu i innych miejscowościach, jakie zwiedził, i cudownemu uczuciu satysfakcji z tego, że napisał opowiadanie, o którym wiedział, że jest dobre i że jest skończone.

Było to pierwsze opowiadanie, jakie napisał do końca od czasu ślubu z Katarzyną. Robienie czegoś do końca, oto co najważniejsze, pomyślał. Rzecz nie zakończona nie jest warta funta kłaków. Jutro podejmę tę moją kronikę w miejscu, w którym ją przerwałem, przyrzekł sobie, i będę pracował tak długo, dopóki nie skończę. Ale jak ją skończę? Jak ją teraz .skończę?

Z chwilą gdy przestał myśleć o sprawach związanych z pracą, wszystko, co do tej pory wykluczył ze swojej świadomości, powróciło. Przypomniał sobie minioną noc i to, że Katarzyna i Marita jechały teraz tą samą drogą, po której on i Katarzyna jechali dwa dni temu, i zrobiło mu się smętnie na duszy. Pewnie są już w drodze powrotnej. Przecież minęło południe. A może siedzą w kawiarni. Nie bądź zbyt poważny, powiedziała. Ale miała jeszcze coś innego na myśli. No cóż, może wie, co robi. Może wie, jak to się skończy. Może ona wie. Bo ty nic nie wiesz.

Napracowałeś się, a teraz siedzisz i martwisz się. Lepiej wzięłybyś się za pisanie opowiadania. Najtrudniejszego z tych, które chodzą ci po głowie. Zmierz się z nim. Musisz się wykazać, jeżeli chcesz jej się na coś przydać. A co zrobiłeś dla niej do tej pory? Wszystko. Nie, nie wszystko. Wszystko znaczy wystarczająco dużo. No dobrze, od jutra zaczynasz. Co, u diabła? Dlaczego od jutra? Dureń z ciebie. JUTRO? Wracaj do pokoju i bierz się do roboty.

Wsunął karteczkę i kluczyki do kieszeni, powrócił do swojego pokoju, usiadł i napisał pierwszy akapit nowego opowiadania, opowiadania, którego pisanie odkładał z dnia na dzień, od czasu kiedy zrozumiał, czym jest opowiadanie. Zdania, które wyszły spod jego pióra, były proste, oznajmujące i zawierały wszystko, co pragnął przeżyć i powołać do życia. Początek już miał, pozostało pisanie dalszego ciągu. W tym cała rzecz, powiedział do siebie. Widzisz, jakie to łatwe. A myślałeś, że nie potrafisz? Po pewnym czasie wyszedł na taras i zamówił sobie whisky z Perrierem.

---

<sup>10</sup> pomme á l'huile (fran.) — sałatka z kartofli.

Młody siostrzeniec właściciela przyniósł butelki, lód i szklankę z baru i zauważył: — Monsieur nie jadł dzisiaj śniadania.

— Bo pracowałem.

— *C'est dommage*<sup>11</sup>. Może przynieść panu coś. Sandwicza?

— W naszej szafce znajdziesz puszkę *Maquereaux Vin Blanc Capitain Cook*.

Otwórz ją i wyłóż dwie rybki na talerzyk.

— Nie będą zimne.

— Nie szkodzi. Przynieś je.

Siedział, jadł *maquereaux vin blanc* i popijał whisky z wodą mineralną. Pomyślał, że jednak szkoda, iż rybki nie są zimne. Jedząc czytał poranną gazetę.

W *Grau du Roi*, pomyślał, jadaliśmy wyłącznie świeże ryby, ale to było tak dawno temu. Zaczął sobie przypominać *Grau du Roi* i po chwili usłyszał warkot wjeżdżającego na wzgórze samochodu.

— Sprzątnij to — powiedział do chłopca, wstał, podszedł do baru, nalał sobie whisky, dorzucił lodu i wypełnił szklankę Perrierem. W ustach miał smak zamarynowanej w winie ryby, więc napił się wody mineralnej prosto z butelki.

Usłyszał ich głosy i już po chwili weszły do salonu, wesołe i szczęśliwe jak poprzedniego dnia. Zobaczył głowę Katarzyny, płową jak pień białej brzozy, jej kochaną, ożywioną smagłą twarz i ciemnowłosą dziewczynę, z wiatrem jak gdyby jeszcze we włosach, z błyszczącymi oczami, która, gdy podeszła bliżej, wydała mu się nagle dziwnie nieśmiała.

— Zobaczyłyśmy, że nie ma cię w kawiarni, więc nie zatrzymywałyśmy się — wyjaśniła Katarzyna.

— Pracowałem bardzo długo. Jak się masz, Diablico?

— Doskonale. Nie przywitasz się z Maritą?

— Jak ci się pracowało, Davidzie? — zapytała dziewczyna.

— Takie pytania stawiają dobre żony. A ja zupełnie zapomniałam zapytać cię o pracę.

— Coście robiły w Nicei?

— Może najpierw dasz nam drinka, a potem ci opowiemy.

Stały blisko niego, jedna z jednej, druga z drugiej strony, czuł ich podwójną obecność.

---

<sup>11</sup> *C'est dommage* — jaka szkoda.

— Dobrze ci się pracowało, Davidzie? — powtórzyła dziewczyna swoje pytanie.

— Oczywiście — odpowiedziała jej Katarzyna. — Jemu się zawsze dobrze pracuje, głuptasie.

— Więc jak było, Davidzie?

— Dobrze — uśmiechnął się i zmierzwił jej włosy. — Dziękuję ci.

— Nie dasz nam czegoś do picia? — zapytała Katarzyna. — My nie pracowałyśmy, ale za to byłyśmy na zakupach, zamówiłyśmy sobie różne rzeczy i wywołałyśmy skandal.

— To nie był prawdziwy skandal.

— Nie wiem, zresztą nic mnie to nie obchodzi.

— Co za skandal? — zainteresował się David.

— Nic wielkiego — odparła dziewczyna.

— Nieważne — powiedziała Katarzyna. — Tyle, że się ubawiłam.

— Ktoś w Nicei powiedział coś na temat jej spodni.

— To jeszcze nie skandal — stwierdził David. — Nicea to duże miasto. Mogłyście się były czegoś takiego spodziewać.

— Czy wyglądam inaczej niż zawsze? — zapytała Katarzyna. — Szkoda, że jeszcze nie zawiesili lustra. Czy uważasz, że się zmieniłam?

— Nie — David spojrzał na nią. Włosy miała bardzo jasne i rozczochrane, twarz może nawet ciemniejszą niż zwykle, robiła wrażenie podnieconej i trochę wyzywającej.

— To dobrze — powiedziała. — Wiesz co? Spróbowałam tego, na co miałam taką ochotę.

— Nic takiego nie zrobiłaś — wtrąciła dziewczyna.

— Owszem i bardzo mi się to spodobało, a teraz nalej mi jeszcze jednego drinka.

— Ona naprawdę nic takiego nie zrobiła, Davidzie.

— Rano zatrzymałam samochód na szosie i pocałowałam ją, ona mnie też. W drodze powrotnej z Nicei także i znów przed chwilą, kiedy wysiadałyśmy z wozu — Katarzyna spojrzała na Davida z przekorą, ale i miłością i po chwili dodała: — To było bardzo miłe i sprawiło mi przyjemność. Też ją pocałuj. Chłopca tu nie ma.

David obrócił się ku dziewczynie, ta przylgnęła do niego, wymienili pocałunki. Wcale nie miał takiego zamiaru, więc zdziwił się, że odczuwa to w tak przyjemny sposób.

— Dosyć! — zawołała Katarzyna.

— Jak się masz? — uśmiechnął się David do dziewczyny. Była znowu nieśmiała, ale wyraźnie szczęśliwa.

— Kazałeś mi być szczęśliwą, więc posłuchałam cię — powiedziała do Davida.

— Wszyscy jesteśmy teraz szczęśliwi! — zawołała Katarzyna. — Bo podzieliśmy się grzechem.

Zjedli doskonały obiad, zakąskę, kurę, ratatouille, sałatę, owoce i sery, do tego pili dobrze zamrożonego Tavela. Byli głodni, opowiadali dowcipy, żadne z nich nie traciło ani na chwilę humoru.

— Mamy dla ciebie niespodziankę, chcesz ją przed czy po kolacji? — zawołała Katarzyna. — Ona wydaje pieniądze jak pijany Indianin, któremu trysła nafta.

— A czy tacy Indianie są sympatyczni? — zapytała dziewczyna. — Czy może przypominają hinduskich maharadzów?

— David opowie ci o nich. Pochodzi z Oklahomy.

— Myślałam, że ze Wschodniej Afryki.

— Nie. Niektórzy z jego przodków uciekli z Oklahomy, rodzice zabrali go do Wschodniej Afryki, kiedy był jeszcze dzieckiem.

— To musiało być szalenie ciekawe.

— Napisał powieść o chłopcu wychowanym we Wschodniej Afryce.

— Wiem.

— Czytałaś to? — zainteresował się David.

— Tak. Chcesz mnie przepytąć?

— Nie. Znam ją na pamięć.

— Płakałam nad nią — powiedziała dziewczyna. — Czy postać tego starego mężczyzny wzorowałaś na swoim ojcu?

— Do pewnego stopnia.

— Musiałaś go bardzo kochać.

— Tak.

— Nigdy mi o nim nie mówiłaś — powiedziała Katarzyna.

— Nigdy mnie o niego nie pytałaś.

— A gdybym pytała, to mówiłbyś?

— Nie — odparł.

— Bardzo mi się ta książka podobała — dodała dziewczyna.

— Lepiej nie przesadzaj — mruknęła Katarzyna.

— Nie miałam zamiaru...

— Z całowaniem. Słuchaj, kiedy...

— Sama mnie namawiałaś.

— Gdybyś mi nie przerwała, zapytałabym, czy kiedy go całowałaś, myślałaś o tym, że jest pisarzem?

David nalał Tavela do kieliszka i wypił kilka łyków.

— Nie wiem — odparła dziewczyna. — Nie zastanawiałam się nad tym.

— To dobrze — zauważyła Katarzyna. — Bo już się bałam, że będzie to samo, co z wycinkami.

Dziewczyna spojrzała na nią ze zdziwieniem, więc Katarzyna wyjaśniła: — Z wycinkami prasowymi o jego drugiej powieści. Nie wiem, czy wiesz, ale napisał dwie.

— Czytałam tylko *Zerwanie*.

— Druga jest o lataniu. W czasie wojny. To jedyna dobra książka o lataniu, jaka została napisana.

— Gówno prawda — odezwał się David.

— Sama zobaczysz — ciągnęła Katarzyna. — Żeby móc napisać taką książkę, trzeba było najpierw umrzeć, być zupełnie skończonym. Niech ci się nie zdaje, że nie wiem absolutnie wszystkiego o jego książkach tylko dlatego, że całując go nie myślę o nim jako o pisarzu.

— A ja myślę, że powinniśmy sobie uciąć drzemkę — przerwał jej David. — Prześpij się trochę, Diablico. Jesteś zmęczona.

— I za dużo mówię — zgodziła się Katarzyna. — To był pyszny obiad. Darujcie mi, że tyle gadałam i do tego jeszcze się chwaliłam.

— Pięknie mówiłaś o jego książkach — odezwała się dziewczyna. — Jesteś nadzwyczajna.

— Nie czuję tego — odpowiedziała Katarzyna. — Jestem strasznie zmordowana. Masz coś do czytania, Marito?

— Mam jeszcze dwie nie przeczytane książki. Potem pożyczę sobie coś od was, dobrze?

— Czy mogę później do ciebie wpaść?

— Jeżeli masz ochotę.

David nie patrzył na dziewczynę, ona nie patrzyła na niego.

— Nie będę ci przeszkadzała? — upewniała się Katarzyna.

— Nie mam nic ważnego do roboty.

W sypialni Katarzyna i David leżeli obok siebie na łóżku, za oknami wiatr kończył swój trzeci i ostatni dzień. Nie była to taka sješta jak za dawnych czasów.

— Czy mogę ci to teraz opowiedzieć?

— Wolałbym nie.

— Pozwól mi mówić. Rano, kiedy zapaliłam samochód, ogarnął mnie dziwny strach, więc starałam się prowadzić jak najostrożniej. Byłam zupełnie pusta w środku. Kiedy dojechałam na szczyt wzgórza, spojrzałam przed siebie, na całej drodze do Cannes nie było nikogo, potem obejrzałam się wstecz i tam też było zupełnie pusto, więc skręciłam w krzaki, w te takie gęste jak żywopłot. Pocałowałam ją, ona mnie też całowała, posiedziałyśmy trochę w samochodzie, a potem pojechałyśmy do Nicei i nie mogłam się zorientować, czy ludzie miarkują coś, czy nie. Zresztą było mi wszystko jedno. Wchodziłyśmy do wszystkich sklepów i kupowałyśmy, co popadło. Ona strasznie lubi sobie sprawiać nowe rzeczy. Ktoś odezwał się nieprzyjemnie na nasz temat, ale to było właściwie głupstwo. W drodze powrotnej zatrzymałyśmy się i wtedy ona powiedziała, że byłoby lepiej, gdybym ja była dziewczyną, na co ja, że właściwie jest mi to obojętne, bo teraz i tak jestem akurat dziewczyną, no i nie bardzo wiedziałam, co robić. Nigdy w życiu nie czułam się tak bezradna. Ale ona jest dobra i myślę, że chciała mi pomóc. Zresztą, bo ja wiem. Dalej prowadziłam wóz i myślałam o tym, jaka ona jest ładna i wesoła. Zaczęła mnie pieścić tak, jak czasami ty mnie albo ja ciebie, więc oświadczyłam, że jeżeli nie przestanie, to nie będę mogła dalej prowadzić, i zgasłam motor. Ja ją tylko całowałam, ale działo się ze mną coś dziwnego. Siedziałyśmy tak przez dobrą chwilę, a potem pojechałam już prosto do domu. Pocałowałam ją jeszcze raz, zanim zaparkowałam. Byłyśmy bardzo szczęśliwe, podobało mi się to, co robiłyśmy, i wciąż mi się podoba.

— No więc dobrze, zrobiłaś to — powiedział David ostrożnie. — I masz to z głowy.

— Ależ nic podobnego. Mówię ci, że mi się to spodobało i mam zamiar robić to na serio.

— Przecież nie musisz.



— Muszę i będę to robiła, dopóki mi się nie znudzi, dopóki nie przejdzie mi ochota.

— Skąd wiesz, że ci przejdzie?

— Wiem. Na razie muszę brnąć dalej. Davidzie, wierz mi, ja nigdy nie przypuszczałam, że mi się coś takiego przytrafi.

Milczał.

— Wrócę — powiedziała. — Jestem pewna, że mi to przejdzie, mogę na to przysiąc. Zaufaj mi, proszę cię.

Milczał.

— Ona na mnie czeka. Przecież słyszałeś, jak się z nią umawiałam. Nie można się zatrzymywać w pół drogi.

— Jadę do Paryża — oświadczył David. — Możesz się ze mną komunikować przez bank.

— Nie. Musisz mi pomóc.

— Nie mogę ci pomóc.

— Możesz. Nie wolno ci wyjeżdżać. Nie zniosłabym tego. Przecież nie chcę z nią być na dobre. To po prostu coś, co muszę przeżyć. Czy ty tego nie rozumiesz? Błagam cię, spróbuj. Ty zawsze wszystko rozumiesz.

— Ale nie to.

— Postaraj się, proszę cię. Dotychczas wszystko rozumiałeś. Sam to wiesz najlepiej. Wszystko. Prawda?

— Tak. Dotychczas.

— Tak nam się dobrze zaczęło. Zobaczysz, jak z tym skończę, znowu będziemy tylko my. Ty i ja. Nie kocham nikogo innego.

— Więc nie rób tego.

— Kiedy muszę. Odkąd poszłam do szkoły, miałam okazje i mnóstwo pokus, ale nigdy nie chciałam się na to zgodzić, nigdy się nie zgodziłam.

Dopiero teraz czuję, że muszę.

Milczał.

— Proszę cię, spróbuj mnie zrozumieć.

Nie wydobył z siebie słowa.

— Ona się w tobie kocha, więc weź ją. W ten sposób rachunek się wyrówna.

— Co ty gadasz, Diablico? Czyś ty zwariowała?

— No dobrze. Już będę milczała.

— Zdrzemnij się — zaproponował. — Przytul się, już nic nie mów, oboje zaraz zaśniemy.

— Tak cię kocham. Jesteś moim jedynym prawdziwym partnerem. Powiedziałam jej to. Powiedziałam jej dużo o tobie, bo tylko o tobie chce mówić. Już się uspokoila, więc teraz do niej pójdę.

— Nie. Nie idź.

— Tak — odparła. — Zaczekaj na mnie. Szybko wrócę.

Gdy powróciła do pokoju i nie zastała w nim Davida, stanęła przed łóżkiem i stała tak przez długi czas, a potem otworzyła drzwi łazienki i spojrzała w swoje odbicie w wielkim lustrze. Miała twarz pozbawioną wszelkiego wyrazu i tylko patrzyła na siebie wodząc oczami od czubka głowy po palce stóp. Było już prawie ciemno, kiedy weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

## ***Rozdział trzynasty***

Zmierzchało, kiedy David wracał z Cannes, wiatr ucichł. Zaparkował samochód na zwykłym miejscu i ruszył ścieżką ku domowi, przez którego okna wydobywało się światło na patio i ogród. W wejściowych drzwiach ukazała się Marita. Ruszyła mu na spotkanie.

— Katarzyna jest bardzo rozstrojona — powiedziała. — Bądź dla niej dobry.

— A niech was obie diabli wezmą.

— Mnie proszę bardzo, ale nie wolno ci się nad nią znęcać, Davidzie.

— Nie mów mi, co mi wolno, a czego nie.

— Zajmiesz się nią?

— Nie mam na to szczególnej ochoty.

— A ja tak.

— Nie wątpię.

— Nie bądź głupi — powiedziała. — Przecież nie jesteś durniem. Mówię ci, że to poważna sprawa.

— Gdzie ona jest?

— Czeka na ciebie.

David wszedł do salonu. Katarzyna siedziała przy pustym barze.

— Halo — odezwała się. — Wciąż nie przynieśli lustra.

— Halo, Diablico! — zawołał. — Przykro mi, że się spóźniłem.

— Myślałam, że odjechałeś na zawsze.

— Czy nie zauważyłaś, że nie zabrałem swoich rzeczy?

— Nie patrzałam. Nie musiałbyś niczego zabierać, żeby odejść na zawsze.

— No tak. Ale pojechałem po prostu do miasta.

— Och — powiedziała tylko i zaczęła wpatrywać się w ścianę.

— Wiatr ustaje — zauważył David. — Na jutro zapowiada się wspaniały dzień.

— Co mi tam jutro.

— Przecież ci zależy.

— Nic podobnego. I nie wymagaj tego ode mnie.

— Zgoda. Czy już coś piłaś?

— Jeszcze nie.

— Zrobię ci drinka.

— To się na nic nie zda.

— A może jednak. Przecież na razie jesteśmy ci sami.

Przyglądała mu się apatycznym wzrokiem, podczas gdy mieszał koktajle i nalewał je do kieliszków.

— Wrzuć mi do kieliszka czosnkową oliwkę — zażądała.

Podał jej kieliszek, uniósł swój i stuknął się z nią.

Katarzyna wylała swój koktajl na blat baru i patrzyła, jak spływa po gładkiej, drewnianej powierzchni. Potem wzięła oliwkę w dwa palce i wsunęła ją sobie do ust.

— Nie ma nas już — powiedziała. — Już nas nie ma.

David wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł blat i zabrał się do mieszania nowego koktajlu.

— To wszystko gównem warte — ulżyła sobie Katarzyna. David podał jej kieliszek, spojrzała na zawarty w nim płyn i wylała go znowu na blat baru. David wytarł bar i wyjął chusteczkę. Wypił swój koktajl i sporządził dwa świeże.

— Ten wypijesz — zażądał. — Bierz go i pij.

— Bierz i pij — powtórzyła. Uniosła kieliszek i dodała: — Za ciebie i za tę twoją cholerną chusteczkę do nosa.

Wypiła duszkiem, uniosła w górę pusty kieliszek, przez chwilę wpatrywała się weń z uwagą i David był przekonany, że zaraz rzuci mu go w twarz. Ale odstawiła kieliszek, wsunęła sobie oliwkę do ust, żuła ją bardzo powoli, po czym podała Davidowi pestkę.

— To półszlachetny kamień — oświadczyła. — Włóż go do kieszeni.

Jeżeli zrobisz mi jeszcze jeden koktajl, będę wdzięczna.

— Ale musisz go wolniej pić.

— Wszystko się skończyło — oświadczyła. — Najprawdopodobniej nie zauważyłeś nawet różnicy. Jestem pewna, że to się w końcu każdemu przytrafia.

— Lepiej się czujesz?

— Znacznie lepiej, naprawdę. Wiem, że czasami gubimy coś bezpowrotnie, to się zdarza. Pamiętamy, że mieliśmy to kiedyś i już. Tyle że to, co zgubiliśmy, bywa wszystkim, cośmy mieli. Ale potem zjawia się coś nowego. Nie ma żadnego problemu.

— Głodny jesteś?

— Nie. Jestem pewna, że wszystko się jakoś ułoży. Tak powiedziałaś, nieprawda?

— Naturalnie, że się ułoży.

— Nie mogę sobie wcale przypomnieć, co zgubiliśmy. Zresztą, może to nie ma znaczenia? To też powiedziałaś.

— Tak.

— Więc bądźmy dobrej myśli. Cokolwiek to było, zniknęło i po krzyku.

— Widać jest to coś, czego nie pamiętamy. Ale na pewno wróci.

— Co ja takiego zrobiłam? Myślisz, że sobie przypomnę?

— Na pewno.

— Nie ma w tym niczyjej winy.

— Nie mów o winie.

— Już wiem — uśmiechnęły się. — Słuchaj, Davidzie, ja ciebie nie zdradziłam. Naprawdę. Jakżeby mogła. Chyba wiesz, że to niemożliwe. Jak mogłeś mnie o to posądzić? Dlaczego to powiedziałaś?

— Nie zdradziłaś mnie?

— Oczywiście że nie. Szkoda, że to powiedziałaś.

— Kiedy ja nic takiego nie mówiłem, Diablico.

— Ktoś to na pewno powiedział. Nie zdradziłam cię. Po prostu zrobiłam to, co zapowiedziałam. Gdzie Marita?

— Chyba w swoim pokoju.

— Cieszę się, że powróciłam do równowagi. Jak tylko wycofałeś swoje oskarżenia, zrobiło mi się lepiej. Szkoda, że ty tego nie zrobiłeś, bo wtedy ja mogłabym wycofać moje. Jesteśmy znowu sobą, prawda? Nie zniszczyliśmy naszego szczęścia?

— Nie.

Znowu uśmiechnęła się.

— Jak dobrze. Pójdę po nią. Masz coś przeciwko temu? Ona się o mnie niepokoiła. Zanim wróciłeś.

— Naprawdę?

— Strasznie dużo mówiłam. Zawsze za dużo mówię. A ona jest taka miła. Och, Davidzie. gdybyś ją tylko lepiej znał. Była dla mnie bardzo dobra.

— A niech ją diabli wezmą.

— Nie, nie. Przecież zmieniłeś o niej zdanie. Czy już zapomniałeś? Nie zaczynamy wszystkiego od początku. Też tego nie chcesz. Po co tak komplikować sprawę? Naprawdę.

— No dobrze, przyprowadź ją. Ucieszy się, że ci przeszło.

— Wiem, a ty zachowaj się tak, żeby jej nie było przykro.

— Naturalnie. Czy ona także potrzebuje pociechy?

— Zmartwił ją mój zły stan. Że mam wyrzuty sumienia. To mi się nigdy jeszcze nie zdarzyło. Ty powinieneś po nią iść, Davidzie. To ją najbardziej uspokoi. A zresztą, nie, sama pójdę.

David obserwował wychodzącą z salonu Katarzynę. Jej ruchy były już mniej sztywne, głos bardziej dźwięczny. Gdy powróciła, uśmiechała się i odezwała zupełnie naturalnym tonem.

— Będzie tu za kilka minut. Jaka ona jest urocza. Tak się cieszę, żeś ją sprowadził.

Kiedy dziewczyna zjawiała się w drzwiach, David powiedział: — Czekamy na ciebie.

Spojrzała na niego przelotnie i odwróciła wzrok. Po chwili znowu na niego spojrzała i powiedziała: — Przepraszam za spóźnienie.

— Ślicznie wyglądasz — zauważył David i pomyślał, że może to i prawda, ale że ta dziewczyna ma najsmutniejsze oczy świata.

— Zrób jej koktajl — zażądała Katarzyna od Davida. — Ja już wypiałam dwa — uśmiechnęła się do Marity.

— Cieszę się, że się lepiej czujesz.

— To dzięki Davidowi. Powiedziałam mu wszystko o nas, że było nam cudownie, i on to świetnie zrozumiał. I naprawdę zaaprobował.

Dziewczyna patrzyła na Davida. Spostrzegł, że przygryzła wargi. Starał się odczytać z jej oczu ukryte myśli.

— Nudno było w mieście — powiedział. — Żałowałem, że nie poszedłem na plażę.

— Nawet nie wiesz, ile straciłeś — odezwała się Katarzyna. — Wszystko. Przez całe życie miałam na to ochotę i nareszcie to zrobiłam. Było cudownie.

Dziewczyna spuściła wzrok i wpatrywała się w swój kieliszek.

— Najwspanialsze jest to, że czuję się nagle zupełnie dorosła — ciągnęła Katarzyna. — Ale też całkiem wyczerpana. Właśnie na to miałam zawsze ochotę i stało się. Wiem, że muszę się jeszcze wiele uczyć, zanim dojdę do perfekcji.

— Powinnaś zażądać dodatku dla czeladników — zażartował David dość ryzykownie i dodał: — Czy nie masz innych tematów do konwersacji? Perwersja to nuda, poza tym zupełnie wyszła z mody. Nie miałem pojęcia, że tacy ludzie jak my w ogóle jeszcze ją uprawiają.

— Myślę, że ciekawy jest tylko pierwszy raz — zamyśliła się Katarzyna.

— I to tylko dla osób, które biorą w tym udział, i śmiertelnie nudne dla wszystkich innych — powiedział David i zwracając się do dziewczyny dodał: — Zgadzasz się ze mną. Dziedziczko?

— Nazwałeś ją Dziedziczką? — zdumiała się Katarzyna. — To bardzo ładne i zabawne imię.

— Przecież nie mogę mówić do niej Madame czy Wasza Wysokość. Zgadzasz się ze mną, Dziedziczko, co do perwersji?

— Zawsze uważałam, że jest to rzecz bardzo przeceniona i niemądra — odparła. — Dziewczyny uprawiają ją wyłącznie z braku czegoś lepszego.

— A ja uważam, że wszystko, co się robi po raz pierwszy, jest ciekawe — powiedziała Katarzyna.

— No tak — zgodził się David. — No, bo czy miałabyś ochotę w kółko mówić na przykład o swoim pierwszym udziale w wyścigach konnych albo o swoim pierwszym samotnym rejsie samolotowym, jak latałaś hen, wysoko w przestworza, co czułaś, gdy odrywałaś się od ziemi?

— Zawstydzileś mnie — przyznała Katarzyna. — Spójrz na mnie i sprawdź, czy jestem zawstydzona.

David otoczył ją ramieniem.

— Nie wstydz się — powiedział. — Po prostu uświadom sobie, jak by to było, gdyby ta nasza kochana stara Dziedziczka opowiadała ci w kółko o tym, jak po raz pierwszy poleciała samolotem i co czuła, gdy pozostała sam na sam z maszyną, pomiędzy nią a Ziemią pustką. Ziemią oczywiście przez duże Z, tylko ona i jej samolot, bo w końcu mogła zginąć, rozbić się, rozlecieć na kawałki, ona i jej samolot, albo stracić zdrowie, rozum, cały majątek, a nawet Życie oczywiście przez duże Ż, no i na dodatek wszystkich, których kochała, czyli mnie i ciebie, a nawet Pana Naszego Jezusa Chrystusa, wszystko oczywiście z dużych liter. Co znaczy po prostu, że mogłaby się rozbić, nie zapomnij wziąć słowa „rozbić” w cudzysłów.

— Latałaś kiedy solo. Dziedziczko?

— Nie — odparła dziewczyna. — Nie odczuwam żadnej potrzeby. Za to mam ochotę na jeszcze jeden koktajl. Kocham cię, Davidzie.

— Pocałuj ją tak jak przedtem — zażądała Katarzyna.

— Innym razem. Teraz mieszam koktajle.

— Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi i że wszystko się dobrze układa — powiedziała Katarzyna. Była bardzo ożywiona, głos jej stał się na powrót naturalny i prawie spokojny.

— Zapomniałam o niespodziance, jaką naszykowałam nam Dziedziczka — zauważyła — pójdę i przyniosę ją.

Gdy Katarzyna wyszła, dziewczyna chwyciła rękę Davida i przycisnęła ją do ust. Siedzieli naprzeciwko siebie i patrzyli sobie w oczy. Niemalże bezwiednie głaskała palcami jego dłoń. Owijała swoje palce dokoła jego palców, a potem prostowała je.

— Milczmy — zaproponowała — chyba że chcesz, żebym wygłosiła referat?

— Nie. Ale musimy się kiedyś rozmówić.

— Czy chcesz, żebym odjechała?

— To wcale niegłupi pomysł.

— Pocałuj mnie na znak, że zgadzasz się, żebym została.

Katarzyna powróciła z młodym kelnerem, który niósł na tacy dużą puszkę kawioru umieszczoną w wypełnionej lodem misce i talerz pełen grzanek.

— To był wspaniały pocałunek — zauważyła. — Wszyscy go widzieli, więc już nie ma mowy o żadnym tam skandalu. — Po chwili dodała: —Siekają dla nas białko z jajek na twardo i trochę cebuli.

Ziarnka kawioru były duże, szare i Katarzyna nakładała je na cieniutkie grzanki.

— Dziedziczka kupiła ci skrzynkę Böllingera Brut z 1915 roku i kazała postawić kilka butelek na lód. Czy nie uważasz, że powinniśmy wypić choć jedną do tego kawioru?

— Oczywiście — zgodził się David. — Będziemy pili wyłącznie szampana do kolacji.

— Czy to nie cudowne, że Dziedziczka i ja jesteśmy bogate, wobec czego nie musisz się o nic troszczyć? Będziemy mu dogadzały, prawda, Dziedziczko?

— Zrobimy co tylko w naszej mocy — odparła dziewczyna. — Zaczynam się orientować w jego upodobaniach. Musimy się bardzo starać.

## ***Rozdział czternasty***

Obudził się po dwóch godzinach snu, bo w pokoju zrobiło się jasno, spojrzął na Katarzynę, która spała mocno i beztrzesko i wyglądała pięknie, młodo i niewinnie, więc nie dotykając jej wstał, wziął prysznic, nałożył szorty i bosy przeszedł przez ogród do swojego pokoju pracy. Niebo było czysto wymiecione przez wiatr. Wstawał typowy chłodny ranek chylącego się ku końcowi lata.

Zabrał się na powrót do swojego nowego i tak bardzo trudnego opowiadania, śmiało atakując tematy, jakich od wielu lat unikał. Pracował prawie do jedenastej, a kiedy napisał tyle, ile zaplanował sobie na ten dzień, zamknął pokój na klucz i wyszedł. W ogrodzie zastał dziewczyny przy szachach. Wyglądały świeżo i młodo i tak pociągająco, jak skąpane w słońcu niebo.

— Ona mnie zaraz znowu pobije! — zawołała Katarzyna na widok Davida.

— Jak się masz'? — Marita uśmiechnęła się do niego bardzo nieśmiało.



To chyba najładniejsze dziewczyny, jakie w życiu widziałem, pomyślał David. No nic, zobaczymy, co nam ten dzień przyniesie.

— A jak wy się macie, moje drogie?

— Doskonale — odparła dziewczyna. — Dobrze ci poszło?

— Ciężko, ale jakoś idzie — odparł.

— Nie jadłeś śniadania.

— Już za późno.

— Nonsens — oburzyła się Katarzyna. — Dziedziczko, dziś ty grasz rolę żony. Zmusz go, żeby coś zjadł.

— Przyniosę ci kawy i owoce — zaproponowała dziewczyna. — Musisz koniecznie coś zjeść.

— Mogę się napić czarnej kawy — zgodził się David.

— Przyniosę ci — dziewczyna ruszyła w stronę domu.

David usiadł przy Katarzynie, a ona odstawiła szachy na krzesło, zmierzwiła mu włosy i powiedziała: — Czy zapomniałeś, że masz takie same srebrne włosy jak ja?

— Zapomniałem.

— Będą coraz jaśniejsze i jaśniejsze, a ja będę coraz lepsza i lepsza, i coraz ciemniejsza na całym ciele.

— Wspaniale.

— Będę cała bardzo ciemna.

Ładna kruczowłosa pokojówka przyniosła tacę, na której leżały miseczka z kawiozem, pół cytryny, łyżeczka i dwie grzanki, za nią szedł kelner z wiaderkiem, w którym chłodziła się butelka Böllingera, i tacką, na której stały trzy kieliszki.

— To powinno Davidowi dobrze zrobić — oświadczyła dziewczyna. — Potem sobie popływamy i jeszcze zdążymy na obiad.

Po tym, jak sobie popływali i poleżeli na słonecznej plaży, po długim obfitym obiedzie, co którego znowu pili szampana, Katarzyna powiedziała: — Jestem szalenie zmęczona i senna.

— Długo pływałaś. Może utniemy sobie drzemkę — zaproponował David.

— Chciałabym się porządnie wyspać — odparła Katarzyna.

— Może się niedobrze czujesz. Katarzyno? — zaniepokoiła się dziewczyna.

— Skądże. Po prostu jestem śmiertelnie zmęczona.

— Położymy cię do łóżka — zaproponował David. — Czy masz termometr? — zapytał dziewczynę.

— Jestem pewna, że nie mam gorączki. Chcę tylko zasnąć i bardzo długo spać.

Kiedy leżała w łóżku, dziewczyna przyniosła termometr, a David zmierzył Katarzynie puls. Temperaturę miała normalną, puls sto pięć.

— Puls jest trochę przyspieszony — stwierdził David. — Gdybyś dostała gorączki, sprowadzę z Cannes lekarza.

— Nie chcę żadnego lekarza. Dajcie mi się wyspać i wszystko będzie dobrze.

— Oczywiście, moja śliczna. Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

Stali nad nią i pilnowali, dopóki nie zasnęła, a potem wyszli na palcach z pokoju. David obszedł dom i zajrzał przez okno do sypialni. Katarzyna spała bardzo spokojnie i regularnie oddychała. Przyniósł dwa krzeselka i stolik i usiadł z dziewczyną w cieniu, blisko okna Katarzyny, poprzez sosny prześwitywało błękitne morze.

— Co myślisz? — zapytał Maritę.

— Nie wiem. Przed południem robiła wrażenie szczęśliwej. Sam widziałeś.

— A teraz?

— To może reakcja na wczorajszy dzień. Ona jest bardzo spontaniczna, Davidzie, a to jest typowo spontaniczna reakcja.

— Wczoraj miałem takie wrażenie, jakbym kochał kogoś, kto właśnie umarł — powiedział David. — Niedobra sprawa.

Zamilkł i podszedł znów do okna. Katarzyna spała w tej samej pozycji co przedtem. Oddychała lekko i spokojnie.

— Śpi — rzekł. — A może ty byś się także zdrzemnęła.

— Może.

— Idę do mojego pokoju pracy. Są w nim drzwi do twojej sypialni, mają zasuwę z dwóch stron.

Ruszył wąską, wybrukowaną ścieżką wzdłuż fasady domu. Wszedł do swojego pokoju i odryglował drzwi do sypialni Marity. Po chwili usłyszał odsuwanie zasuwę po drugiej stronie i drzwi otworzyły się. Usiedli obok siebie na skraju jej łóżka, David objął dziewczynę ramieniem.

— Pocałuj mnie — zażądał.

— Strasznie lubię cię całować — szepnęła — Naprawdę. Ale nie mogę się posunąć dalej.

— Nie?

— Nie, nie mogę — a po chwili dodała: — Chciałabym coś dla ciebie zrobić, ale nie to. Przykro mi. To wykluczone. Nic dobrego by z tego nie wyszło.

— No, to po prostu wyciągnij się spokojnie obok mnie.

— Cudownie.

— Możesz robić, co ci się podoba.

— Dobrze — odparła szeptem. — Ty też. Róbmy to, na co nas stać.

Katarzyna przespała całe popołudnie i część wieczoru. David i dziewczyna poszli do baru i kazali sobie podać drinki.

— Wciąż jeszcze nie przynieśli lustra — odezwała się Marita.

— Czy uzgodniłaś to ze starym Aurolem?

— Tak, chętnie się zgodził.

— Powinienem mu chyba zapłacić korkowe za tego Böllingera.

— Dałam mu cztery butelki szampana i dwie bardzo dobrego koniaku.

To chyba wystarczy. Bałam się nie jego, ale Madame.

— Miałaś zupełną rację.

— Nie chcę sprawiać kłopotów, Davidzie.

— O tym nie ma mowy.

Zjawił się młody kelner z kubelkiem lodu, David zrobił dwa koktajle Martini i nalał Maricie kieliszek. Kelner postawił na stole oliwki i powrócił do kuchni.

— Pójdę zobaczyć, co z Katarzyną — oświadczyła dziewczyna. — Wszystko albo się ułoży, albo nie.

Nie było jej dobre dziesięć minut. Dotknął jej kieliszka, uznał, że trzeba wypić jej koktajl, bo za chwilę będzie za ciepły. Wziął kieliszek do ręki, uniósł go do ust i z satysfakcją stwierdził, że fakt, iż przed chwilą go trzymała, sprawia mu przyjemność. Niewątpliwą, niczym nie skażoną przyjemność. Tego właśnie ci brakowało, pomyślał. Właśnie tego. Do osiągnięcia pełni szczęścia. Kochać się naraz w dwu dziewczynach. Co się z tobą stało od maja? Kim teraz jesteś? Po raz drugi dotknął wargami brzegu jej kieliszka i znowu zalało go poczucie szczęścia. No dobra, powiedział do siebie, nie zapominaj, że masz pracę. Zawsze pozostaje ci praca. Nie leń się, bierz się do roboty.

Dziewczyna wróciła i kiedy zobaczył jej rozpromienioną twarz, zrozumiał już do końca, co do niej czuje.

— Katarzyna się ubiera — oznajmiła. — Czuje się świetnie. Czy to nie wspaniale?

— O tak — odparł w pełnym poczuciu tego, że kocha Katarzynę tak samo jak przedtem.

— Co się stało z moim koktajlem?

— Wypiłem go. Właśnie dlatego, że był twój.

— Rzeczywiście — zarumieniła się ze szczęścia.

— Lepiej tego nie umiem wyrazić — uśmiechnął się. — Zrobię ci świeżego.

Umoczyła wargi, przesunęła je leciutko wzdłuż brzegu kieliszka i podała go Davidowi. Ten zrobił dokładnie to samo, a potem wypił spory łyk.

— Jesteś bardzo piękna — powiedział. — I kocham cię.

## ***Rozdział piętnasty***

Usłyszał zapalany silnik Bugattiego. Odgłos ten zaskoczył go i wstrząsnął nim, bo w krainie, w której przebywał, nie istniały takie hałasy. Był całkowicie oderwany od wszystkiego z wyjątkiem opowiadania, które pisał, żył w nim coraz intensywniej, w miarę jak rozwijało się pod jego piórem. Trudne fragmenty, których tak się bał, pokonywał jeden za drugim, tworzył ludzi, krajobraz, noce i dnie, a nawet pogodę i dobrze mu to szło. Skoncentrował się znów na pisaniu i poczuł nagle takie zmęczenie, jak gdyby spędził noc przemierzając popękana powierzchnię wulkanicznej pustyni i jak gdyby to właśnie jego i jego towarzyszy zaskoczył wschód słońca, gdy do wyschniętych, szarych jezior było jeszcze daleko. Na ramieniu czuł ciężar dubeltówki, pod palcami kontur wylotu lufy, w ustach miał smak kamyków. Przez rozedrgane powietrze, migocące nad powierzchnią wyschniętych jezior, przebijał błękit odległego górskiego stoku. Przed nim ziało pustką, za nim ciągnął się długi sznur tragarzy, którzy już wiedzieli, że przybyli do tego miejsca o trzy godziny za późno.

To oczywiście nie on stał tam owego poranka; i to nie on miał na sobie połataną sztruksową kurtkę, wyblakłą niemalże do białości, przegniłą pod pachami od potu, i to nie on właśnie w tej chwili zdejmował ją z siebie. To nie on podawał ją

swojemu słudze i bratu ze szczepu Kamba, który dzielił z nim poczucie winy i świadomość tego, że spóźnili się, to nie on przyglądał się czarnemu chłopcu, który potrząsając ze wstrętu głową wachał kwaśny, zalatujący octem zapach kurtki i uśmiechnąwszy się chwycił jej rękawy i przerzucił ją sobie przez ramię. Szli dalej, stąpając po wypalanej szarej ziemi, lufy strzelb przygniatały im ramiona, zatykali palcami prawych rąk wyloty luf, z kolbami wymierzonymi w sznur idących za nimi tragarzy.

Tak, to nie był on, lecz w miarę jak pisał, stawał się nim i później każdy jego czytelnik miał się także stać tym człowiekiem i znaleźć to, co tamci znaleźli po dojściu do stoku, jeżeliby w ogóle kiedykolwiek do niego doszli. Postanowił pozwolić im tam dotrzeć w południe tegoż dnia tak, żeby każdy jego czytelnik przeżył to samo co on i zachował to w sobie na zawsze.

Wszystko, co ojciec miał w życiu, zachował dla siebie, myślał David, wszystko co podłe, bardzo podłe, najpodlejsze, złe, bardzo złe i najgorsze ze wszystkiego. Jaka szkoda, że człowiek z takim talentem do wywoływania wszelkich nieszczęść i wszelkich radości stoczył się na taką drogę. Wspominanie ojca zawsze sprawiało Davidowi wielką przyjemność. Był przekonany, że opowiadanie, które pisze, spodobałoby mu się.

Dochodziło południe, kiedy wyłonił się ze swojego pokoju i boso poszedł po kamiennych płytach patia do drzwi hotelu. W salonie robotnicy zakładali lustro na ścianę za barem. Monsieur Aurol i młody kelner także tam byli, więc David porozmawiał z nimi trochę, a potem poszedł do kuchni, gdzie znalazł Madame.

— Czy ma pani jakieś piwo, Madame? — zwrócił się do niej.

— Mais certainement<sup>12</sup>, Monsieur Bourne — odparła i wyjęła z lodówki zimną butelkę.

— Wypiję je wprost z butelki — oświadczył David.

— Jak Monsieur sobie życzy. Panie pojechały, o ile się nie mylę, do Nicei. Dobrze się Monsieur pisało?

— Bardzo dobrze.

— Monsieur za dużo pracuje. Nie wolno zapominać o śniadaniu.

— Czy zostało trochę kawioru od wczoraj?

— Na pewno.

---

<sup>12</sup> Mais certainement (fran.) — ależ oczywiście.

— Zjadłbym kilka łyżeczek.

— Monsieur ma dziwne obyczaje — zauważyła Madame. — Wczoraj popijał kawior szampanem, a dzisiaj piwem.

— Dzisiaj jestem sam. Czy moja *bicyclette* jest wciąż w *remise*?

— Powinna tam być.

David nabrał kawioru na łyżeczkę i podał Madame otwartą puszkę.

— Niech się pani poczęstuje. To pyszne.

— Nie wypada mi.

— Proszę się nie certować. Najlepiej to jeść na grzance. Z kieliszkiem szampana. Butelka stoi w lodówce.

Madame położyła trochę kawioru na pozostałą ze śniadania grzankę i naląła sobie kieliszek *rose*.

— Doskonale — pochwaliła. — Resztę trzeba schować.

— Czy czuje pani już zbawienne skutki? — uśmiechnął się David. — Nabiorę sobie jeszcze łyżeczkę.

— Och, Monsieur, proszę nie żartować.

— Czemu nie? Moich partnerek do żartowania nie ma. Jak te dwie piękne damy się zjawia, proszę im powiedzieć, że poszedłem popływać, dobrze?

— Doskonale. Ta mała jest bardzo piękna. Oczywiście nie taka jak Madame.

— Owszem, niebrzydka — zgodził się David.

— To prawdziwa piękność, Monsieur, a poza tym jest bardzo miła.

— Ujdzie w tłoku, zanim nie nawinie się inna — powiedział David z powagą. — Cieszę się, że ona się pani podoba.

— Monsieur — zachnęła się Madame.

— Co to za architektoniczne reformy? — zapytał David.

— Chodzi panu o lustro do salonu? Czy to nie czarujący prezent dla naszego domu?

— Wszyscy są czarujący i pełni wdzięku. Wdzięk i ikra jesiotra. To jest to. Czy chłopiec mógłby sprawdzić moje opony, a ja tymczasem pójdę, nałożę coś na nogi i poszukam czapki. Będę pani wdzięczny.

— Monsieur lubi chodzić boso. Ja też, latem.

— Może kiedyś pójdziemy sobie gdzieś razem boso.

— Monsieur — Madame była naprawdę wzburzona.

— Czy Aurol jest zazdrosny?

— *Sans blague*<sup>13</sup>. No dobrze. Powiem pańskim pięknym paniom, że pan poszedł na plażę.

— I niech pani nie daje Aurolowi kawioru! — zawołał David. — *A bientôt, chère*<sup>14</sup> Madame.

— *A toute à l'heure*<sup>15</sup> Monsieur.

Opuścił hotel i pojechał czarną, błyszczącą drogą prowadzącą przez sosnowy las. Z napiętymi mięśniami karku, ramion i nóg wdychał przesycone gorącym zapachem sosen, poruszane lekkim wietrzykiem od morza powietrze. Droga zaczęła się wznosić, więc pochylił się nad kierownicą, wparł w nią rękami i całym sobą, czuł, jak rower pokonuje stromość wzgórza, nabiera spokojnego rytmu, uspokaja się. Mijał przydrożne kamienie wyznaczające odległości stumetrowe, potem spostrzegł pierwszy słupek kilometrowy, pomalowany od góry czerwoną farbą, potem drugi i trzeci. Po chwili droga zaczęła opadać ku morzu, więc nacisnął hamulec, stanął, zsiadł, zarzucił rower na ramię i zszedł wąską ścieżką na plażę. Oparł rower o pachnący rozgrzaną żywicą pień sosny, skoczył w dół na kamienistą plażę, rozebrał się, ułożył w kostkę szorty i koszulę, na wierzch położył czapkę i espadryle, po czym dał nura w głęboką, przezroczystą zimną wodę. Gdy wychynął z tej mieniącej się różnymi kolorami toni, potrząsnął głową, żeby pozbyć się wody z uszu, i zaczął płynąć w głąb morza. Po chwili przewrócił się na plecy i patrząc w niebo, na którym ukazywały się teraz niewielkie białe, niesione wiatrem chmury, pozwalał falom się unosić.

Wreszcie ruszył z powrotem do zatoczki, wspinał się po brunatnych skałach, usiadł na słońcu i zaczął się wpatrywać w morze. Cieszył się swoją samotnością, był zadowolony, że wykonał narzuconą sobie na ten dzień porcję pisania. Ale po chwili ogarnęło go poczucie pustki, jakie zazwyczaj odczuwał po pracy, zaczął myśleć o dziewczynach, zapragnął ich obecności; nie tęsknił za jedną czy drugą, ale za obydwiema. Nie analizował ich, nie odnosił do nich krytycznie, nie myślał o nich w kontekście dylematu uczuciowego czy etycznego, nie zastanawiał się nawet nad tym wszystkim, co się dotychczas stało lub co się jeszcze mogło stać, nad tym, czy dobrze się zachował i co będzie dalej, wiedział tylko z całą pewnością, że za nimi tęskni. Za jedną i za drugą, razem i osobno, i że jednej i drugiej pragnie.

---

<sup>13</sup> Sans blague (fran.) — co za pytanie.

<sup>14</sup> A bientôt, chère (fran.) — do miłego.

<sup>15</sup> A toute à l'heure (fran.) — do zobaczenia.

Siedząc teraz w słońcu na skale i wpatrując się w taflę morza zdał sobie sprawę z tego, że pożądanie dwóch dziewcząt naraz to grzech, ale nic na to nie mógł poradzić. Jednocześnie wiedział, że nic, co wiąże się z którąkolwiek z nich, nie może się dobrze skończyć, i że on sam marnie na tym wyjdzie. Ale nie próbuje zwałać winy na nikogo, mówił do siebie, nie baw się w sędzię. Gdy nadejdzie czas, wszystko zostanie osądzone i to nie przez ciebie.

Patrzył w dół na morze i usiłował myśleć o całej tej sytuacji w sposób jasny i klarowny, ale nadaremno. Najgorsze było to, co działo się z Katarzyną. No i że tamta dziewczyna stanowczo za bardzo mu się podobała. Nie musiał specjalnie analizować swoich uczuć, żeby się upewnić, że kocha Katarzynę, czy wysilać się, by się utwierdzić w przekonaniu, że miłość do dwóch kobiet naraz jest rzeczą złą, że nie wróży niczego dobrego. Nie zdawał sobie jeszcze w pełni sprawy z tego, jak groźna mogła się okazać taka sytuacja. Wiedział tylko z całą pewnością, że jest w pełnym toku. Wszyscy troje jesteście ze sobą sprzęgnięci, myślał, niczym trzy zębate przekładnie toczącego się koła, i zaraz dodał, także w myślach, że jedna z tych przekładni została już usunięta lub w najlepszym przypadku uszkodzona. Skoczył do czystej, zimnej wody, zanurzył się głęboko, wychynął, potrząsnął mocno głową, po czym popłynął w głąb morza, obrócił się i skierował do brzegu.

Nałożył ubranie na wilgotne ciało, wsunął czapkę do kieszeni i z rowerem przerzuconym przez ramię wspiał się na drogę. Wsiadł na rower i ruszył w górę. Z braku treningu szybko rozbolały go uda, ale uparcie naciskał pedały i wartko sunął czarną drogą, tak jak gdyby ten wyścigowy rower i on stanowili jakieś cudaczne zwierzę na kółkach. Potem, już na wolnym kole, zjechał w dół, zanurzył się w sosnowy las, sprawnie brał wszystkie zakręty, by wreszcie skrócić w boczną drogę prowadzącą wprost na podwórko hotelu, wysadzoną dwoma rzędami drzew, pomiędzy których prześwitywał błękit morza.

Dziewczyn jeszcze nie było, więc poszedł do swojego pokoju, wziął prysznic, nałożył świeżą koszulę i szorty i zawędrował do baru, gdzie wisiało już nowe, eleganckie lustro. Zawołał chłopca, kazał mu przynieść cytrynę, nożyk i lód, a potem pokazał mu, jak się robi *Toma Collinsa*. Usiadł na wysokim stołku i spojrzawszy w lustro uniósł szklanekę. Nie wiem, czy miałbym ochotę pić z tobą, gdybym cię poznał cztery miesiące temu, powiedział do swego odbicia. Chłopiec przyniósł mu „Eclairer de Nice”, zabrał się więc do czytania gazety i czekania. Był rozczarowany, kiedy się



dowiedział, że dziewczęta jeszcze nie wróciły z miasta, i coraz bardziej odczuwał ich brak, a także lekki niepokój.

Kiedy się wreszcie zjawily, Katarzyna byla bardzo wesoła i podniecona, Marita natomiast dziwnie skruszona i cicha.

— Halo, kochanie! — zawołała Katarzyna. — Och, popatrz tylko na to lustro. Więc zawiesili je wreszcie. Jest piękne. Ale też niezbyt łaskawe.

Pójdę się odświeżyć przed obiadem. Przepraszam cię za spóźnienie.

— Zatrzymałyśmy się w mieście na szklaneczkę — powiedziała dziewczyna. — Przykro mi, że musiałeś tak długo czekać.

— Na szklaneczkę? — zdziwił się David.

Dziewczyna uniosła do góry dwa palce. Wyprostowała się, pocałowała go i wybiegła z salonu.

Katarzyna powróciła w spódnicy z białego lnu i tej niebieskiej bluzce, którą David tak lubił, i już od progu powiedziała: — Kochanie, mam nadzieję, że się nie gniewasz. To naprawdę nie nasza wina. Spotkałyśmy Jeana, więc zaprosiłam go na drinka, zgodził się i był szalenie miły.

— Masz na myśli tego fryzjera?

— Oczywiście. Przecież nie znam w Cannes żadnego innego Jeana.

Kazał cię pozdrowić, to bardzo sympatyczny chłopak. Zrób mi Martini, kochanie. Wypiłam tylko jednego.

— Obiad naprawdę już czeka.

— Zróbiesz mi małego drinka, kochanie. Obiad nie ucieknie. Nikogo poza nami tu nie ma.

David przygotował, bez pośpiechu, dwa koktajle. Wróciła dziewczyna w sukni z białego rypsu. Nie znać było po niej upału.

— Zrób mi też jednego, Davidzie! — poprosiła. — W mieście jest strasznie gorąco. Jak było tutaj?

— Powinnaś była zostać w domu i zająć się nim — oświadczyła Katarzyna.

— Dałem sobie świetnie radę — zareplikował David. — Woda była przyjemna.

— Używasz interesujących określeń — uśmiechnęła się Marita. — Szalenie obrazowo się wyrażasz.

— Daruj.

— Czysty dandyzm — roześmiała się Katarzyna. — Wy tłumacz swojej nowej dziewczynie pochodzenie tego słowa. Ona go nie może znać. To amerykańizm.

— Myślę, że wiem, co oznacza! — zawołała Marita. — Pochodzi od Dandy, jak w Yankee Doodle Dandy, nieprawdaż? Znaczący, co wspałały, pierwszorzędnny, elegancki! Proszę cię, Katarzyno, nie gniewaj się JUŻ na mnie.

— Wcale się nie gniewam. Tyle że kiedy dwa dni temu dostawiałaś się do mnie, robiłaś to w sposób wspałały, pierwszorzędnny i elegancki, ale gdybym ja dziś zachowała się w stosunku do ciebie chociażby w przybliżeniu tak jak ty wczoraj, obciąłabyś mnie z miejsca. Tak czy nie?

— Przykro mi, kochanie.

— Znowu komu jest przykro. Przecież to ty mnie wszystkiego nauczyłaś. Chociaż w sumie niezbyt dużo.

— Idziemy na obiad — zaproponował David. — Zgrzałaś się, Diablico, i na pewno jesteś zmęczona.

— Tak i mam wszystkiego i wszystkich dość. Nie gniewajcie się.

— Nie ma powodu — powiedziała dziewczyna. — Głupio się zachowałam. Bez zastanowienia. — Podeszła do Katarzyny i leciutko ją pocałowała. — Bądź dobrą dziewczynką — dodała. — Idziemy do stołu? — Więc nie jedliśmy jeszcze?

— Nie, Diablico — uśmiechnął się David. — Teraz pójdziemy wszyscy razem na obiad.

Pod koniec obiadu Katarzyna, która wydawała się przez cały czas całkiem naturalna, choć może nieco nieuważna, powiedziała: — Darujcie mi, ale muszę się położyć.

— Pójdę z tobą i poczekam, aż zaśniesz — zaproponowała jej Marita.

— Obawiam się — westchnęła Katarzyna — że za dużo wypiałam.

— Pójdę z tobą i też się zdrzemnę — powiedział David.

— Nie, proszę cię, Davidzie. Wolę, żebyś przyszedł, jak już będę spała, dobrze?

Po upływie pół godziny Marita wyłoniła się z pokoju Katarzyny.

— Śpi — oznajmiła. — Musimy być dla niej dobrzy i mili. Tylko o niej myśleć.

Kiedy David wszedł do sypialni, okazało się, że Katarzyna wcale nic śpi. Przysiadł na brzegu łóżka.

— Nic traktujcie mnie jak obłożnie chorą — powiedziała. — Po prostu za dużo wypiałam. I nie gniewaj się, że kłamałam. Sama nie wiem, jak to się stało.

— Pewnie zawiodła cię pamięć.

— Nie. Zrobiłam to z zimną krwią. Przyjmiesz mnie z powrotem, powiedz? Skończyłam z całym tym kurestwem.

— Przecież nie odepchnąłem cię.

— Jeżeli przyjmiesz mnie z powrotem, będę szczęśliwa. To wszystko, czego pragnę. Będę twoją jedyną najprawdziwszą dziewczyną, słowo. Chcesz tego?

Pocałował ją.

— Pocałuj mnie, ale tak naprawdę.

— Och — westchnęła. — Proszę cię bardzo, nie spiesz się.

Pojechali do zatoczki, którą odkryli pierwszego dnia. David zamierzał zostawić dziewczyny, żeby sobie popływały, a samemu pojechać starą Isottą do Cannes, do warsztatu, żeby podciągnęli hamulce i ustawili zapłon. Ale Katarzyna poprosiła go, żeby z nimi popływał, a samochodem zajął się dopiero nazajutrz. Po drzemce była znów wesoła i pełna werwy. Marita zaś zwróciła się doń z powagą: — Zostań z nami.

Więc dojechawszy do miejsca, w którym droga zakręcała, zademonstrował im, jak kiepsko działają hamulce, jakie są niebezpieczne.

— Zabijesz się jeszcze w tym samochodzie — powiedział do Marity. — Prowadzenie go w takim stanie to zbrodnia.

— Może powinnam postarać się o inny?

— Gdzież tam. Trzeba tylko zreperować te hamulce.

— Potrzebny nam jest większy wóz, żebyśmy się mogli wygodnie zmieścić — odezwała się Katarzyna.

— To jest doskonały samochód, należy go tylko doprowadzić do porządku — odparł David. — Tyle że trzeba włożyć w niego cholernie dużo pracy. Osobiście uważam, że jest dla ciebie za duży.

— Zorientuj się, czy potrafią go zreperować — powiedziała dziewczyna. — Bo jak nie, to załatwimy taki wóz, jaki ci najbardziej odpowiada.

Rozłożyli się na plaży i po dłuższym leniwym wygrzewaniu się David odezwał się: — No to chodźcie popływać.

— Oblej mi głowę — poprosiła go Katarzyna. — W moim plecaku jest składane wiaderko.

— Och, jak cudownie — rozentuzjasmowała się. — Zrób to jeszcze raz. Spryskaj mi twarz.

Rzuciła biały płaszcz kąpielowy na twarde piasek, położyła się na nim i opalała, a David z Maritą wypłynęli w morze, a potem pluskali się wśród przybrzeżnych skał. Dziewczyna popłynęła naprzód, David z łatwością ją dogonił, wysunął jedno ramię z wody, chwycił ją za nogę, przyciągnął do siebie, objął i zaczął całować. Utrzymywali się na powierzchni tłocząc stopami wodę. Kiedy tak trwali przebijając nogami i mocno do siebie przytuleni, dziewczyna miała wrażenie, że są równego wzrostu i że ciało jej jest obłe i śliskie. Nagle znalazła się pod wodą, więc przechyliła się w tył i wychynęła na powierzchnię śmiejąc się i potrząsając głową, gładką jak głowa fokii. Przyłożyła usta do jego ust i całowali się tak długo, aż osunęli się pod wodę. Potem leżąc na wznak pozwolili wodzie unosić się i znów całowali się, mocno i radośnie, aż znów zalała ich fala.

— Przestałam się czymkolwiek przejmować — oświadczyła Marita, kiedy po raz kolejny wyłonili się na powierzchnię. — Ty też się nie przejmuj.

— Nie martwię się o nic — odparł i razem popłynęli do brzegu.

— Do wody, Diablico! — krzyknął David do Katarzyny. — Zanadto sobie rozgrzejesz głowę.

— Dobrze. Idziemy — odparła. — Niech się Dziedziczka teraz opala.

Wysmaruję ją olejkiem.

— Tylko nie nakładaj go za dużo. I oblej mi głowę wodą. — Masz chyba wystarczająco mokre włosy — zdziwiła się Katarzyna. — Tak, ale mam ochotę na taki prysznic.

— Weź wiaderko, Davidzie, wejdz jak możesz najdalej w głąb i przynieś zimnej wody — zwróciła się do niego Katarzyna.

David połał Maricie głowę przezroczyście zimną morską wodą, po czym wraz z Katarzyną pozostawili ją leżącą na brzuchu, z twarzą ukrytą w ramionach, i wypłynęli daleko w morze. Poruszali się lekko i zwinnie, niczym, jakies nieznane morskie stworzenia. W pewnej chwili Katarzyna odezwała się:

— Byłoby nam wspaniale razem — powiedziała — gdybym była normalna.

— Jesteś zupełnie normalna.

— Może, ale nie dziś. Może akurat nie teraz. Czy moglibyśmy wypłynąć dalej?

— Jesteśmy już bardzo daleko, Diablico.

- No to wracajmy. Och, jak ja lubię być na głębokiej wodzie.
- Czy chciałabyś zanurkować jeszcze raz, zanim wrócimy na plażę?
- Jeden raz — zgodziła się. — Tu, na tej wielkiej głębokości.
- Dobrze, popłyniemy w głąb do granicy wytrzymałości.

## ***Rozdział szesnasty***

Obudził się, kiedy zaczęło świtać, i spojrzął w okno na blade sylwetki sosen, ledwo rysujące się na tle nieba. Wstał bardzo ostrożnie, uważając, by nie obudzić Katarzyny, nałożył szorty i ruszył na bosaka po wilgotnych od rosy płytach chodnika, ciągnącego się wzdłuż fasady hotelu do drzwi swojego pokoju pracy. Gdy je otworzył, znowu poczuł powiew morskiej bryzy zapowiadającej pogodę.

Gdy siadał przy stole, słońce jeszcze nie wzeszło, więc pomyślał, że może odrobi trochę straconego czasu w swoim opowiadaniu. Ale kiedy przeczytał to, co napisał poprzedniego dnia tym swoim starannym wyraźnym pismem, i własne słowa zaprowadziły go w głąb własnej opowieści i w głąb tamtego kraju, stracił to, co mu się zdawało, że zyskał, i znowu znalazł się twarzą w twarz z tym samym problemem. Toteż gdy słońce wyłoniło się z morza, dla niego był już od dawna dzień i znajdował się w połowie przeprawy przez smutne, szare, wyschnięte koryta jezior. Buty miał białe od soli alkalicznej, upalne słońce przygniatało mu czaszkę, ramiona i plecy.

Mokra od potu koszula przylegała do ciała, pot spływał po plecach i między udami. Kiedy prostował się, żeby odpocząć, koszula odrywała się od skóry i zwisając luźno schła w błyskawicznym tempie. Przyglądał się białym plamom potu. Czuł to wszystko bardzo dojmująco i widział samego siebie, stojącego wśród pustkowiec, i wiedział, że nie pozostaje mu nic innego, jak iść dalej.

O wpół do jedenastej miał już za sobą wyschnięte jeziora i jeszcze spory kawałek drogi. Dotarł do rzeki i do figowego gaju, gdzie zamierzał rozbić obóz. Kora drzew była zielonożółta, a ich gałęzie ciężkie od owoców. Pawiany najadły się dzikich fig i pozostawiły na ziemi pawianie łajno i masę gnijącego owocu. Smród był paskudny.

Gdy przerwawszy pisanie spojrzął na zegarek, zobaczył, że jest godzina dziesiąta trzydzieści.

Dziesiątą trzydzieści wskazywał zegarek, jaki nosił na rękę, gdy siedział przy stole w pokoju owianym lekką morską bryzą wdzierającą się przez otwarte okna, ale prawdziwy czas był inny. W opowiadaniu zapadał już wieczór, a David siedział na ziemi wparty plecami w żółtozielony pień drzewa ze szklanką whisky w ręku. Kazał pozamiatać gnijące figi. Tragarze ćwiartowali antylopę Kongoni, którą udało mu się upolować, gdy zbliżając się do rzeki dotarli do pierwszego zacienionego kawałka rozmokłego gruntu.

Zostawię ich teraz z tym mięsem, pomyślał, i dzisiaj będą szczęśliwi, niezależnie od tego, co przytrafi im się jutro. Poskładał więc ołówki i bruliony, zamknął walizkę na klucz i stąpając po ciepłych już teraz płytach chodnika wyszedł na patio hotelu.

Dziewczyna siedziała przy jednym ze stolików i czytała. Miała na sobie pasiastą rybacką bluzę, tenisową spódniczkę, a na nogach espadrile. Kiedy go zobaczyła, odłożyła książkę. Zarumieni się, pomyślał David, ale widać opanowała ten odruch i powiedziała: — Dzień dobry, Davidzie. Dobrze ci się pracowało?

— Tak, moja śliczna — odparł.

Wstała, pocałowała go na powitanie i dodała: — No to jestem zadowolona. Katarzyna jest w Cannes. Kazała mi jechać z tobą na plażę.

— Czy nie wolą zabrać cię ze sobą do miasta?

— Nie. Wolą, żebym została. Powiedziała, że wstajesz strasznie wcześnie do pracy i że kiedy skończysz, poczujesz może brak towarzystwa. Co ci zamówić na śniadanie? Nie powinienes się głodzić.

Poszła do kuchni i powróciła niosąc *oeufs au plat avec jambon* i dwa słoiki musztardy.

— Trudne było to, co dzisiaj pisałeś? — zapytała.

— Nie — odparł. — Pisanie jest zawsze trudne i łatwe. Szło mi całkiem nieźle.

— Szkoda, że nie mogę ci pomóc.

— Nikt nie może mi w tym pomóc.

— Ale w innych sprawach jest to możliwe?

Chciał oświadczyć, że inne sprawy się nie liczą, ale powstrzymał się i powiedział:

- Naturalnie, przecież to robisz.

Kawałkiem chleba wytarł z płaskiego talerza resztę jajek i musztardy i wypił nieco herbaty.

— Jak ci się spało? — zapytał.

— Bardzo dobrze — uśmiechnęła się. — Mam nadzieję, że nie uznasz tego za brak solidarności.

— Nie. Raczej za dowód rozsądku.

— Czy moglibyśmy przestać być tacy wytworni? Dotychczas wszystko między nami było jasne i proste.

— Dobrze, skończmy z tym. Skończmy też z tym ciągłym „nie wypada tego robić, Davidzie”, dobrze?

— Dobrze. Idę do pokoju. Jak będziesz chciał pojechać na plażę, możesz po mnie wstąpić.

Wstała.

— Nie odchodź, proszę cię. Nie będę już się więcej wygłupiał.

— Dla mnie się nie wysilaj. Och, Davidzie, jak mogliśmy się wdać w taką głupią rozmowę? Biedny David. Co te baby z nim wyprawiają. Głaskała go po głowie i uśmiechała się.

— Pójdę po rzeczy, jeżeli masz ochotę popływać.

— Świetnie — odparł. — A ja pójdę po espadrile.

Leżeli w cieniu skały na piasku, na który David rzucił płaszcze kąpielowe, i po pewnym czasie dziewczyna powiedziała: — Teraz ty idź do wody, a potem ja sobie popływam.

Odrywał się od niej bardzo powoli i ostrożnie, po czym wszedł do wody, opryskał się i zanurzył się dopiero tam, gdzie była głębsza i zimniejsza. Zanurkował, wychynął na powierzchnię i przez pewien czas pływał pod wiatr, a potem w stronę plaży, gdzie tuż przy brzegu morza czekała na niego dziewczyna. Jej ciemne, gładkie, mokre włosy przylegały ciasno do małej główki, z opalonego na ciepły brąz ciała spływały strużki wody. Objął ją mocno, zalała ich fala.

Całowali się długo, a potem ona powiedziała: — Wszystkie nasze rzeczy porwało morze.

— Musimy wracać.

— Zanurkujemy jeszcze jeden raz mocno objęci, dobrze?

Kiedy powrócili do hotelu, okazało się, że Katarzyny jeszcze nie było, więc każde poszło do siebie, żeby wziąć prysznic i przebrać się, a potem spotkali się w barze. Patrzyli na swoje lustrzane odbicia, on na nią, ona na niego. Obserwowali się pilnie, a David cały czas pocierał sobie palcem górną wargę. Zarumieniła się.

— Marzę o tym, żeby przeżyć z tobą jak najwięcej takich chwil — powiedziała.  
— Takich wyłącznie naszych. Wtedy nie będę zazdrosna.

— Na twoim miejscu nie zarzucałbym zbyt wielu kotwic. Łańcuchy mogą się zaplątać.

— Nie, nie. Znajdę takie więzy, które będą cię same trzymały.

— Wiesz co, Dziedziczko, zawsze podejrzewałem, że jesteś osobą praktyczną.

— Nie podoba mi się to imię.

— Imiona wsiąkają w skórę.

— No to trzeba je koniecznie zmienić. Chyba nie jest to dla ciebie takie ważne?

— Nie... Haya.

— Przepraszam. Powtórz to.

— Haya.

— Co to znaczy?

— To też ładne imię. Będzie wyłącznie nasze. Na zawsze.

— Co oznacza?

— Po hiszpańsku ta, która się rumieni. Ta skromna.

Objął ją mocno i przytulił do siebie, a ona położyła głowę na jego ramieniu.

— Pocałuj mnie choć raz — zażądała.

Katarzyna wpadła do salonu rozchełstana, wesola i podniecona, i najwyraźniej z siebie zadowolona.

— Więc zabrałaś go na plażę! — zawołała. — Wyglądacie całkiem nieźle, chociaż jesteście jeszcze wilgotni po prysznicu. Niech na was popatrzę.

— Niech ja popatrzę na ciebie — odparła dziewczyna. — Cożeś znowu zrobiła z włosami?

— Ten odcień nazywa się cendre. Podoba ci się? To taka płukanka, z którą Jean teraz eksperymentuje. — Są piękne! — zawołała dziewczyna.



Wspaniałe, choć dziwne włosy Katarzyny odcinały się od jej ciemnej twarzy. Zabrała Maricie kieliszek i powoli z niego popijając patrzyła na swoje lustrzane odbicie.

— Dobra była woda? — zapytała.

— Pływaliśmy dość długo, chociaż nie tak długo jak wczoraj — odpowiedziała jej Marita.

— Pyszny Martini — pochwaliła Katarzyna Davida. — Co sprawia, że twoje koktajle są o tyle lepsze od innych?

— Dżin — odparł David krótko.

— Zrób mi jednego.

— Nie będziesz chyba teraz piła, Diablico. Zaraz pójdziemy na obiad.

— Kiedy mam ochotę. A po obiedzie położę się do łóżka. Ty nie musiałeś się męczyć z tym odbarwianiem, farbowaniem i suszeniem. To okropnie wyczerpujące.

— Jak właściwie nazwać ten kolor twoich włosów?

— Są prawie białe. Wiedziałam, że ci się spodobają. Na razie dam im spokój. Chcę się przekonać, czy ten kolor jest trwały.

— Jak określiłabyś tę biel?

— Biel mydlin. Chyba pamiętasz, jak wyglądają?

Wieczorem Katarzyna była zupełnie inna niż w południe. Kiedy David i Marita powrócili z plaży, siedziała sama w barze. Dziewczyna poszła na chwilę do siebie, David prosto do salonu. Już od progu zawołał: — Coś ty znowu zrobiła z włosami, Diablico?

— Wymyłam z nich tę idiotyczną płukanekę — oświadczyła. — Zostawały po niej szare plamy na poduszce.

Wyglądała szalenie interesująco z tymi swoimi matowosrebrzystymi włosami i twarzą ciemniejszą niż kiedykolwiek.

— Jesteś dziś niezwykle piękna — powiedział. — Żałuję tylko, że pozwoliłaś komukolwiek dotknąć swoich włosów.

— Nic się już na to nie poradzi. Czy mogę ci coś powiedzieć?

— Pewnie.

— Od jutra nie piję, uczę się hiszpańskiego, znowu zaczynam czytać książki i przestaję myśleć wyłącznie o sobie.

— O Boże! — zawołał David. — Musiałaś mieć ciężki dzień. Zrobię ci drinka i pójde się przebrać, dobrze?

— Ja się stąd nie ruszam — oświadczyła Katarzyna. — Nałóż tę niebieską koszulę, dobrze? Tę, co ci kupiłam, taką samą jak moja.

David nie spiesząc się wziął prysznic i przebrał się od stóp do głów, a kiedy powrócił do salonu, zastał przy barze obydwie dziewczyny, pomyślał, że dobrze by było, gdyby je ktoś namalował.

— Powiedziałam Dziedzicce o tym, co postanowiłam! — zawołała Katarzyna. — No i że bardzo bym chciała, żebyś ją także kochał i ożenił się z nią, jeżeliby miała ochotę.

— W Afryce albo gdybym był muzułmaninem dałoby się to zrobić. Im wolno mieć trzy żony.

— Myślę, że byłoby nam znacznie przyjemniej, gdybyśmy się wszyscy ze sobą pobrali. Wtedy nikt nie mógłby nas krytykować. Wzięłabyś z nim ślub, Dziedziczko?

— Tak — odparła dziewczyna.

— Cudownie — ucieszyła się Katarzyna. — Tak się martwiłam, ale teraz wszystko jest już jasne i proste.

— Naprawdę byś się zgodziła? — zapytał David dziewczynę.

— Tak — powtórzyła i dodała: — Tylko mnie poproś.

David przyglądał jej się uważnie. Była podniecona, ale poważna zarazem. Przypomniawszy sobie, jak wyglądała leżąc w słońcu z zamkniętymi oczami, jak jej ciemna głowa rysowała się na tle białego kąpielowego płaszcza, rozłożonego na żółtym piasku, kiedy wreszcie się kochali.

— Zrobimy to — powiedział — ale nie w tym cholernym barze.

— Nie mów, że to cholerny bar — uśmiechnęła się Katarzyna. — Jest nasz. Kupiliśmy mu nawet lustro. Szkoda, że nie możecie się jeszcze dzisiaj pobrać.

— Nie gadaj bzdur — mruknął David.

— To nie są bzdury. Pozwól mi coś powiedzieć. Żebym się tylko nie pomyliła. Patrz na mnie i słuchaj.

Dziewczyna spuściła oczy, David patrzył na Katarzynę.

— Przemyślałam wszystko dokładnie, zeszło mi na tym całe popołudnie. Naprawdę. Wszystko też powiedziałam Maricie.

— Rozumiem.

David zorientował się nagle, że Katarzyna wcale nie żartuje i że dziewczyny bez jego wiedzy doszły do jakiegoś porozumienia.

— Jestem wciąż twoją żoną! — krzyknęła Katarzyna. — Od tego trzeba zacząć. Chcę, żeby Marita też była twoją żoną. Będzie mi we wszystkim pomagała, a potem odziedziczy po mnie cały majątek.

— Dlaczego miałyby tobie dziedziczyć?

— Ludzie spisują testamenty — powiedziała Katarzyna. — Zresztą to, co w tej chwili mówię, jest ważniejsze od testamentu.

— Co ty na to? — zwrócił się David do dziewczyny. — Zgadzam się, jeżeli ty się zgadzasz.

— Dobra — odparł. — Ale pozwólcie, że się czegoś napiję.

— Bardzo proszę — zgodziła się Katarzyna. — Widzisz, nie chciałabym, żebyś został bez grosza, kiedy zwariuję do reszty i nie będę mogła o niczym decydować. Nie dam się zamknąć. To także dzisiaj postanowiłam. Ona cię kocha, ty ją też trochę kochasz. Znam się na tym. Nigdy nie trafisz na drugą taką dziewczynę jak ona, a w ogóle to nie chciałabym, żebyś ze strachu przed samotnością związał się z jakąś dziwką albo żebyś został sam jak palec.

— Dajże już spokój... i uśmiechnij się. Jesteś zdrowa jak rydz.

— No cóż. — westchnęła Katarzyna. — Zrobimy to. Obmyślimy wszystko dokładnie.

## ***Rozdział siedemnasty***

Słońce zalewało pokój, wstawał nowy dzień. Weź się do pracy, powiedział David do samego siebie. Co się stało, już się nie odstanie. Tylko jedna osoba mogłaby to spowodować, a ona jeszcze nie wie, co będzie czuła, kiedy się ocknie. Twoje uczucia nie są ważne. Wracaj do pisania. Praca wymaga absolutnej logiki. To, co się tu dzieje, nie ma żadnego związku z logiką. Zresztą nic ci nie pomoże. Nic nie mogło ci pomóc od momentu, kiedy powstała ta sytuacja.

Gdy znalazł się znowu w swoim opowiadaniu, słońce stało wysoko i natychmiast sprawy dziewczyn poszły mu w niepamięć. Teraz było dlań rzeczą najważniejszą uświadomienie sobie, o czym myślał ojciec, kiedy siedział oparty

plecami o pień zielonożółtego figowca z emaliowanym kubkiem pełnym zmieszanej z wodą whisky w ręku. Ojciec tak łatwo radził sobie z kłopotami, nie dawał im po prostu szansy, pozbawiał wszelkiego znaczenia, tak że traciły kształt, rangę, najmniejszą nawet odrobinę godności. Traktował je jak starych, zaufanych przyjaciół, myślał David, toteż gdy się zbliżały, od razu rozumiały, że nie uda się go skrzywdzić. Ojciec był niedotykalny, w przeciwieństwie do większości ludzi, których David znał. Wierzył, że zabić może go wyłącznie śmierć. Teraz David wiedział dokładnie wszystko to, co było niegdyś udziałem jego ojca, i uświadomiwszy to sobie postanowił nie posługiwać się tą wiedzą w swoim opowiadaniu. Opisywał więc tylko to, co ojciec robił i czuł, i w miarę pisania powoli wchodził w jego skórę i to do tego stopnia, że zdołał odtworzyć słowa, jakimi ojciec zwracał się do Molo, i słowa, jakimi Molo mu odpowiadał. Ojciec usnął ułożywszy się na ziemi pod drzewem, a kiedy się obudził, usłyszał szelest wskazujący na obecność lamparta. Po chwili przestał go słyszeć, więc z powrotem zapadł w sen. Lampart szukał mięsa, a że mięsa w obozie nie brakowało, nikt się tym nie przejął. Rano, jeszcze przed świtem, siedząc przy wygasłym ognisku i popijając herbatę z emaliowanego kubka ojciec zapytał Molo, czy lampart dobrał się do mięsa, i Molo odpowiedział: — *Ndiyo*. — Na co ojciec rzekł: — Tam, dokąd idziemy, będzie dużo mięsa. Każ im wstawać, bo trzeba ruszać w drogę.

Szli już drugi dzień przez porośnięty drzewami, podobny do parku teren, a zatrzymali się na wysokiej skarpie i ojciec wyraził zadowolenie z widoku i z ilości przebytej tego dnia przestrzeni. David nauczył się już wtedy ojcowskiej umiejętności puszczania rzeczy w niepamięć i absolutnej odporności na strach. Przed nim był jeszcze jeden dzień i jedna noc w tym nowym nieznanym wyżynnym kraju, i w pełni świadomy faktu, że przeżył tam już całe dwa dni i jedną noc, przerwał pisanie.

Bardzo powoli wracał do rzeczywistości i jeszcze, gdy zamykał drzwi pokoju i wchodził do salonu, czuł obecność ojca.

Powiedział młodemu kelnerowi, że nie będzie jadł śniadania i żeby mu przyniósł whisky z Perrierem i poranną gazetę. Było już po dwunastej, zrezygnował więc z zawiezienia starej Isotty do Cannes do naprawy, wiedział bowiem, że wszystkie warsztaty zamknęły się już na przerwę obiadową. Stał więc przy barze głównie dlatego, że właśnie tam znalazłby się o tej porze dnia jego ojciec, a że on sam dopiero przed chwilą opuścił wyżynny kraj. Ogarnęła go gwałtowna tęsknota za tym człowiekiem. Niebo, jakie zaglądało przez okno salonu, było podobne do tamtego, błękitne, pokryte białymi cumulusami. Powitał ojca i dopiero kiedy spojrzał w lustro,

stwierdził, że poza nim nie ma tu nikogo. Chciał się go poradzić w dwóch sprawach. Ojciec, który kierował własnym życiem w sposób tak katastrofalny jak nikt na świecie, dawał doskonale rady. Preparował je z cierpkiej mieszanki sporządzonej ze wszystkich swoich poprzednich błędów, z orzeźwiającym dodatkiem kilku, jakie dopiero zamierzał popełnić, i udzielał ich z dokładnością, precyzją i autorytetem człowieka, który przed chwilą wysłuchał upiornego uzasadnienia wydanego na siebie wyroku, przy czym wyrok ten obchodził go akurat tyle, co tekst wydrukowany drobną czcionką na transatlantyckim bilecie okrętowym.

Przykro mu było, że ojciec odszedł, lecz mimo to wysłuchał jego rady i uśmiechnął się do niego, Ojciec wyraziłby to wszystko precyzyjniej niż on, ale David musiał przestać pisać, bo zmęczył się i zrozumiał, że w tym stanie nie sprosta ojcowskiemu stylowi. Nikt by tego zresztą nie potrafił i czasami zdarzało się, że nawet ojciec nie mógł sprostać samemu sobie. David wiedział już na pewno, dlaczego od tak dawna ociążał się z napisaniem tego opowiadania. Wiedział też, że teraz, kiedy przerwał pisanie, nie wolno mu o nim myśleć, bo to mogłoby uniemożliwić zakończenie go.

Nie należy się zadreć przed rozpoczęciem pracy ani w przerwach, powiedział do siebie. Masz szczęście, że odnalazłeś je w swojej pamięci, przestań bawić się nim jak piłką. Jeśli nie potrafisz wykrzesać w sobie szacunku dla własnego sposobu życia, to miejżesz przynajmniej szacunek dla swojego rzemiosła. A to rzemiosło chyba dobrze znasz. Chociaż prawdę mówiąc, nie jest to dobre opowiadanie. Bóg świadkiem.

Popijał swoją whisky z Perrierem i przez otwarte drzwi patrzył na słoneczny krajobraz. Powoli stygło w nim napięcie, zabójczo mocny trunek bardzo w tym pomagał.

Zastanawiał się, gdzie też podziały się dziewczyny. Znowu spóźniały się. Miał nadzieję, że tym razem nic złego się nie stało. Nie uważał się za postać tragiczną, chronił go przed tym fakt, że miał takiego ojca i że był pisarzem. Kiedy kończył swoją whisky, miał już znacznie lepsze samopoczucie. Każdego ranka budził się pełen poczucia szczęścia, ale już po chwili uświadamiał sobie całą grozę nadchodzącego dnia i akceptował każdy z nich, podobnie jak zaakceptował dzisiejszy. Utracił zdolność cierpienia z powodu własnych klęsk lub tak mu się przynajmniej zdawało, potrafił dojmująco przeżywać jedynie cudze nieszczęście. Mylił się oczywiście, bo nie wiedział jeszcze, jak bardzo potrafi zmienić się nasza wrażliwość a także wrażliwość innych

ludzi, poza tym było mu z tym dobrze. Myślał o dziewczynach, marzył o tym, żeby wróciły jak najszybciej. Było już za późno na pływanie przed obiadem, ale chciał je zobaczyć. Myślał o obydwóch. Po chwili poszedł do siebie, wziął prysznic i ogolił się. W czasie golenia usłyszał warkot nadjeżdżającego samochodu i poczuł nagłą pustkę w trzewiach. Zaraz potem doszły go strzępy ich rozmowy i śmiech. Szybko nałożył czyste szorty i wybiegł im na spotkanie. W jakim też będą nastroju, zastanawiał się.

Wszyscy troje poszli do baru na drinka, potem zjedli lekki i smaczny obiad, napili się Tavela i dopiero przy serze i owocach Katarzyna zapytała Maritę:

— Powiedzieć mu?

— Jeżeli chcesz — dziewczyna podniosła kieliszek do ust.

— Zapomniałam, w jakiej formie mam mu to podać — powiedziała Katarzyna.

— Zbyt długo czekałyśmy.

— Jak mogłaś zapomnieć? — zdziwiła się dziewczyna.

— Trudno. Zupełnie nie pamiętam, cośmy ustaliły, tylko tyle, że był to wspólny pomysł.

David dolał sobie wina.

— Spróbuj sobie przypomnieć same fakty — zaproponował.

— Fakty pamiętam doskonale. Chodzi o to, że wczoraj spędziłeś ze mną sjęstę, potem poszedłeś do pokoju Marity. Zależy nam na tym, żebyś dzisiaj poszedł prosto do niej. Ale wszystko zepsułam, więc może będzie najlepiej, jeżeli spędzimy tę sjęstę we troje.

— Sjęstę, nie — powiedział David odruchowo i przeląkł się własnych słów.

— Może masz rację — zgodziła się Katarzyna. — Przykro mi, że mi to tak źle wyszło, ale nie mogłam się powstrzymać od powiedzenia ci tego.

W sypialni David powiedział do Katarzyny: — Niech ją diabli wezmą.

— Nie mów tego, kochanie. Ona próbowała tylko zrobić to, o co ją prosiłam. Sama ci to potwierdzi.

— Pieprzę ją.

— Rzeczywiście. Ale nie w tym rzecz. Idź i rozmów się z nią. A jeżeliby miał na nią ochotę, to zrób jej to najlepiej jak możesz.

— Jak ty się wyrażasz?

— Ty zacząłeś. Ja tylko odbijam twoją piłeczkę. Jak w tenisie.

— Zgoda. A co ona ma mi niby do powiedzenia?

— To, co mi nie wyszło, bo zapomniałam. Nie rób takiej poważnej miny, bo cię nie puszcę. Powaga dodaje ci seksu. Idź już, bo jej też wszystko wyleci z głowy.

— A niech was obie diabli wezmą.

— Świetnie. Zaczynasz prawidłowiej reagować. Chociaż wolę cię, kiedy jesteś trochę bardziej nonszalancki. Pocałuj mnie na do widzenia. No doprawdy, idźże już, bo ona wszystko zapomni. Czy nie zauważyłeś, jaka jestem dzisiaj rozsądna i grzeczna?

— Nie jesteś ani grzeczna, ani rozsądna.

— Mimo to lubisz mnie?

— Naturalnie.

— Czy powiesz ci coś w tajemnicy?

— Coś nowego?

— Coś starego.

— Dobrze.

— Nie jesteś łatwy do skorumpowania, ale korumpowanie cię jest bardzo przyjemnym zajęciem.

— Ty to najlepiej wiesz.

— To był żart. Nie ma mowy o żadnej korupcji. Po prostu się bawimy. Idźże wreszcie, Davidzie, i każ jej wygłosić tę moją mowę, zanim wszystkie słowa wylecą jej z głowy. Bądź grzeczny i rób to, o co cię proszę.

W pokoju znajdującym się na samym końcu budynku David leżał na łóżku. W pewnym momencie powiedział: — Co to wszystko właściwie ma znaczyć?

— Dokładnie to, co ci Katarzyna powiedziała wczoraj wieczorem — odparła dziewczyna. — Ona tak naprawdę myśli. Nie masz pojęcia, jak jej bardzo na tym zależy.

— Czy powiedziałaś, jej o tym, co między nami zaszło?

— Nie.

— Ona wie.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Chyba nie.

— Nalej sobie wina, Davidzie, i rozluźnij się. Domyślasz się, że nie jesteś mi obojętny.

– Ty mnie też nie.

Nagle usta ich zeszyły się, poczuł jej ciało na swoim, jej piersi wparte w jego pierś, jej na wpół otwarte usta na swoich ustach, jej oddech i ucisk klamry od jej paska na swoim brzuchu i tej klamry metaliczny chłód pod palcami.

Leżeli na plaży. David wpatrywał się w niebo, obserwował wędrówkę chmur i nie myślał o niczym. Myślenie nie miało żadnego sensu, pamiętał tylko, że kiedy mościł się na piasku, postanowił wyłączyć się zupełnie i liczył, że wtedy wszystko się jakoś ułoży. Dziewczyny rozmawiały ze sobą, ale on nic nie słyszał. Leżał wpatrzony we wrześnie niebo i kiedy głosy dziewcząt umilkły, ocknął się, powrócił do rzeczywistości i nie patrząc na Maritę zapytał: – O czym myślisz?

– O niczym – odparła.

– Mnie zapytaj – zażądała Katarzyna.

– Twoje myśli znam.

– Mylisz się. Myślałam o Prado.

– Byłaś tam? – zapytał David dziewczynę.

– Jeszcze nie.

– Pójdziemy razem – powiedziała Katarzyna. – Pójdziemy tam, Davidzie?

– Kiedy tylko będziecie chcieli. Ale muszę najpierw skończyć opowiadanie.

– Czy zamierzasz nad nim poważnie popracować?

– Robię to. Poważniej niż mogę.

– Nie poganiam cię.

– Wiem – odpowiedział. – Jeżeli wam tu nudno, to jedźcie do Madrytu, a ja do was dołączę.

– Nie mam na to ochoty – oświadczyła Marita.

– Nie bądź śmieszna – powiedziała Katarzyna. – On tylko udaje szlachetnego.

– Wcale nie. Możecie sobie jechać.

– Bez ciebie to żadna przyjemność – uśmiechnęła się Katarzyna. – Doskonale o tym wiesz. Dwie samotne kobiety w Hiszpanii, przecież to bez sensu.

– On musi pracować, Katarzyno – odezwała się Marita.

– Może równie dobrze pracować w Hiszpanii. Mnóstwo hiszpańskich pisarzy na pewno pracowało w Hiszpanii. Gdybym była pisarzem, na pewno potrafiłabym równie dobrze pisać w Hiszpanii jak gdzie indziej.



- Będę pisał w Hiszpanii — zgodził się David. — Kiedy chcecie wyjechać?
- A niech cię, Katarzyno — mruknęła Marita. — On jest w połowie opowiadania.
- Pisz je od przeszło sześciu tygodni — zdenerwowała się Katarzyna. — Dlaczego nie mielibyśmy pojechać do Madrytu?
- Przecież już powiedziałem, że jedziemy.
- Nie waz się tego robić — zwróciła się Marita do Katarzyny. — Nawet nie próbuj. Czy nie masz ani odrobiny sumienia?
- Ty akurat nie powinnaś mówić o sumieniu — zachnęła się Katarzyna.
- Na pewne sprawy jestem bardzo uczulona.
- Doskonale. Cieszę się, że mi to mówisz. A teraz byłabym ci zobowiązana, gdybyś siedziała cicho i nie mieszała się do naszych planów. Próbujemy je tak zorganizować, żeby wszyscy byli zadowoleni.
- Idę popływać — oświadczył David.
- Dziewczyna wstała i poszła za nim, a kiedy znaleźli się w wodzie, powiedziała:
- Ona jest obłąkana.
- Więc nie wiń jej.
- Co zamierzasz robić?
- Skończyć to opowiadanie i zacząć następne.
- A co my zrobimy?
- To, na co nas będzie stać.

## ***Rozdział osiemnasty***

Skończył opowiadanie na piąty dzień. Zawarł tam całe napięcie, jakie narastało w nim w czasie pisania, ale skromniejsza część jego natury podejrzewała, że nie jest ono takie dobre, jak mu się czasami zdawało.

- Jak ci dzisiaj poszło? — zapytała go dziewczyna.
- Skończyłem.
- Dasz do przeczytania?
- A chcesz?
- Jeżeli ci to naprawdę nie robi różnicy.

— Znajdziesz je w dwóch brulionach. W walizce. Na samym wierzchu.

Wręczył jej klucz i poszedł do baru, gdzie przyrządził sobie whisky z Perrierem i zabrał się do porannych gazet. Dziewczyna wróciła, usiadła w pewnej odległości od niego i zaczęła czytać.

Gdy skończyła, powróciła do początku i przeczytała je jeszcze raz, a on nalał sobie drugiego drinka. Przyglądał się jej bacznie, a gdy po raz drugi doszła do końca opowiadania, zapytał: — Podoba ci się?

— To może się albo bardzo podobać, albo wcale — odparła. — Ten człowiek to twój ojciec?

— Oczywiście.

— Czy właśnie wtedy przestałeś go kochać?

— Nie. Zawsze go kochałem. Tyle że wtedy dopiero naprawdę go poznałem.

— To opowiadanie jest straszne i wspaniałe zarazem.

— Cieszę się, że ci się podoba.

— Odłożę je teraz na miejsce — powiedziała. — Lubię być w twoim pokoju za zamkniętymi drzwiami.

— Ja też.

Kiedy powrócili z plaży, zastali Katarzynę w ogrodzie.

— Więc jesteście — odezwała się.

— Tak. Bardzo dobrze się dzisiaj pływało — odparł David. — Szkoda, że nie pojechałaś z nami.

— Przecież wiesz, że miałam wyjechać.

— Co robiłaś?

— Miałam coś do załatwienia w Cannes. Spóźniliście się na obiad.

— Przykro mi. Czy napijesz się czegoś, zanim siądziemy do stołu?

— Przepraszam was, zaraz wrócę — odezwała się Marita.

— Znowu pijesz przed obiadem? — zwróciła się Katarzyna do Davida.

— No tak. Ale to chyba nie ma znaczenia, jeżeli się dużo pływa.

— Kiedy wróciłam, zauważyłam w barze pustą szklanekę po whisky.

— Zgadza się. Prawdę mówiąc wypilem dwa drinki.

— Zgadza się — przedrzeźniała go Katarzyna. — Jaki ty dzisiaj jesteś brytyjski.

— Czyżby? Wcale nie czuję się Brytyjczykiem, raczej tubylcem z hawajskich wysp.

— Drażni mnie twój sposób mówienia. Twój dobór słów.

— Rozumiem. Może jednak napiłabyś się czegoś, zanim podadzą papu.

— Nie bądź klownem.

— Najlepsi klowni w ogóle się nie odzywają.

— Nikt nie mówi, że jesteś najlepszym z klowców — odgryzła się. — Masz rację, trzeba się czegoś napić. Zrób mi drinka, jeżeli to nie za duża fatyga.

Sporządził trzy koktajle Martini, odmierzając osobno każdą porcję, po czym wlał wszystko do dzbanka, w którym leżał duży kawał lodu, i starannie wymieszał.

— Dla kogo jest ten trzeci drink? — zapytała Katarzyna.

— Dla Marity.

— Twojej kochanicy?

— Mojej co?

— Twojej kochanicy.

— Uszom nie wierzę. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś na głos wypowiedział to słowo, i już straciłem nadzieję, że kiedykolwiek je usłyszę. Jesteś naprawdę cudowna.

— To bardzo pospolity wyraz.

— To prawda — uśmiechnął się David. — Ale trzeba mieć niebywałą wprost odwagę, żeby go użyć w normalnej rozmowie. Daj spokój. Diablico. Dlaczego właściwie nie powiedziałaś czegoś takiego jak „twojej mrocznej kochanicy”?

Katarzyna nie patrząc na Davida uniosła kieliszek do ust.

— I pomyśleć, że jeszcze do niedawna bawiło mnie takie przekomarzanie się z tobą.

— Czy wolałabyś, żebyśmy byli tacy zgodni jak dawniej?

— Nie — odparła. — Ale oto nadchodzi ta twoja, jakkolwiek pragniesz ją nazwać, i wyglądu jak zawsze słodko i niewinnie. Przyznam ci się, że jestem zadowolona, że miałam ją wcześniej niż ty. Droga Marito, powiedz mi, czy David dzisiaj pracował, zanim zabrał się do picia?

— Czy pracowałeś? — zwróciła się Marita do Davida.

— Skończyłem opowiadanie.

— I Marita na pewno już je czytała?

— Owszem, przeczytałam je.

— Chciałam ci powiedzieć, że ja nigdy nie czytałam żadnego z opowiadań Davida. Nie mieszam się do jego pracy. Staram się tylko umożliwić mu ją finansowo, po to, żeby mógł bez przeszkód i jak najlepiej pisać.

David wychylił swój kieliszek i spojrzał na Katarzynę. Była tą samą cudownie piękną, opaloną na ciemny brąz dziewczyną co zawsze, a włosy koloru kości słoniowej przecinały jej czoło jak blizna. Tylko wyraz oczu zmienił się, a jej usta nauczyły się wypowiadania słów, jakich nigdy przedtem nie byłyby zdolne wypowiedzieć.

— To świetne opowiadanie — odezwała się Marita. — Bardzo dziwne, jakieś takie *pastorale*, jakby powiedzieli Francuzi. Na końcu jest w nim coś bardzo groźnego, nie umiem tego określić. Jest po prostu *magnifique*.

— Wszyscy znamy francuski — powiedziała Katarzyna ironicznie. — Mogłaś ten cały egzaltowany wywód wygłosić po francusku.

— Poruszyło mnie głęboko.

— Czy dlatego, że napisał je David, czy też dlatego, że jest rzeczywiście takie dobre?

— Z obydwu powodów.

— Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie mogłabym i ja zapoznać się z tym wspaniałym utworem? To ja go w końcu sfinansowałam.

— Co zrobiłaś? — obruszył się David.

— Może niezupełnie. Kiedy się ze mną ożeniłeś, miałeś tysiąc pięćset dolarów, a ta twoja książka o obłąkanych lotnikach dobrze się podobno sprzedaje. Nigdy nie dowiedziałam się jak dobrze. W każdym razie, wydałam na ciebie sporą sumkę i przyznasz chyba, że żyje ci się teraz wygodniej niż przed naszym ślubem.

Dziewczyna milczała, a David przyglądał się kelnerowi, który nakrywał stół na tarasie. Spojrzał na zegarek. Brakowało dwudziestu minut do godziny, kiedy zwykle jedli obiad.

— Chciałbym umyć ręce, jeżeli pozwolisz — powiedział.

— Nie bądź taki cholernie uprzejmy — zdenerwowała się Katarzyna. — Dlaczego ja nie mogę przeczytać tego opowiadania?

— Pisałem je ołówkiem. Jeszcze nie przepisałem na maszynie. Nie masz chyba ochoty na czytanie brudnopisu.

— Marita mogła?

— No to dam ci je po obiedzie.

— Chcę to zrobić teraz, Davidzie.

— Na twoim miejscu nie czytałbym go przed jedzeniem.

— Czyżby było tak obrzydliwe?

— Dzieje się w Afryce przed pierwszą wojną światową. W czasie wojny Maji-Maji, to znaczy buntu tubylców w Tanganice w 1905 roku.

— Nie wiedziałam, że piszesz historyczne opowiadki.

— Wolałbym, żebyś sobie dała spokój. Rzecz dzieje się w Afryce w czasie, kiedy miałem około ośmiu lat.

— Daj mi to zaraz.

David przesunął się na koniec kontuaru i zaczął wyrzucać kości ze skórzanego kubka na blat. Dziewczyna siedziała na wysokim stołku i przyglądała się zagłębionej w lekturze Katarzynie.

— Początek czyta się doskonale — odezwała się Katarzyna. — Mimo że masz okropny charakter pisma. Opis krajobrazu świetny. Przeprawy przez rzekę też. Chyba rzeczywiście jest, jak to idiotycznie określiła Marita, *pastorale*.

Zamknęła pierwszy brulion i dziewczyna nie spuszczać wzroku z Katarzyny położyła go sobie na kolanach.

Katarzyna czytała dalej, ale już milczała. Kiedy dotarła do mniej więcej połowy drugiej części, rozdarła brulion na pół i rzuciła na podłogę.

— To potworne! — krzyknęła. — Bestialskie. Więc taki był twój ojciec.

— Nie — odparł David. — A w każdym razie tylko do pewnego stopnia.

Nie doczytałaś do końca.

— Za żadne skarby świata tego nie zrobię.

— Mówiłem ci, żebyś sobie w ogóle dała z tym spokój.

— To nieprawda. Zmówiliście się, żeby mnie do tego skłonić.

— Daj klucz, Davidzie — zażądała dziewczyna. — Zamknę bruliony do walizki.

Podniosła brulion z podłogi. Okazało się, że nie jest przedarty do końca. David podał jej klucz.

— To, że napisałeś je w szkolnym zeszycie, czyni je jeszcze obrzydliwszym — powiedziała Katarzyna. — Jesteś potworem.

— To była dziwna wojna.

— Jeżeli mogłeś to napisać, to jesteś bardzo paskudnym człowiekiem.

— A prosiłem, żebyś nie czytała.

— Nienawidzę cię! — krzyknęła Katarzyna i rozplakała się.

Leżeli w swoim pokoju w łóżku. Była późna noc.

— Ona odejdzie, a ty albo każesz mnie leczyć, albo umieścisz w szpitalu.

— Nie. Nie mów takich rzeczy.

— Sam proponowałeś, żebyśmy pojechali do Szwajcarii.

— Jeżeli jesteś niespokojna, to poradzimy się dobrego lekarza. Tak jak w razie potrzeby idzie się do dentysty.

— Nie. Umieściłby mnie w zakładzie. Ja to wiem. To, co dla nas jest normalne, oni uważają za wariactwo. Wiem wszystko o tych sanatoriach.

— Droga jest przyjemna, bardzo piękne widoki. Możemy pojechać na Aix i St. Remy, a potem do Lyonu i wzdłuż Rodanu do Genewy. Znajdziemy dobrego lekarza, na pewno ci pomoże. Potraktujemy to jako miłą wycieczkę.

— Nigdzie nie pojadę.

— Znajdziemy dobrego, inteligentnego specjalistę...

— Nie pojadę. Czy ty nie słyszysz, co ja mówię? Nigdzie nie pojadę. Nie pojadę. Czy chcesz, żebym krzyczała?

— No już dobrze. Przestań o tym myśleć. Spróbuj zasnąć.

— Jeżeli przyrzekniesz, że nie pojedziemy do Genewy.

— Nikt nas do tego nie zmusza.

— No to spróbuj zasnąć. Czy rano będziesz pracował?

— Tak. Tak będzie najlepiej.

— Zobaczysz, że będzie ci się dobrze pisało. Jestem tego pewna. Dobranoc, Davidzie. Śpij spokojnie.

Przez długi czas nie mógł usnąć. A potem śniła mu się Afryka. Dobre były to sny, aż obudził go jeden, bardzo niedobry. Wtedy wstał i wprost z tego snu poszedł do pracy. Kiedy słońce zaczęło się wyłaniać z morza, miał już napisany spory kawałek nowego opowiadania i nawet nie podniósł głowy, żeby spojrzeć w niebo na czerwoną kulę. W opowiadaniu czekał na wschód księżycy, czuł pod ręką jeżącą się psią sierść, więc głaskał Kibo, żeby nie szczeakał. Obydwaj nasłuchiwali i wpatrywali się w niebo, aż księżyc wypłynął zza horyzontu i ofiarował im cienie. David otoczył ramieniem szyję psa i poczuł, że zwierzę drży. Wszystkie nocne dźwięki umilkły. Nie usłyszeli stąpania słonia i David zauważył go dopiero w chwili, gdy pies odwrócił głowę i całym

ciałem wparł się w jego nogę. Nakrył ich cień słońca, ale wielkie zwierzę szło bezszelestnie dalej, poczuli tylko jego zapach niesiony lekkim wietrzykiem, wiejącym od gór. Był to silny kwaśny zapach i dopiero, kiedy słoń minął Davida, ten uświadomił sobie, że lewy kiel zwierzęcia jest tak długi, że niemal sięga ziemi. Czekali dłuższą chwilę, upewnili się, że słoń jest sam, i rzucili się do ucieczki, Pędzili przed siebie w świetle księżyca on i pies, a kiedy się zatrzymali, Kibo ponownie wcisnął pysk w zagłębienie kolana Davida. David chciał koniecznie przyjrzeć się słoniowi jeszcze raz i rzeczywiście natrafili na niego znów na skraju lasu. Szedł w kierunku gór krocząc powoli i wpierając się w nocny wiatr. David podszedł tak blisko, że znów znalazł się w jego cieniu i znów poczuł w nozdrzach kwaśny starczy zapach, ale tym razem nie udało mu się zobaczyć lewego kła. Bał się przysunąć bliżej głównie ze względu na psa. Ustawił go z wiatrem i pchnął ku ziemi dając mu w ten sposób do zrozumienia, żeby położył się pod drzewem. Miał nadzieję, że pies go posłucha, i ten rzeczywiście leżał bez ruchu, ale gdy David zbliżał się do wielkiego szarego cielska, znów poczuł wilgotny psi nos w zagłębieniu swojego kolana.

Szli więc krok w krok za słońciem, aż ten dotarł do polany. Stanął poruszając ogromnymi uszami. Jego cielsko było w cieniu, ale łeb z pewnością w świetle księżyca. David sięgnął za siebie i łagodnie zamknął i przytrzymał pysk psa, a potem ruszył prawie nie oddychając i stąpając bardzo ostrożnie w prawo. Poruszał się na krawędzi nocnego wietrzyka, czuł jego powiew na swoim policzku, baczył, by ani na chwilę jego własny zapach nie dotarł do nozdrzy słońca. Wreszcie zobaczył wyraźnie jego głowę i te poruszające się powoli wielkie uszy. Prawy kiel gruby jak udo Davida rzeczywiście sięgał niemal ziemi.

David i pies cofnęli się i idąc z wiatrem wyszli na otwarty teren. Pies pobiegł naprzód i zatrzymał się dopiero przy ścieżce, tam gdzie David pozostawił dwa myśliwskie oszczepy umieszczone w skórzanej pochwie z rzemieniem. Przerzucił je sobie przez ramię. W ręku trzymał najlepszy ze swoich oszczepów, z którym niemal się nigdy nie rozstawał. Ruszyli ścieżką prowadzącą do osiedla. Księżyc stał już wysoko na niebie i David zastanawiał się, dlaczego nie słyhać dźwięku bębnow. Było coś dziwnego w tym, że mimo obecności w osiedlu ojca nie dochodziło stamtąd żadne bębnienie.

## ***Rozdział dziewiętnasty***

Leżeli na twardym piasku najmniejszej z trzech zatoczek, tej, do której zawsze chodzili, kiedy byli sami, i dziewczyna powiedziała: — Ona nie pojedzie do Szwajcarii.

— Do Madrytu też nie powinna jechać. Hiszpania to nie jest dobre miejsce dla psychicznie załamanych ludzi.

— Wydaje mi się, że jesteśmy od zawsze małżeństwem i że nigdy nie mieliśmy spokojnej chwili. — Odsunęła mu włosy z czoła i pocałowała go. — Czy chcesz popływać?

— Tak. Skoczmy z tej wysokiej skały. Tej najwyższej.

— Ty to zrób. Ja popłynę od brzegu. Będiesz mógł skoczyć ponad moją głową.

— Dobrze. Ale stój spokojnie, kiedy będę skakał.

— Wyląduj, jak tylko będziesz mógł najbliżej mnie.

Patrzała w górę, na Davida stojącego na wysokiej skale. Łuk jego ciała odcinał się grubą brunatną kreską od błękitu nieba. Skoczył i po sekundzie zaraz za jej prawym ramieniem wytrysnęła fontanna wody. Obrócił się, wychynął tuż przed nią i potrząsnął głową.

— Trochę za blisko — powiedział.

Popłynęli do boi, powrócili na brzeg, wytarli się i ubrali.

— Naprawdę lubisz, jak skaczą ci prawie na głowę?

— Szalenie.

Pocałował ją, była chłodna i wilgotna, jej skóra miała smak morskiej wody.

Katarzyna przyłączyła się do nich w barze. Była zmęczona, spokojna i uprzejma.

Przy stole powiedziała: — Byłam w Nicei, wróciłam przez najniższą Corniche, zatrzymałam się na chwilę tuż nad Villefranche, patrzałam, jak do portu wpływał okręt wojenny, no i zrobiło się późno.

— Wcale się nie spóźniłaś — zauważyła Marita.

— Było bardzo dziwnie — ciągnęła dalej Katarzyna. — Wszystkie kolory jakieś takie jaskrawe. Nawet szarość raziła oczy. Drzewa oliwkowe mieniły się wszystkimi barwami.



— Tak jest zawsze w samo południe — powiedział David.

— Chyba nie. To było nieprzyjemne i skończyło się dopiero, kiedy przestałam patrzeć na ten okręt. Wydawał mi się za mały na swoją poważną nazwę.

— Zjedz chociaż kawałek mięsa — poprosił ją David. — Nic prawie nie wzięłaś do ust.

— Przepraszam. Bardzo lubię *tournedos*. Jest doskonały.

— Może wolałabyś co innego?

— Nie. Wezmę trochę sałaty. Czy mógłbyś zamówić butelkę Perrier-Joueta?

— Oczywiście.

— To takie przyjemne wino. Zawsze wprawiało nas w dobry humor.

Później, gdy znaleźli się sami w pokoju, Katarzyna powiedziała: — Nic się nie martw, Davidzie. To tylko dlatego, że ostatnio wszystko tak się przyspieszyło.

— Jak to? — zapytał głaszcząc jej czoło.

— Sama nie wiem. Nagle, dzisiaj rano, wydało mi się, że jestem stara i że jest inna pora roku, niż powinna być. Potem wszystkie kolory zaczęły się mieszać. Przeraziło mnie to. Zaczęłam się zastanawiać, kto się tobą zaopiekuje.

— Ty się wszystkimi najlepiej opiekujesz.

— No tak, ale zaczęłam się bać, że nie starczy mi czasu. Przeraziła mnie myśl o tym, jakie to by było upokarzające dla ciebie, gdyby ci się skończyły pieniądze i gdybyś musiał się zapożyczać, i to tylko dlatego, że nie byłam dość zapobiegliwa, nie podpisałam odpowiednich papierków, że jak zwykle wszystko zaniedbałam. Potem zaczęłam się martwić o twojego psa.

— Mojego psa?

— Tego w Afryce, z opowiadania. Poszłam do twojego pokoju, żeby zobaczyć, czy ci czegoś nie trzeba, i przeczytałam to nowe opowiadanie. Podczas kiedy rozmawialiście z Maritą po drugiej stronie ściany. Nie podsłuchiwałam. Zostawiłeś klucz od twojego pokoju pracy w szortach, które zdjąłeś przed obiadem.

— Napisałem dopiero połowę.

— Jest świetne, ale przerażające. Ten słoń taki dziwny i twój ojciec też. Nigdy go nie lubiłam. Najbardziej podoba mi się pies, z wyjątkiem ciebie, Davidzie, i tak się o niego niepokoję.

— To było wspaniałe psisko. Nie musisz się o niego martwić.

– Czy mogłabym przeczytać, co się z nim dzisiaj działo, w twoim opowiadaniu, oczywiście?

– Ależ tak, jeżeli masz ochotę. On znajduje się teraz w osiedlu i żadna krzywda mu się nie dzieje.

– Jeżeli tak, to będę czytała dopiero, kiedy znowu coś o nim napiszesz. Kibo. Bardzo ładne imię.

– To nazwa góry. Pierwszy człon. Drugi brzmi Mawenzi.

– Ty i Kibo. Kocham was. Jesteście tacy do siebie podobni.

– Już się trochę lepiej czujesz, Diablico?

– Chyba tak. Ale to długo nie potrwa. Kiedy przed południem jechałam samochodem, byłam bardzo szczęśliwa i ni stąd, ni zowąd poczułam się stara, taka stara, że na wszystko zobojeźniałam.

– Wcale nie jesteś stara.

– O tak. Jestem starsza niż używane suknie mojej mamy i na pewno nie przeżyję twojego psa. Nawet tego z opowiadania.

## ***Rozdział dwudziesty***

Gdy David skończył pisać, poczuł się całkiem pusty w środku. Na pewno dlatego, że dawno już minęła chwila, kiedy powinien był przerwać robotę. Zdawało mu się, że tego dnia nie mogło to mieć znaczenia, gdyż pracował nad fragmentem opowiadania mówiącym o zmęczeniu, zmęczeniu, jakie czuł w momencie, gdy wpadli na trop słonia. Przez cały czas był silniejszy i miał lepszą kondycję niż pozostali dwaj mężczyźni, irytowało go, że posuwają się naprzód tak powoli i że ojciec zatrzymuje się co godzina dla odpoczynku. Chciał iść znacznie szybciej niż oni, ale kiedy zaczął odczuwać zmęczenie, okazało się, że ojciec i Juma są równie silni jak na początku drogi, w południe zatrzymali się podobnie jak co godzina tytko na pięć minut, a potem Juma nawet jakby nieco przyspieszył kroku. A zresztą może i nie. Może tylko ich tempo wydało się Davidowi szybsze. Zauważył, że łajno słonia jest teraz świeższe, chociaż już nie ciepłe. Kiedy natrafili na ostatni placek łajna, Juma dał mu strzelbę do poniesienia, ale kiedy po jakiejś godzinie spojrzął na niego, odebrał mu ją. Od pewnego czasu szli w poprzek stoku pod górę, ale teraz ścieżka zaczęła prowadzić w

dół, a gdy dotarli do niewielkiej polany, zobaczył leżący przed nimi szmat wyboistego gruntu.

— Teraz zaczyna się naprawdę trudny teren, Davey — powiedział ojciec.

Wtedy David uświadomił sobie, że powinni go byli odesłać do osiedla, gdy tylko naprowadził ich na trop słonia. Ojciec chyba także to zrozumiał, a może już od pewnego czasu zdawał sobie z tego sprawę. Ojciec na pewno wiedział o tym i nic nie mógł na to poradzić. Był to jeden z jego kolejnych błędów i nie pozostało mu nic innego, jak ryzykować. David spojrzął w dół, na wielki, płaski odcisk nogi słonia, na pogniecione paprocie, na przelamaną gałązkę kwitnącego chwastu, wysychającą już w miejscu złamania. Juma zerwał ją i popatrzył na nią pod słońce. Podał ją ojcu, a ten zaczął ją obracać w palcach. Białe kwiatki były przywędłe i suche, ale płatki jeszcze nie opadały.

— Kurewsko się to zapowiada — odezwał się ojciec. — No, idziemy dalej.

Nadeszło późne popołudnie, a oni wciąż pokonywali trudny teren. David czuł od dłuższego czasu potrzebę snu i przyglądając się tamtym dwóm uświadomił sobie, że jego prawdziwym wrogiem jest właśnie ta senność. Koncentrował się więc na tym, żeby dotrzymać im kroku, i na walce z zalewającymi go falami senności, która odbierała mu siły. Ojciec i Juma zmieniali się co godzina, raz jeden szedł przodem, raz drugi i co pewien czas ten, który szedł drugi, obracał się, żeby stwierdzić, czy David nie odpadł. Kiedy zrobiło się ciemno i rozbili obóz wśród drzew, David od razu zasnął, a kiedy się obudził, zobaczył, że Juma zdjął mu mokasyny i obmacuje jego stopy szukając bąbli. Ojciec nakrył go swoim płaszczem i siedział przy nim z kawałkiem gotowanego mięsa i dwoma sucharami. Podał mu butelkę z zimną herbatą.

— Słoń będzie musiał trochę popasać — powiedział. — Nogi masz w porządku. Nie gorsze niż Juma. Zjedz to powoli i pośpij sobie jeszcze. Wszystko w porządku.

— Głupio mi, że jestem taki śpiący.

— Polowałeś i wędrowałeś z Kibo przez całą wczorajszą noc. Nic dziwnego, że jesteś śpiący. Możesz dostać jeszcze kawałek mięsa.

— Nie jestem głodny.

— Świetnie. Mamy jedzenia na najbliższe trzy dni. Jutro na pewno znowu natrafimy na wodę. Z tych gór spływa mnóstwo strumyków.

— Dokąd on idzie?

— Juma twierdzi, że wie.

— Czy jest niebezpieczny?

— Chyba nie, Davey.

— Prześpię się jeszcze — powiedział wtedy David. — Niepotrzebny mi twój płaszcz.

— Juma i ja jesteśmy zahartowani — odpowiedział ojciec. — Przecież wiesz, że mnie nigdy nie jest zimno.

David usnął, jeszcze zanim ojciec zdążył powiedzieć mu dobranoc. Raz w ciągu nocy obudził się, poczuł na twarzy światło księżyca i przypomniał sobie olbrzymiego słonia, jak stał wśród drzew i powiewał wielkimi uszami, z głową uginającą się pod ciężarem ciężkich kłów. Usiłował sobie wmówić, że pustka w trzewiach, jaką wywoływała w nim myśl o słoniu, wynikała z tego, że jest głodny. Ale mylił się, o czym miał się przekonać w ciągu następnych trzech dni.

W opowiadaniu David starał się przywołać do życia słonia olbrzymia, takiego jakiego wraz z Kibo zobaczył w środku nocy, w pełnym świetle księżyca. Może mi się to uda, mówił do siebie, może. Ale gdy włożywszy rękopis do kuferka wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi, zrozumiał nagle, że nie. Nie, nigdy ci się to nie uda, szepnął do siebie. Słoń był stary i gdyby nie zabił go ojciec, zrobiłby to kto inny. Nie pozostaje ci nic innego, jak opisać wszystko, co się działo, po kolei. Musisz to robić, musisz pisać każdego dnia lepiej i lepiej, najlepiej jak możesz i wykorzystać smutek, jaki teraz czujesz, by przywołać ten, który czułeś wtedy. I pamiętać o tym, w co wierzyłeś, bo jeżeli to ci się uda, wszystko co napiszesz będzie miało smak prawdy. Tylko w pisaniu możesz się spełnić.

Poszedł do baru, znalazł butelkę whisky Haiga i pół butelki zimnego Perriera, zrobił sobie drinka, a potem ruszył do kuchni, by porozmawiać z Madame. Zawiadomił ją, że jedzie do Cannes i że nie będzie na obiedzie. Zbesztala go za picie whisky na pusty żołądek, więc zapytał, czy ma coś zimnego do jedzenia. Przyniosła mu kawałek kury, pokroiła na plasterki, zrobiła sałatkę z cykorii, a on poszedł znów do baru, nalał sobie drugiego drinka, powrócił i zasiadł za kuchennym stołem.

— Trzeba najpierw coś zjeść, a potem dopiero pić, Monsieur — upomniała go Madame.

— Whisky dobrze mi robi — uśmiechnął się. — W czasie wojny popijaliśmy w mesie, whisky tak, jakby to było wino.

— To cud, że nie przemieniliście się wszyscy w pijaczków.

— Tak jak Francuzi — powiedział, po czym wdali się w dyskusję na temat nadużywania alkoholu przez francuską klasę robotniczą, co do czego zresztą się zgodzili, po czym Madame spróbowała go podrażnić mówiąc, że jego panie opuściły go. Oświadczył, że ma ich obydwu dosyć, i zapytał, czy Madame nie zechciałaby zająć ich miejsca. O nie, odparła, musiałby dać jakieś dowody na to, że jest prawdziwym mężczyzną, zanim udałoby mu się zainteresować sobą kobietę z Południa. Odpowiedział, że jedzie do Cannes, żeby nareszcie zjeść porządny obiad, i że wróci silny jak lew, i żeby kobiety z Południa miały się na baczności. Wymienili serdeczne pocałunki, jak dobry klient z pracowitą *femme*, po czym David poszedł pod prysznic, ogolił się i przebrał.

Prysznic dobrze mu zrobił, rozmowa z Madame rozweseliła go. Ciekaw jestem, co by powiedziała, pomyślał, gdyby się zorientowała, jak nasze sprawy naprawdę stoją. Od czasu wojny obyczaje się zmieniły, a Monsieur i Madame mieli wycucie sytuacji i postanowili iść z duchem czasu. Jesteśmy dla nich trójką dobrych klientów *des gens très bien*. Wszystko, co się opłaca i obywa bez awantur, jest w porządku. Rosjanie przestali przyjeżdżać, Brytyjczycy biednieją z dnia na dzień, Niemcy są zrujnowani, dawne obyczaje całkowicie ignorowane, co może okazać się zbawienne dla całego Lazurowego Wybrzeża. Uważają się za pionierów, bo otworzyli hotel na letni sezon, co wciąż jeszcze uważa się powszechnie za szaleństwo. David patrzył na swoje lustrzane odbicie. Ogolił dopiero jeden policzek, Nie musisz być aż tak awangardowy, powiedział do siebie, żeby nie golić drugiej strony. Starannie i z niesmakiem przyglądał się swoim srebrno-białym włosom.

Usłyszał odgłos motoru Bugattiego, który skręcił z szosy na żwir podjazdu i zatrzymał się.

Do pokoju weszła Katarzyna. Głowę miała nakrytą chustką, oczy okularami słonecznymi. Zdjęła jedno i drugie i pocałowała Davida. Przytrzymał ją mocno i zapytał: — Jak się masz?

— Niezbyt dobrze. Zgrzałam się — uśmiechnęła się i opierając czoło na jego ramieniu dodała: — Lubię wracać do domu. Cieszę się, że już jestem.

Poszedł do baru, zrobił jej *Toma Collinsa* i powrócił do pokoju. Katarzyna zdążyła wziąć zimny prysznic. Podał jej wysoką zimną szklanekę, a ona upiła kilka łyków i przyłożyła ją sobie do gładkiej opalonej skóry brzucha. Potem dotknęła nią jedną po drugiej sutek swoich piersi tak, że zaczęły sterczeć, i znowu przyłożyła ją do brzucha.

— Cudowne uczucie — powiedziała.

Pocałował ją.

— Jak dobrze — uśmiechnęła się. — Zapomniałam już, jakie to przyjemne. Nie widzę powodu, żeby się tego wyrzekać. A ty?

— Ja też nie.

— Toteż tego nie zrobię. Nie zamierzam oddawać cię nikomu innemu, w każdym razie nie z własnej woli. To był głupi pomysł.

— Przebierz się i chodź ze mną.

— Nie. Chciałabym, żebyśmy się pobawili tak jak dawniej.

— Jak?

— Przecież wiesz. Zrobię ci coś bardzo przyjemnego.

— Jak bardzo?

— Tak.

— Bądź ostrożna.

— Proszę cię.

— No dobrze, jeżeli masz ochotę.

— Będzie tak jak w Grau du Roi, kiedy robiliśmy to po raz pierwszy. Zgadzasz się?

— Jeżeli ci tak na tym zależy.

— Dziękuję ci, że zgadzasz się poświęcić mi tyle czasu...

— Nie mów nic.

— Jest zupełnie tak jak w Grau du Roi, a może nawet lepiej, bo za dnia. Kochamy się mocniej, a to dlatego, że nie było mnie przez pewien czas. Słuchaj, róbmy to powoli, powoli, bardzo powoli...

— Tak, powoli.

— Czy jesteś...?

— Tak.

— Naprawdę?

— Tak, jeżeli mnie chcesz.

— Chcę, tak bardzo chcę, i wiem, że jesteś i że jesteś mój. Nie spiesz się, chcę to sobie zapamiętać na zawsze.

— Przecież masz mnie na co dzień.

— Tak, mam. O tak, mam to. Mam. A teraz kończ. Czy możesz teraz...?

Leżeli na białym prześcieradle, Katarzyna przerzuciła jedną opaloną nogę przez jego udo, stopą leciutko dotykała palców jego stopy, potem oparła się na łokciu, oderwała usta od jego ust i powiedziała:

— Cieszysz się, że wróciłam?

— Tak. Wróciłaś.

— Myślałeś, że mnie już nie zobaczysz. Wczoraj było właściwie po wszystkim, a dzisiaj znowu to robimy. Czy jesteś szczęśliwy?

— Tak.

— Czy pamiętasz jeszcze czas, kiedy moją największą ambicją było opalenie się na jak najgłębszy brąz? Teraz jestem najciemniejszą białą dziewczyną na świecie.

— I najjaśniejszą z blondynek. Masz włosy koloru kości słoniowej. Tak zawsze o nich myślę. I jesteś gładka na całym ciele jak kość słoniowa.

— Jestem strasznie szczęśliwa, strasznie bym chciała, żeby było tak dobrze jak dawniej. Co moje, to twoje. Nie zamierzam oddawać cię nikomu. Jeszcze do niedawna miałam na to ochotę. Nie chciałam niczego dla siebie. Ale to minęło.

— Ja z tego nic nie rozumiem — odparł David. — Ale czujesz się już zupełnie dobrze, prawda?

— Tak, tak. Nie jestem ani trochę przygnębiona, nie jest mi smutno, nie jestem taka marna jak wczoraj.

— Jesteś śliczna i miła.

— Cudownie, wszystko się zmieniło. Wiesz co, będziemy to robili na zmianę. Dzisiaj i jutro jesteś mój. A na następne dwa dni oddam cię Maricie. Boże, jaka ja jestem głodna. Po raz pierwszy od tygodnia chce mi się jeść.

Późnym popołudniem David i Katarzyna powrócili z plaży, pojechali do Cannes, kupili paryskie gazety, potem usiedli w kawiarni, czytali, rozmawiali i powrócili do domu. David przebrał się i poszedł do baru. Zastał tam Maritę, która siedziała przy kontuarze i czytała książkę. Była to jego własna powieść, ta, której jeszcze nie znała.

— Dobra była woda? — zapytała go.

— Tak. Wypłynęliśmy bardzo daleko.

— Czy skakałeś z tej wysokiej skały?

— Nie.

- To dobrze. Jak się czuje Katarzyna?
- Jest w znacznie lepszej formie.
- Tak? To bardzo inteligentna dziewczyna.
- A jak ty się masz? Wszystko w porządku?
- Doskonale. Czytam twoją książkę.
- Jak ci się podoba?
- Będę ci to mogła powiedzieć dopiero pojutrze. Czytam bardzo powoli, żeby mi starczyła na długo.
- Aha. Czy to ma jakiś związek z tą waszą umową?
- Chyba tak. Ale nie martw się o to, czy mi się podoba twoja książka i o moje uczucia dla ciebie. Nic się nie zmieniło.
- W porządku – odparł David. – Wiesz, że przez całe przedpołudnie myślałem o tobie?
- Jeszcze tylko jeden dzień – uśmiechnęła się. – Głowa do góry.

## ***Rozdział dwudziesty pierwszy***

Nazajutrz okazało się, że dalszy ciąg opowiadania jest bardzo trudny do napisania, bo jeszcze wczesnym przedpołudniem David zdał sobie sprawę, że różnica pomiędzy chłopcem a mężczyzną nie polega wyłącznie na większej lub mniejszej potrzebie snu. Przez pierwsze trzy godziny był raźniejszy od ojca i Jume. Poprosił Jume, by dał mu ponieść strzelbę, ale ten tylko potrząsnął głową. Nawet się nie uśmiechnął, a przecież był zawsze najlepszym przyjacielem Davida i to on nauczył go polować. Wczoraj sam mi ją dał, zastanawiał się David, a przecież dzisiaj jestem w znacznie lepszej kondycji. Tak też było, ale już około dziesiątej wiedział, że to będzie trudniejszy dzień niż poprzedni. Nadzieja na to, że potrafi dotrzymać kroku ojcu, była równie głupia jak wmawianie sobie, że mógłby z nim wygrać w walce wręcz. I to nie dlatego, że oni byli dorośli, a on nie, ale dlatego, że byli zawodowymi myśliwymi. Już zrozumiał, dlaczego Juma nawet się do niego nie uśmiechnął. Szkoda mu było wysiłku. Wiedzieli wszystko, co trzeba wiedzieć o słoniu, i to w każdym szczególe, bez słowa wskazywali sobie nawzajem różne znaki, a kiedy droga stawała się trudniejsza, ojciec zawsze puszczał przodem Jume. Gdy zatrzymywali się przy strumykach, by



napełnić butelki wodą, ojciec powtarzał: — Żebyś tylko wytrzymał do wieczora, Davey. — A kiedy wreszcie skończył się ten płaski trudny teren i zaczęli wspinać się ku zalesionym pagórkom, odciski stóp słonia zaprowadziły ich w prawo, na starą wydeptaną przez inne słonie ścieżkę. Ojciec i Juma odbyli krótką naradę, a kiedy David do nich podszedł, zobaczył, że Juma patrzy w tył na drogę, jaką przebyli, a potem kieruje wzrok na odległą grupę wzgórz, wylaniających się niby wyspa z wyschniętego płaskowyzu. Zdawało się, że bierze z nich namiar na trzy błękitne wzgórza zamykające horyzont.

— Juma wie, dokąd on idzie — powiedział ojciec. — Już wczoraj był pewny, że ma pełne rozeznanie, ale na tym wysuszonym płaskim terenie ślady są mniej wyraźne. — Mówiąc to mierzył wzrokiem przestrzeń, którą pokonali tego dnia. — Teraz będzie się szło łatwiej, tyle że pod górę.

Wspinali się więc pod górę aż do zmroku i znowu rozbili obóz. David zabił z procy dwa ptaki z niewielkiego stadka, które nieopatrznie sfrunęło na ścieżkę tuż przed zmrokiem. Ptaki przysiadły na starym wydeptanym przez słonie trakcie, by wytarzać się w piasku. Poruszały się powoli i uroczyście, a kiedy kamyk Davida przetrącił jednemu z nich kręgosłup i ptak zaczął konwulsyjnie drgać i trzepotać skrzydłami, inny podbiegł do niego, dziobnął go kilka razy i wtedy David założył nowy kamyk do procy, naciągnął gumę i trafił go między żebra. Gdy wybiegł naprzód i wyciągnął rękę, reszta ptaków zerwała się z ziemi i odleciała. Juma spojrzał na Davida i tym razem uśmiechnął się do niego, a David podniósł ptaki, które były ciepłe, tłuste i jedwabiste, i rozbił im głowy o rękojeść swojego myśliwskiego noża.

Kiedy układali się na noc, ojciec odezwał się: — Nigdy nie widziałem na tej wysokości tego gatunku ptaków. Bardzo ci się chwali, że ustrzelełeś aż dwa.

Juma nadział ptaki na patyczki i upiekł je nad rozżarzonymi szczapami niewielkiego ogniska. Ojciec przyglądał mu się popijając whisky z wodą nalane do nakrętki termosu. Później Juma dał każdemu z nich po jednej pierśi razem z sercem, a sam zjadł nóżki i szyjki.

— To nam zaoszczędzi zapasów, Davey — uśmiechnął się ojciec. — Możemy już być spokojni.

— Kiedy go dogonimy? — zapytał David ojca.

— Jesteśmy już niedaleko. Wszystko teraz zależy od tego, czy zatrzyma się po wschodzie księżycy, czy pójdzie dalej. Dzisiaj księżyc pokaże się o godzinę później niż wczoraj i o dwie godziny później niż przed dwoma dniami.

— Czy Juma jest pewien, że wie, dokąd on idzie?

— Juma zranił go i zabił jego *askari*<sup>16</sup> niedaleko stąd.

— Kiedy?

— Powiada, że pięć lat temu, ale to nie jest pewne. W każdym razie twierdzi, że byłś jeszcze *toto*<sup>17</sup>.

— Czy to znaczy, że od tej pory jest sam?

— Tak uważa Juma. Potem już go ani razu nie widział, ale słyszał o nim.

— Czy jest bardzo duży?

— Ogromny. W życiu nie widziałem większego słonia. Podobno był jeden większy od niego, także w tych stronach.

— Chyba prześpię się trochę — powiedział David. — Mam nadzieję, że jutro będę lepszy.

— Byłeś dzisiaj bardzo dzielny. Jestem z ciebie dumny. Juma też.

W środku nocy David obudził się ze świadomością, że oni wcale nie są z niego dumni, a jeżeli chociaż trochę, to tylko z powodu tych dwóch ptaków, które udało mu się zabić. Główna jego zasługa polegała na tym, że nocą wytropił słonia i że stwierdził, iż zwierzę ma obydwie kły, że od razu wrócił do osiedla i zawiadomił ojca i Jumą. Z tego powodu mogli rzeczywiście być z niego dumni, ale później, kiedy rozpoczęło się to śmiertelnie męczące tropienie, stał się zupełnie bezużyteczny, gorzej, samą swoją obecnością zaczął zagrażać powodzeniu ich misji, podobnie jak dwie noce wcześniej, gdy podchodził do słonia, zagrożeniem dla niego był pies Kibo. Doszedł do wniosku, że ojciec i Juma żywią do siebie urazę za to, że nie odesłali go do osiedla, kiedy jeszcze był czas. Kły słonia ważyły z pewnością po sto kilogramów. Od chwili kiedy wyrosły ponad normalny wymiar, liczni myśliwi próbowali wytropić ich właściciela, ale już niebawem zabijają go oni trzej. Zabijają go, jak już na pewno wiedział, głównie dlatego, że on, David, wytrzymał całodzienny marsz przez dżunglę, mimo że około południa był właściwie całkiem wykończony. Może z tego powodu byli z niego dumni. Choć w gruncie rzeczy nie był im na nic potrzebny i z pewnością pozbyliby się go, gdyby to tylko było możliwe. Przez cały poprzedni dzień wyrzucał sobie, że zdradził słonia, pisząc o tym przypominał sobie także, że gdzieś koło południa zaczął żałować, że w ogóle natrafił na jego ślad. Ale gdy w środku nocy obudziło go światło księżyca, zrozumiał, że to nieprawda.

---

<sup>16</sup> Askari (w jęz. suahili) - strażnik, towarzysz.

<sup>17</sup> Toto (w jęz. suahili) - niemowlę.

Przez cały ranek pisał, usiłując przywołać możliwie najprecyzyjniej swoje ówczesne odczucia, przebieg tamtego dnia, odtworzyć klimat tego przeżycia. Szczegóły krajobrazu rysowały się ostro i jaskrawo w jego pamięci, pamiętał też dokładnie ogarniający go to mocniej, to słabiej stan skrajnego wyczerpania fizycznego. Wszystko to udało mu się szczególnie wyraziście opisać. Najtrudniej przychodziło mu odtwarzanie swojego ówczesnego stosunku do słońca. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie pominąć chwilowo tę sprawę i powrócić do niej później. Zamiarem jego było nie opisywanie tego, co czuł teraz do zwierzęcia, ale tych emocji, które ono w nim wtedy wywoływało. Wiedział, że jego stosunek do wielkiego słońca zaczął kształtować się tamtej nocy, ale był teraz zbyt zmęczony, by móc wydobyć go z pamięci.

Wciąż pochłonięty tymi rozważaniami, cały zanurzony w swoim opowiadaniu, przekręcił kluczyk w zamku walizki, wyszedł z pokoju na wybrukowaną ścieżkę, wiodącą na taras, i zobaczył siedzącą pod sosną i czytającą książkę Maritę. David był boso, więc nie usłyszała jego kroków. Przyglądał się jej z przyjemnością. Nagle uświadomił sobie niedorzeczność całej tej sytuacji, obrócił się i poszedł do sypialni. Katarzyny nie zastał, więc, wciąż pochłonięty swoją Afryką, która była dlań tak realna jak zakłamana i nierealna wydawała mu się chwila obecna i wszystko, co się teraz działo, powrócił na taras do Marity.

— Dzień dobry — odezwał się do niej. — Czy widziałaś Katarzynę?

— Pojechała gdzieś. Kazała ci powiedzieć, że nie na długo.

I nagle wszystko powróciło do rzeczywistości.

— Naprawdę nie wiesz, dokąd się wybrała?

— Nie — odparła dziewczyna. — Tylko tyle, że wzięła rower.

— O Boże! — krzyknął David. — Nie siedziała na rowerze od czasu, kiedy kupiliśmy Buga.

— Sama mi to powiedziała. Chce znowu nabrać wprawy. Jak ci się pisało?

— Bo ja wiem. Przekonam się jutro.

— Zjesz śniadanie?

— Jest późno.

— Chciałabym, żebyś jednak coś zjadł.

— Pójdę się umyć — powiedział.

Był po prysznicu i golił się, kiedy do sypialni weszła Katarzyna. Miała na sobie bluzkę zakupioną jeszcze w Grau du Roi i obcięte tuż poniżej kolan lniane spodnie. Była zgrzana i spocona.

— Wspaniale się pedałowalo — oświadczyła. — Nic pamiętałam już, jak bardzo bolą uda, kiedy się jedzie pod górę.

— Daleko zajechałaś?

— Zrobiłam sześć kilometrów. To drobiazg, tyle że zapomniałam już, jak ciężko jedzie się pod górę.

— Jest za gorąco na jazdę rowerem, chyba że robi się to bardzo wcześnie rano. Ale cieszę się, że zabrałaś się znowu do jazdy.

Kiedy wyszła spod prysznicu, powiedziała: — Spójrz, jacy jesteśmy opaleni. Napracowaliśmy się na to.

— Ty jesteś ciemniejsza.

— Niewiele. Też jesteś bardzo ciemny. Popatrzmy w lustro.

Stanęli obok siebie i przyglądali się swojemu odbiciu w długim, przymocowanym do drzwi, lustrze.

— Podobam ci się — ucieszyła się Katarzyna. — Jak to miło. Ty też mi się podobasz. Dotknij mnie tu i zobacz, co będzie.

Stała równo wyprostowana, dotknął palcami jej piersi.

— Włożę ciasną bluzkę, żebyś widział, jak reaguję na różne sytuacje — powiedziała. — Czy to nie zabawne, że nasze włosy, kiedy są mokre, zupełnie tracą kolor. Są blade jak wodorosty.

Wzięła grzebień i zaciesała włosy w tył, tak że wyglądała, jak gdyby się przed chwilą wyłoniła z morza.

— Będę się teraz tak czesała. Jak w Grau du Roi i tu na wiosnę.

— Wolę cię z grzywką.

— Znudziła mi się. Ale jeżeli chcesz, mogę do niej wrócić. Co byś powiedział na to, żeby pojechać do miasta i zjeść śniadanie w kawiarni?

— Zgoda. Jedziemy. Też jestem głodny.

Zjedli pyszne śniadanie złożone z *café au lait*, bułeczek, dżemu truskawkowego i *oeufs au plat avec jambon*, a kiedy skończyli. Katarzyna zwróciła się do Davida: — Poszedłbyś ze mną do Jeana? Jestem jak co tydzień umówiona z nim na mycie i strzyżenie.

— Zaczekam tutaj.

— Chodź ze mną, proszę cię. Już raz to zrobiłeś i nic złego się od tego nikomu nie stało.

— Nie, Diablico. Raz wystarczy. To tak jakbym sobie kazał zrobić tatuaż czy coś w tym rodzaju. Nie nalegaj.

— To dla mnie szalenie ważne. Zależy mi na tym, żebyśmy byli bliźniaczo do siebie podobni.

— To wykluczone.

— Wcale nie. Gdybyś tylko chciał...

— Kiedy ja naprawdę nic mam na to ochoty.

— Nawet, jeżeli jest to jedyna rzecz, na jakiej mi zależy?

— Czy nie mogłoby ci zależeć na czymś trochę sensowniejszym?

— Może. Ale teraz bardzo chcę, żebyśmy wyglądali jak bliźnięta, co zresztą już się prawie stało. Co ci to szkodzi? Morze i tak wybieli ci włosy.

— Więc pozostawmy to morzu...

— Chciałabym, żeby to już było dziś.

— I to cię uszczęśliwi?

— Już jestem szczęśliwa, bo wiem, że zrobisz to dla mnie. Jestem szczęśliwa i będę szczęśliwa. Podobam ci się taka, jaka jestem teraz, przyznaj się. Zastanów się nad tym przez chwilę.

— To nonsens.

— Nic podobnego. Szczególnie, że zrobisz to po to, żeby mi sprawić przyjemność.

— Czy będziesz bardzo nieszczęśliwa, jeżeli odmówię?

— Bo ja wiem? Chyba bardzo.

— No to zgoda. Jeżeli to tyle dla ciebie znaczy.

— Tak — odparła. — Dziękuję ci. To dzisiaj długo nie potrwa. Zapowiedziałam, że przyjdziemy, i Jean trzyma dla nas zakład otwarty w przerwie obiadowej.

— Czy zawsze jesteś pewna, że zgodzę się na wszystko?

— Wiedziałam, że tak będzie, kiedy ci wytłumaczę, jak bardzo mi na tym zależy.

— Nie miałem na to najmniejszej ochoty. Nie powinnaś mnie namawiać na takie rzeczy.

— Przecież to ci nie zaszkodzi. To drobnostka. Później będziesz zadowolony.  
Co powiesz na Maritę?

— Nie rozumiem.

— Gdybyś mi stanowczo odmówił, kazała cię zapytać, czy nie zrobiłbyś tego dla niej.

— Przestań sobie wymyślać takie rzeczy.

— Naprawdę. Powiedziała to dzisiaj rano.

— Szkoda, że nie możesz się zobaczyć.

— Cieszę się, że to niemożliwe.

— Spójrz w lustro.

— Nie mam na to ochoty.

— To spójrz na mnie. Wyglądasz dokładnie tak samo jak ja i już nic na to nie poradzisz.

— Nonsens. Nie mogę wyglądać tak samo jak ty, To jest nie do zrobienia.

— Ale nam się udało. Sam w tym pomagałeś. Zacznij się przyzwyczajać.

— To przecież niemożliwe, Diablico.

— Ależ tak. Sam widzisz, że tak jest. Dlatego nie chcesz spojrzeć w lustro. Oboje jesteśmy potępieni. Ja od dawna, ty od dziś. Patrz na mnie i przestań marudzić.

David spojrział w jej kochane oczy, na jej ciemną twarz, na te jej niezwykle, gładkie włosy koloru kości słoniowej i zobaczył, że jest szczęśliwa, i zrozumiał, że zaplątał się w beznadziejnie głupią sprawę.

## ***Rozdział dwudziesty drugi***

Tego ranka był przekonany, że nie napisze ani jednego słowa i przez dłuższy czas rzeczywiście siedział beczynn timer. Ale przecież wiedział, że tak nie może być, toteż po chwili zabrał się do roboty i wraz z ojcem i Jumą znalazł się znowu na tropie starego słonia, na wiodącej przez dżunglę twardej ubitej ścieżce. Słonie wędrowały po niej zapewne od chwili, kiedy ostygła spływająca z gór lawa, od czasu gdy zaczęły rosnać te wysokie drzewa. Juma robił wrażenie pewnego siebie, szybko posuwali się naprzód. Zarówno on jak i ojciec zdawali się nie mieć tego dnia żadnych wątpliwości, i tak łatwo szło im się w cieniu drzew po wydeptanym przez słonie trakcie, że Juma dał

Davidowi strzelbę do poniesienia. Nagle ślad starego słonia znikł. Ścieżkę pokrywało świeże łajno sporego stada, które wyszło widać z gęstwiny z lewej strony traktu. Juma gwałtownym ruchem odebrał strzelbę Davidowi. Późnym popołudniem rzeczywiście natrafili na stado i z leśnego ukrycia przyglądali się wielkim szarym cielskom, ogromnym powiewającym uszom, niuchającym trąbom, które to zwijały się, to rozwijały, wsłuchiwali się w trzask łamanych gałęzi, w łomot przewracanych drzew, do ich uszu docierało burczenie wydobywające się ze słoniowych brzuchów, prask i chlupot spadającego na ziemię łajna.

Znaleźli się znów bezpośrednio na tropie starego słonia, a kiedy zwierzę skręciło na wąską, wydeptaną przez inne słonie ścieżkę, Juma spojrzał na ojca Davida i uśmiechnął się szeroko, ukazując spiłowane zęby, a ojciec skinął głową. Wyglądali na ludzi, których łączy jakaś sprośna tajemnica, zupełnie tak samo jak owego wieczoru, kiedy znalazł ich w osiedlu.

Już niebawem mieli dotrzeć do sekretnego miejsca. Znajdowało się na prawo od ścieżki, w samym lesie, a zaprowadziły ich tam ślady stóp wielkiego zwierzęcia. Oczom ich ukazała się wybielona słońcem i deszczem ogromna czaszka sięgająca niemal piersi Davida. Na samym środku czoła widać było wklęsnięcie, a poczynając od białych pustych oczodołów ciągnęły się w dół dwie głębokie szramy prowadzące do dwóch przepastnych otworów, śladów po wyrąbanych niegdyś kłach. Juma wskazał miejsce, na którym stary słoń stanął, by popatrzeć na czaszkę zabitego przyjaciela, na piasek, na którym widniała bruzda, wyżłobiona gdy rytmicznie przesuwiał trąbę, i dwa wgłębienia po ostrzach jego kłów. Zwrócił uwagę Davida na dziurę w białej kości czołowej i na cztery mniejsze tuż obok siebie przy samym otworze usznym. Uśmiechnął się znów szeroko, spojrzał na Davida, na ojca, wyciągnął z kieszeni nabój kalibru 7,65 i wsunął jego czubek w ziejącą pośrodku czoła dziurę.

— Właśnie w tym miejscu Juma zastrzelił tamtego słonia — powiedział ojciec. — *Askari* tego naszego, jego największego przyjaciela, który prawie dorównywał mu rozmiarami. Bydlak rzucił się na Jumą, ale Juma strzelił mu prosto w łeb, a kiedy upadł, wykończył go strzałami w ucho.

Juma wskazywał ręką ślady stóp wielkiego słonia wśród rozrzuconych kości. I on, i ojciec byli bardzo zadowoleni z sytuacji, jaką zastali.

— Jak myślisz — zapytał David ojca — długo ten słoń i jego *askari* byli ze sobą?

— Nie mam zielonego pojęcia. Zapytaj Jumą.

— Ty go zapytaj, dobrze?

Ojciec i Juma wymienili kilka słów, po czym Juma spojrział na Davida i roześmiał się. — Powiada, że chyba trzy albo cztery razy dłużej, niż masz lat — powiedział ojciec. — Ale dokładnie nie wie i jest mu wszystko jedno.

Ale mnie nie jest wszystko jedno, pomyślał David. Zobaczyłem go samotnego w świetle księżyca. Ja miałem Kibo. Kibo miał mnie. Nie czynił nikomu krzywdy, a my wytropiliśmy go, kiedy odwiedzał miejsce, w którym zabito mu przyjaciela. I za chwilę my go zabijemy. To moja wina. Zdradziłem go.

Juma skinął na ojca i wszyscy trzech ruszyli świeżym traktem.

Ojciec nie musi zabijać, żeby żyć, mówił do siebie David. Juma sam nigdy nie znalazłby tego słonia. To ja trafiłem na niego. Juma już raz miał szansę, ale tylko go zranił i zabił mu przyjaciela. Kibo i ja trafiliśmy na niego przypadkiem i nie powinienem był im o tym mówić, powinienem był to zachować w sekrecie na zawsze, a ich zostawić pijanych piwem razem z ich kobietami. Juma był taki zalany, że tylko z trudem można go było obudzić. W przyszłości będę zawsze milczał. Już nigdy w życiu nic im nie powiem. Jeżeli uda im się go zabić, to Juma przepije swoją część pieniędzy otrzymaną za kość słoniową albo kupi sobie jeszcze jedną wstrętną żonę. Dlaczego, durniu, nie pomogłeś temu słoniowi, dopóki to było możliwe? Wystarczyłoby, żebyś drugiego dnia powiedział, że dalej iść nie możesz. Ale to na pewno by ich nie powstrzymało. Juma poszedłby sam. Nigdy, przenigdy już nic im nie powiem. Ani im, ani nikomu innemu.

Ojciec stanął i poczekał na Davida.

— Tu się zatrzymał, żeby odpocząć — powiedział cicho. — Już prawie nie ma sił. Lada chwila dogonimy go.

— Pieprzę te polowania na słonie — szepnął David.

— Co takiego? — zdziwił się ojciec.

— Pieprzę polowania na słonie — powtórzył David.

— Uważaj, żebyś czegoś rzeczywiście nie spieprzył — ojciec spojrział na niego zimnym wzrokiem.

Jedno jest pewne, powiedział David do siebie, nie jest to głupi człowiek. Teraz już wie, co o mnie myśleć, i nigdy w życiu więcej mi nie zaufa. I bardzo dobrze. Wcale nie pragnę jego zaufania, bo ja też już za nic nie zwierzyłbym mu się z niczego, ani jemu, ani nikomu innemu. Nikomu. Z niczego. Nigdy.

Na tym przerwał tego ranka polowanie. Wiedział, że nie udało mu się jeszcze w pełni sprostać swojemu zadaniu. Nie udało mu się opisać szoku, jakiego doznał na



widok tej czaszki w momencie, kiedy natrafili na nią wśród dżungli, na widok tuneli podobnych do galerii, opuszczonych katakumb — wykopanych pod nią przez żuki — które odsłoniły się zapewne, kiedy stary słoń rył kłami ziemię. Nie udało mu się opis długich białych kości, śladów stóp zranionego zwierzęcia na miejscu jego kaźni ani tego, że wodząc za nim wzrokiem niemal dokładnie wyobraził sobie każdy jego ruch, widział to, co ono wtedy widziało. Podobnie jak nie udało mu się opis szerokiego traktu, podobnego do wyrąbanej przez las drogi, gładkości pni drzew ciągnących się po obu jego stronach z odchodzącymi od niego węższymi ścieżkami, które przecinały się w tak zawiły sposób, że przypominały mapę paryskiego metra. Nie potrafił odtworzyć migotania światła przefiltrowanego przez splatające się ze sobą korony drzew, nie potrafił wyjaśnić wielu spraw w kontekście tego, co się wtedy działo, a nie z odległości, jaka go teraz od nich dzieliła. Jedno tylko zrozumiał z całą pewnością, a mianowicie to, że odległości nie mają żadnego znaczenia, albowiem nieustannie się zmieniają i w ostatecznym obrachunku są takie, jakie się zapamiętało. Zdawał sobie sprawę, że zmiana jego stosunku do Jumy, ojca i słonia jest wynikiem skrajnego zmęczenia, zmęczenia, które jak gdyby rozjaśniło mu w głowie. W miarę jak pisał, rozumiał to coraz lepiej. Lecz cały ogrom, całą grozę konsekwencji tej zmiany uświadomił sobie dopiero później, toteż próbował ustrzec się przed arbitralnymi sformułowaniami i na razie trzymać się ściśle faktów, które miały dopiero do nich doprowadzić. Był pewny, że nazajutrz zdoła uporządkować to wszystko i ciągnąć dalej swoją opowieść.

Zamknął bruliony do walizki, wyszedł z pokoju i idąc wzdłuż fasady domu znalazł się w ogrodzie, gdzie zastał Maritę zatopioną w lekturze.

— Chcesz coś zjeść? — zapytała go.

— Wolałbym drinka.

— To chodźmy do baru. Tam jest chłodniej.

W barze usiedli na wysokich stołkach. David nalał sobie porcję whisky Haiga do wysokiej szklanki i dopełnił ją zimnym Perrierem.

— Co z Katarzyną?

— Pojechała gdzieś. Robiła wrażenie szczęśliwej, a nawet wesołej.

— A ty jak się masz?

— Też jestem szczęśliwa, ale może trochę speszona i nieśmiała.

— Zbyt nieśmiała, żeby mnie pocałować?

Objęli się mocno i poczuł, jak powoli wraca mu wewnętrzna równowaga. Nie zdawał sobie dotychczas sprawy z tego, jak bardzo jest rozdarty, jak oderwany od rzeczywistości. Albowiem pisząc sięgał do samych głębin swojego wnętrza, do korzeni, których nie potrafiło zniszczyć czy uszkodzić. To wiedział na pewno i z tej świadomości czerpał siłę.

Podczas gdy młody kelner nakrywał do stołu, siedzieli przy barze, a potem, kiedy od morza powiał pierwszy chłodniejszy wietrzyk, usiedli do kolacji, przy stoliku pod sosnami, jedli, pili i odpoczywali po upale dnia.

— Ten wiatr dociera tu aż z Kurdystanu — powiedział David. — Niedługo rozpoczną się sztormy.

— Ale chyba jeszcze nie dzisiaj — odparła dziewczyna. — Dzisiaj nie musimy się ich jeszcze bać.

— Nie przypominam sobie najlżejszego nawet ruchu powietrza od chwili, kiedy poznaliśmy się w tej kawiarence w Cannes.

— Pamiętasz tak odległe zdarzenia?

— Tak i to wydaje mi się o tyle odleglejsze od wojny.

— Przez ostatnie trzy dni żyłam w czasie wojny — uśmiechnęła się dziewczyna. — Dla mnie skończyła się dopiero dzisiaj.

— Nigdy nie myśl o wojnie.

— Przeczytałam, co o niej napisałeś, ale nic mi to o tobie nie powiedziało. Nie wyjaśniasz swojego stosunku do niej.

— Bo wyjaśniłem go sobie dopiero znacznie później. Kiedy ją opisywałem, postanowiłem nie korzystać z tego, co dopiero wtedy rozumiałem. W czasie wojny zawiesiłem zastanawianie się nad nią. Po prostu czułem, obserwowałem, działałem, myślałem i kierowałem się wyłącznie instynktem. Dlatego ta książka nie jest lepsza. Dlatego, że nie byłem wtedy inteligentniejszy.

— To świetna książka. To, co piszesz o lataniu, jest cudowne, wspaniały jest twój stosunek do innych ludzi, do samolotów.

— Jestem dobry w opisywaniu ludzi, zagadnień technicznych i taktycznych. Nie chcę się chwalić, ale powiem ci, Marito, że jak człowiek jest głęboko w coś zaangażowany, nic o sobie nie wie. A zresztą czy zastanawianie się wówczas nad samym sobą ma sens? Byłoby to wręcz zawstydzające.

— Ale później wolno to już robić?

— Oczywiście. Chociaż nie zawsze.

— Czy pozwolisz mi przeczytać to, co pisałeś, zanim zabrałeś się do opowiadań?

David znowu napełnił szklanki.

— Co ona ci o tym mówiła?

— Twierdzi, że wszystko. Świetnie mówi, prawda?

— Wolałbym, żebyś tego nie czytała. To żadnemu z nas nie wyszłoby na dobre.

Kiedy to pisałem, nie miałem pojęcia o twoim istnieniu. Nie mam rady na to, żeby Katarzyna nie zwierzała ci się z naszych spraw, ale nie mam ochoty, żebyś o nich czytała.

— Więc nie?

— Wolałbym, żeby nie. Ale nie chcę być arbitralny.

— W takim razie powiem ci prawdę — uśmiechnęła się dziewczyna.

— Ona ci to już pokazała?

— Tak. Wręcz kazała mi to przeczytać.

— A niech ją diabli wezmą.

— Nie chciała ci robić przykrości. Była wtedy bardzo nieszczęśliwa.

— Więc przeczytałaś wszystko?

— Tak. To jest cudowne. Lepsze od twojej powieści. Nic lepszego jeszcze nie napisałeś.

— A mądrycki epizod? — spojrzał na nią, ona na niego. Zwilżyła wargi językiem i nie spuszczać z Davida wzroku powiedziała: — Ja to wszystko świetnie wiedziałam, bo jestem dokładnie taka sama jak ty.

Kiedy leżeli wyciągnięci obok siebie, Marita zapytała go: — Czy kiedy kochasz się ze mną, myślisz o niej?

— Nie, głuptasie.

— Czy chciałbyś, żebym ci robiła to samo co ona? Znam te wszystkie sposoby, powiedz, na co masz ochotę.

— Przestań mówić, spróbuj przez chwilę o niczym nie myśleć.

— Robię to jeszcze lepiej niż ona, zobaczysz.

— Nie mów już nic,

— Nie myśl, że musisz...

— Cicho.

— Naprawdę nie musisz...

— Nikt nie musi, ale my jesteśmy...

Obejmowali się mocno i ciasno, a potem bardziej delikatnie, wreszcie Marita odezwała się: — Muszę na chwilę odejść, ale wrócę. Prześpij się trochę. Za mnie też, dobrze?

Pocałowała go, a kiedy powróciła, spał. Zamierzał na nią poczekać, ale czekając usnął. Więc wyciągnęła się przy jego boku i całowała go, a kiedy się wciąż nie budził, postanowiła także się zdrzemnąć. Ale nie mogła, więc znowu zaczęła go całować, tym razem bardzo leciutko, i dotykać go czule, tulić do siebie, a gdy poruszył się we śnie, zsunęła się, położyła głowę na jego piersi i pieściła go dociekliwie, delikatnie, intymnie i nawet całkiem odkrywczco.

David przespał całe to długie chłodne popołudnie. Gdy się obudził, był sam, a z tarasu dochodziły głosy jego dziewcząt. Ubrał się, otworzył drzwi prowadzące do jego pokoju i tędy wyszedł do ogrodu. Na tarasie był tylko kelner, który zbierał naczynia po podwieczorku. Dziewczyny znalazł w barze.

## ***Rozdział dwudziesty trzeci***

Siedziały przy kontuarze, przed nimi stało wiaderko z lodem, w którym tkwiła butelka Perrier-Joueta. Wyglądały prześlicznie.

— Czuję się tak, jakbym przypadkowo spotkała byłego męża — roześmiała się Katarzyna. — To szalenie dorosłe uczucie. — Nigdy, odkąd ją znał, nie była weselsza ani ładniejsza.

— Bardzo ci z nim do twarzy.

— Podoba ci się David? — zapytała Marita Katarzynę, zerknęła na Davida i spłonęła rumieńcem.

— Słusznie się zarumieniłaś — powiedziała Katarzyna. — Spójrz na nią. Davidzie. Jest śliczna.

— Ty także.

— Wygląda najwyżej na szesnaście lat — ciągnęła Katarzyna. — Twierdzi, że przyznała ci się do przeczytania kroniki.

— Myślę, że powinnaś się była zapytać o moją zgodę.

— Masz rację — zgodziła się Katarzyna. — Ale jak zaczęłam ją czytać, wydała mi się tak interesująca, że postanowiłam pokazać ją Dziedzicze.

— Nigdy nie zgodziłbym się na to.

— Zapamiętaj sobie, Marito — roześmiała się Katarzyna — że jego „nie” absolutnie nic nie znaczy. Nie zwracaj na to wcale uwagi.

— Nie wierzę ci — Marita uśmiechnęła się do Davida.

— To dlatego, że nie napisał jeszcze o wypadkach ostatnich dni. Kiedy to zrobi, sama się zorientujesz.

— Skończyłem z pisaniem kroniki — oświadczył David.

— Świństwo — zaperzyła się Katarzyna. — To był nasz wspólny projekt i mój prezent dla ciebie.

— Musisz pisać dalej, Davidzie — powiedziała Marita. — Zrobisz to, prawda?

— Ona by chciała, żebyś ją uwiecznił w literaturze — tłumaczyła Katarzyna. — Kronika będzie znacznie ciekawsza, jeżeli znajdzie się w niej obok jasnej dziewczyny także ciemna.

David nalał szampana do swojego kieliszka. Poczul na sobie ostrzegawcze spojrzenie Marity i zwrócił się do Katarzyny: — Skończę opowiadania i wtedy będę kontynuował kronikę. Jak spędziłaś dzień?

— Doskonale. Powzięłam kilka decyzji i zrobiłam różne plany.

— O Boże! — krzyknął David.

— Zupełnie normalne plany — oświadczyła Katarzyna. — Nie musisz aż wzywać Pana Boga. Myślę, że przez cały dzień robiłeś to, na co miałeś ochotę, co mnie zresztą cieszy. Ale ja też chyba mam prawo do własnych projektów.

— Jakich projektów? — zapytał David słabym głosem.

— Przede wszystkim musimy zająć się tym, żeby twoja kronika jak najszybciej ukazała się w druku. Załatwię przepisanie rękopisu na maszynie. Tyle, ile tego na razie jest, i poszukam ilustratora. Skontaktuję się z kilkoma grafikami i porozmawiam z nimi.

— Myślę, że miałaś męczący dzień — zauważył David. — Nie wiem, czy się orientujesz, ale zanim autor oddaje rękopis do przepisania na maszynie, przegląda go i robi mnóstwo poprawek.

— To zupełnie niepotrzebne grafikowi. Wystarczy pierwsza wersja.

— No tak, ale ja jeszcze nie chcę dać rękopisu maszynistce.

— A nie chcesz, żeby się szybko ukazał w druku? Bo ja tak. Ktoś musi się zająć przyziemnymi sprawami.

— Co to za graficy, których sobie wymyśliłaś?

— Różni do różnych rozdziałów. Marie Laurencin, Pascen, Derain, Dufy i Picasso.

— Chyba nie Derain, na litość boską.

— Czy nie widzisz, jaki śliczny obrazek mogłaby namalować Marie Laurencin. Marita i ja w samochodzie, kiedy zatrzymaliśmy się po raz pierwszy koło Loup w drodze do Nicei.

— Jeszcze o tym nie pisałem.

— To pośpiesz się i napisz. To byłoby bardziej interesujące i pouczające niż te twoje opowiadki o jakichś tam kraalach<sup>18</sup> w Środkowej Afryce, czy jak im tam, pełnych obrzydliwych much i strupów, i o twoim zapitym, śmierdzącym kwaśnym piwskim ojcu. On nie ma nawet pojęcia, które z tych różnych potworków, jakie spłodził, są na pewno jego, a które nie.

— No i koniec zabawy — mruknął David.

— Coś powiedział, Davidzie? — zainteresowała się Marita.

— Dziękuję ci za to, że zgodziłaś się zjeść obiad w moim towarzystwie.

— A czemu nie dziękujesz jej za całą resztę? — zapytała Katarzyna. — Musiała ci zrobić coś wspaniałego, że spałeś jak kamień do późnego popołudnia. Przynajmniej za to jej podziękuj.

— Dziękuję ci, że pojechałaś ze mną popływać — powiedział David do Marity.

— A więc pływaliście? — roześmiała się Katarzyna. — To bardzo dobrze. Cieszy mnie to.

— Wypłynęliśmy nawet bardzo daleko — stwierdziła Marita. — I zjedliśmy doskonały obiad. A ty jadłaś coś?

— Chyba tak — odparła Katarzyna. — Już nie pamiętam.

— Gdzie byłaś? — zapytała ją Marita łagodnym tonem.

— W Saint Raphael. Wiem, że tam byłam, ale czy jadłam obiad, tego już nie pamiętam. Zawsze tak jest, kiedy jem sama. Ale chyba tak. W każdym razie taki miałam zamiar.

---

<sup>18</sup> Kraal - afrykańska wieś lub zagroda dla bydła (przyp. tłum.).

— Przyjemnie ci się jechało do domu? — zapytała jeszcze Marita. — Popołudnie było tak rozkosznie chłodne.

— Nie wiem. Nie zauważyłam. Myślałam o tym, co zrobić z kroniką Davida, jak przyspieszyć jej wydanie. Trzeba się tym zająć. Nie rozumiem, dlaczego zaczął marudzić, kiedy zaproponowałam mu uporządkowanie tej sprawy. Ciągnie się od dawna i zupełnie bez sensu. Poczułam się tym nagle zawstydzona za nas wszystkich.

— Biedna Katarzyna — uśmiechnęła się Marita. — Jestem pewna, że teraz, kiedy już sobie wszystko zaplanowałaś, czujesz się znacznie lepiej.

— O tak — odparła Katarzyna. — Wróciłam w bardzo dobrym nastroju. Byłam pewna, że was to ucieszy, marzyłam o tym, żeby wziąć się za coś konkretnego, a tu David zrobił ze mnie idiotkę. Czuję się jak trędowata. Nic na to nie poradzę, że jestem praktyczna i mam dobrze ułożone w głowie.

— Świetnie, Diablico — uspokajał ją David. — Po prostu bałam się zamieszania.

— To ty robisz zamieszanie! — zawołała Katarzyna. — Czy tego nie widzisz? Przeskakujesz z tematu na temat, przerywasz kronikę, która tyle dla nas wszystkich znaczy, i zabierasz się nagle do pisania opowiadań. Tak ci dobrze szło i właśnie zbliżałaś się do najciekawszej części. Ktoś musi ci uświadomić, że pisanie opowiadań to po prostu ucieczka od obowiązku.

Marita spojrzała na Davida, który od razu zrozumiał, o co jej chodzi, i powiedział: — Pójdę się umyć i przebrać. Zostawiam cię z Maritą. Opowiedz jej wszystko, dobrze? Zaraz wracam.

— Mamy z nią inne sprawy do omówienia — odparła Katarzyna. — Przykro mi, że tak głupio odezwałam się o niej i o tobie. Przecież to, co powstało między wami, bardzo mnie cieszy.

David zabrał ze sobą wszystko, co zostało powiedziane w salonie przez ostatni kwadrans. Wziął prysznic, nałożył świeżo wyprany rybacki sweter i czyste spodnie. Wieczór był całkiem chłodny. W barze zastał Maritę czytającą ostatni numer miesięcznika „Vogue”.

— Poszła do twojego pokoju, żeby tam zrobić porządek — powiedziała na jego widok.

— Jak z nią jest?

— Bo ja wiem. Uważa się w tej chwili za wielkiego wydawcę. Wyrzekła się seksu. Przestał ją interesować. Powiada, że to dziecinada. Nie rozumie, dlaczego ją to

kiedykolwiek bawiło. Twierdzi, że gdyby kiedyś znowu nasza ją ochota, nawiąże romans z jakąś kobietą. Dużo mówiła o kobietach.

— Matko święta, nigdy nie przypuszczałem, że ona pójdzie w tym kierunku.

— Nie myśl o tym. Niezależnie od tego, co sobie ubzdurała, ja cię Kocham i jutro rano zabierzesz się znów do pisania.

W barze zjawiała się Katarzyna.

— Wyglądacie wspaniale, kiedy tak siedzicie obok siebie! — krzyknęła. — Jestem z was dumna. Zupełnie jak gdybym was sobie wymyśliła. Jaki on dzisiaj był, Marito?

— Zjedliśmy pyszny lunch — odparła Marita. — Daj mu szansę, Katarzyno.

— O tak, wiem, on jest całkiem dobrym kochankiem. Zawsze nim był. Z tym jest tak jak z jego koktajlami, z pływaniem, jazdą na nartach i najprawdopodobniej również z lataniem. Podobno był wspaniałym lotnikiem. Tak ludzie mówią. Wszystko, co robi, robi bardzo dobrze. Latanie to coś w rodzaju akrobacji i równie nudne. Ale nie o to pytałam.

— Bardzo to ładnie z twojej strony, Katarzyno, że pozwoliłaś nam spędzić razem cały dzień — powiedziała Marita.

— Możecie spędzić ze sobą resztę życia — oświadczyła Katarzyna. — Jeżeli was to nie znudzi. Nie jesteście mi już do niczego potrzebni.

David obserwował ją w lustrze. Wyglądała na spokojną, normalną, ładną dziewczynę. Marita zaś patrzyła na nią ze smutkiem.

— Jednakże lubię się wam przyglądać i słuchać tego, co mówi David, to znaczy, jeżeli on jeszcze kiedyś otworzy dziób.

— Jak się masz? — odezwał się David.

— No widzisz. Jak chcesz, to potrafisz. Dziękuję ci, mam się bardzo dobrze.

— Masz jakieś nowe plany? — David czuł się jak człowiek wzywający pomocy na pełnym morzu.

— Już wam wszystko powiedziałam — odparła Katarzyna — W najbliższych tygodniach będę bardzo zajęta.

— Co to za bzdury o jakiejś innej kobiecie?

Marita kopnęła go, a on przycisnął jej stopę swoją na znak, że zrozumiał, o co jej chodzi.



— To nie bzdury. Po prostu mam ochotę jeszcze raz sprawdzić, czy nie przepuściłam jakiegó okazji. Bo to przecież możliwe.

— Wszyscy jesteómy omylni — oówiadczył David i Marita znowu go kopnęła.

— Chcę się o tym przekonać — ciągnęła dalej Katarzyna. — Teraz już wiem wystarczająco dużo o tych sprawach, żeby się zorientować. Nie bój się, że zabiorę ci tej twojej ciemnowłosej. Przekonałam się, że nie jest w moim typie. Możesz ją sobie wziąć. Dla ciebie jest doskonała i w ogóle bardzo miła, tyle że nie dla mnie. Nie pociąga mnie typ małego łobuziaka.

— Być może rzeczywiście jestem łobuziakiem — oówiadczyła Marita.

— To nawet bardzo wytworna definicja tego, czym jesteś.

— Mimo to jestem bardziej kobieca niż ty, Katarzyno.

— No dobra, pokaż Davidowi, jaki z ciebie łobuziak. Na pewno będzie zadowolony.

— David wie dokładnie, jakim jestem typem kobiety.

— Cudownie — ucieszyła się Katarzyna. — Cieszę się, że oboje odnaleóziócie języki w gębie. Wolę konwersację od monologu.

— Ty w gruncie rzeczy w ogóle nie jesteś kobietą — oówiadczyła nagle Marita.

— Wiem — odparła Katarzyna. — Wiele razy mu to tłumaczyłam. Nieprawdaż, Davidzie?

David spojrział na nią w milczeniu.

— No mów.

— Tak — odezwał się.

— W Madrycie szalałam, żeby być dziewczyną, i tylko tyle z tego wyszło, że rzeczywiście dostałam bzika — powiedziała Katarzyna. — A teraz mam tego po prostu dość. Ty jesteś dziewczyną i chłopcem w jednej osobie i to w zupełnie normalny sposób. A ja ani jednym, ani drugim. Cały mój wysiłek poszedł na to, żebyócie byli ze sobą szczęóliwi. Wszystko inne jest kłamstwem.

— Wiem i usiłowalam to wytłumaczyć Davidowi — odparła Marita.

— I ja wiem, że wiesz. Ale to wcale nie znaczy, że masz być lojalna wobec mnie czy kogokolwiek innego. Nawet nie próbuj. Nikt by tego nie robił i ty w gruncie rzeczy też za bardzo się nie starasz. Zwalniam cię z tego. Chcę, żebyś była szczęóliwa i żebyś mu dawała szczęócie. Ty to potrafisz, a ja niestety nie. Doskonale o tym wiem.

— Jesteś najwspanialszą dziewczyną ówiata! — wykrzyknęła Marita.

— Nonsens. Odpadłam na samym starcie.

— Wyłącznie z mojej winy — przerwała jej Marita. — Byłam głupia i podła.

— Wcale nie byłaś głupia. Każde twoje słowo to szczerą prawdą.

A teraz przestańmy już gadać i bądźmy znów przyjaciółmi. Może nam się to uda?

— Może się uda? — powtórzyła Marita za Katarzyną.

— Marzę o tym — odparła Katarzyna. — Przestaną być taką naprzykrzoną despotką. Proszę cię, Davidzie, nie spiesz się z kroniką. Przecież wiesz, że pragnę, jedynie i wyłącznie, żebyś jak najlepiej pisał. Zawsze tak było. Od początku naszego wspólnego życia. Już się uspokoiłam. Sama nie wiem, jaki diabeł we mnie wstąpił.

— Jesteś po prostu zmęczona — przerwał jej David. — Czuję, że od rana nic nie jadłaś.

— Masz najprawdopodobniej rację — odparła. — A zresztą, czy ja wiem? Zapomnijmy już o wszystkim i zaprzyjaźnijmy się znowu, dobrze?

Byli więc przyjaciółmi, cokolwiek to słowo znaczy, powiedział do siebie David. Usiłował o niczym nie myśleć i tylko mówić i słuchać, cały zatopiony w nierzeczywistości, w jaką przemieniła się ich rzeczywistość. Słuchał tego, co każda z nich mówiła o drugiej, wiedział, że jedna doskonale wie, co druga myśli, a nawet co mu któraś powiedziała na osobności. Ta ufność w nieufności była podstawą ich przyjaźni, ona ułatwiała im rozumienie przyczyny ich niezgody, dzięki niej tak chętnie ze sobą przebywały. On także chętnie z nimi przebywał, ale nie dzisiaj, dzisiaj miał ich serdecznie dość.

Nazajutrz znów wkroczy do swojego królestwa, o które Katarzyna była tak zazdrosna, a które Marita tak kochała i szanowała. W obrębie swojego opowiadania był szczęśliwy, choć wiedział, że szczęście to jest zbyt intensywne, by mogło trwać, więc porzuciwszy to, na czym mu najbardziej zależało, powrócił do przeludnionej i zarazem pustej krainy obłędu, którego nowym objawem okazała się nadmierna potrzeba działania. Był zmęczony tym wszystkim, męczył go też widok Marity współdziałającej ze swoim przeciwnikiem. Katarzyna nie była jego nieprzyjacielem z wyjątkiem tych momentów, kiedy próbowała się z nim utożsamiać w beznadziejnej jałowej pogoni, jaką jest miłość, i wtedy była swoim własnym wrogiem. Wróg jest jej tak bardzo potrzebny, rozmyślał David, że zawsze stara się mieć choć jednego w pobliżu, a najbliższy i najłatwiejszy do zaatakowania to ona sama i ja, albowiem zna wszystkie nasze mocne i słabe strony, wszystkie luki w naszym mechanizmie

obronnym. Zręcznie atakuje mnie z flanki, szybko orientuje się, że celuje w samą siebie, toteż ostatnia bitwa toczy się zawsze w szalonym wirze, a pył, jaki się wówczas unosi, jest naszym własnym prochem.

Po kolacji Katarzynie zachciało się rozegrać z Maritą partyjkę tryk-traka. Zawsze grały bardzo serio i na pieniądze i kiedy Katarzyna poszła po planszę, Marita powiedziała do Davida: — Proszę cię, nie przychodź do mnie dzisiaj.

— Zgoda.

— Rozumiesz?

— Nie używajmy tego słowa, dobrze? — powiedział David chłodnym tonem. W miarę jak zbliżała się godzina pracy, stawał się coraz to bardziej nieprzystępny.

— Gniewasz się?

— Tak — odparł.

— Na mnie?

— Nie.

— Nie trzeba się gniewać na chorego człowieka.

— Za krótko żyjesz, moja droga. Ludzie najbardziej złością się właśnie na chorych. Jak kiedyś zachorujesz, przekonasz się o tym.

— Tak bym chciała, żebyś się rozchmurzył.

— A ja żałuję, że was obie poznałem.

— Davidzie, proszę cię.

— Przecież wiesz, że to nieprawda. Po prostu przygotowuję się do pracy.

Poszedł do sypialni, położył się na łóżku, zapalił nocną lampkę i wziął się do lektury jednej z książek W.H. Hudsona. Nazywała się *Nature in Downland* („Przyroda nizin”) i postanowił ją przeczytać głównie dlatego, że miała tak mało obiecujący tytuł. Wiedział, że nadchodzi czas, kiedy najbardziej ze wszystkiego potrzebne mu będą książki, więc zostawiał sobie najlepsze na później. Prawie natychmiast okazało się, że poza tytułem nic go w tej nie nudziło. Czytał więc z przyjemnością, oderwał się od własnej egzystencji, wkroczył w świat Hudsona i jego brata i razem z nim galopował na koniu w świetle księżyca poprzez rozwichrzoną biel łąk porośniętych wysokimi, sięgającymi niemal ich głów ostami i dopiero po dłuższym czasie do uszu jego znów dotarły głosy dziewcząt i trzask rzucanych przez nie kości, toteż gdy wreszcie poszedł do baru, żeby nalać sobie szklankę whisky z Perrierem i zabrać ją do sypialni, zorientował się, że pochłonięte grą dziewczęta są znów

prawdziwymi żywymi istotami, a nie postaciami z niedorzecznej sztuki, którą zmuszono go oglądać.

Powrócił do sypialni, zabrał się ponownie do lektury, powoli popijał swoją whisky z Perrierem, a potem rozebrał się, zgasił światło i właśnie zasypiał, kiedy usłyszał kroki Katarzyny na dywanie. Zdawało mu się, że zanim poczuł jej obecność, spędziła dłuższy czas w łazience i dopiero potem przyszła do niego. Leżał spokojnie, oddychał równo i głęboko w nadziei, że uda mu się zasnąć.

— Nie śpisz? — zapytała go.

— Chyba nie.

— Nie budź się. Dziękuję ci, że położyłeś się do naszego łóżka.

— Zawsze to robię.

— Nie musisz.

— Muszę.

— Cieszę się, że jesteś. Dobranoc.

— Dobranoc.

— A nie pocałujesz mnie?

— Oczywiście — odparł.

Pocałował ją i stwierdził, że jest Katarzyną taką, jaką dawniej czasami bywała.

— Przykro mi, że cię znowu zawiodłam.

— Nie mówmy o tym.

— Nienawidzisz mnie?

— Nie.

— Czy nie moglibyśmy zacząć wszystkiego od początku?

— Chyba nie.

— To po co tu jesteś?

— Bo tu jest moje miejsce.

— Tylko dlatego?

— Myślałem, że może poczujesz się samotna.

— Na pewno.

— Wszyscy ludzie są samotni — szepnął David.

— To straszne, leżeć z kimś w łóżku i czuć się samotnym.

— Nie ma z tego żadnego wyjścia. Wszystkie twoje plany i sztuczki są bez sensu.

- Nie zdążyłam ich wypróbować.
- To jest szaleństwo. Mam tego serdecznie dość. Nie tylko ty jesteś załamana.
- Wiem. Ale spróbujmy jeszcze raz, od samego początku. Obiecuję, że będę rozsądna. Zobaczysz. Już mi się to prawie udało.
- Mam tego wszystkiego serdecznie dość, Diablico. Powyżej uszu.
- Postaraj się ten ostatni raz. Zrób to dla niej i dla mnie.
- Nic z tego nie będzie, już ci mówiłem, że wszystko mi obrzydło.
- Ona twierdzi, że spędziliście bardzo przyjemny dzień i że byłeś całkiem wesoły, wcale nie przygnębiony. Proszę cię, Davidzie, zrób to dla nas, powróćmy do początku. Tak mi na tym zależy.
- Tobie na wszystkim aż za bardzo zależy, a kiedy otrzymujesz to, czego pragniesz, zniechęcasz się i rzucasz wszystko w diabły.
- Po prostu byłam tym razem zbyt pewna siebie, a w takich przypadkach robię się nieznośna. Błagam cię, Davidzie, naprawmy to jakoś.
- Prześpijmy się lepiej, Diablico i przestańmy już rozmawiać.
- Pocałuj mnie — poprosiła Katarzyna. — Będę chyba spała, bo wiem, że ty zaraz zaśniesz. Zawsze robisz wszystko, o co cię proszę, głównie dlatego, że w gruncie rzeczy sam tego chcesz.
- Za to ty, Diablico, myślisz wyłącznie o sobie.
- To nieprawda. Tak naprawdę to chcę być i z tobą, i z nią. Dlatego to wszystko zrobiłam. Jestem jednym i drugim naraz. Doskonale o tym wiesz, no powiedz.
- Śpij, Diablico.
- Dobrze. Ale przedtem pocałuj mnie, żebyśmy nie czuli się samotni.

## ***Rozdział dwudziesty czwarty***

Nazajutrz rano znalazł się znów na stoku wzgórza. Słoń nie wędrował już pewnie do celu, lecz włókł się powoli, zatrzymywał, by skubnąć trochę trawy, i David wiedział, że za chwilę podejda do niego. Usiłował sobie teraz przypomnieć dokładnie, co wówczas czuł. Jeszcze nie był całkowicie po stronie zwierzęcia. To ważne do zapamiętania. Odczuwał jedynie smutek i zmęczenie, wynik zrozumienia tego, czym właściwie jest starość. Był młody, ale nagle miał pełną jej świadomość. Tęsknił za

Kibo, a myśl o tym, że Juma zabił przyjaciela starego słońa, zniechęciła go do Jumy, a słońa uczyniła bratem. Zrozumiał też, jak ważne było to, że on sam wypatrzył słońa w świetle księżyca, że wraz z Kibo szedł za nim krok w krok, że kiedy zwierzę przystanąło na polanie, podszedł tak blisko i zobaczył te ogromne kły. Już był pewny, że stary słoń też zostanie zabity i on, David, nie będzie mógł temu zapobiec. Zdradził słońa z chwilą, kiedy wrócił do osiedla i powiedział im o jego obecności w dżungli. Gdybyśmy i my mieli kły z kości słoniowej, pomyślał nagle, zabiliby i mnie, i Kibo, ale jednocześnie wiedział, że to nieprawda. Słoń zapewne dotrze za chwilę do miejsca swego przeznaczenia i tam zginie. Tylko tego brakuje im do pełni szczęścia. Najchętniej z pewnością zabiliby go w tym samym miejscu, w którym Juma zgładził jego przyjaciela. Cóż by to był za wspaniały dowcip. To by im dopiero sprawiło przyjemność. Tym przeklętym mordercom przyjaciół.

Szli teraz skrajem gęstwiny, krok w krok za słońem. David czuł już jego zapach, słyszał trzask łamanych gałęzi. Ojciec położył mu rękę na ramieniu i odsunął w tył, wskazując jednocześnie, żeby się zatrzymał, wyjął z trzymanej w kieszeni torebki dużą garść popiołu i wyrzucił go w powietrze. Opadając popiół bardzo tylko nieznacznie skierował się w ich stronę, toteż ojciec skinął na Jumę i pochyliwszy się ruszył za nim. David przyglądał się ich plecom i tyłkom znikającym wśród zarośli. Poruszali się zupełnie bezszelestnie.

Stał bez ruchu i nasłuchiwał szmerów i trzasków dochodzących z miejsca, w którym pasł się słoń. Zapach zwierzęcia był teraz równie silny jak wtedy, gdy David podszedł go całkiem blisko i kiedy w świetle księżyca zobaczył jego potężne kły. Nagle zrobiło się cicho i zapach słońa znikł, po chwili rozległ się wysoki pisk, prask kilku uderzeń i zaraz potem pojedynczy strzał i dwa silne huki wystrzałów z ojcowskiej dubeltówki. Gdy trzaski i szmery zaczęły się oddalać, David wszedł pomiędzy drzewa i zobaczył Jumę, który stał trzęsąc się na całym ciele. Twarz miał zbroczoną krwią pochodzącą z rany w czole. Ojciec był blady jak płótno i bardzo rozgniewany.

— Rzucił się na Jumę — powiedział — i przewrócił go. Juma trafił go w łeb.

— A ty w co go trafiłeś?

— W co się do jasnej cholery dało. No jazda, ruszamy jego zasranym śladem. Krwawi.

Krwi było co niemiara. Jedna smuga ciągnęła się na wysokości głowy Davida jaskrawo barwiąc pnie, liście i liany, druga znacznie niżej, ciemna, cuchnąca treścią żołądka.

— Dostał w płuca i kiszki — zauważył ojciec. — Znajdziemy go leżącego na ziemi albo zaplątanego w gałęzie. Mam nadzieję, że już zdechł.

Znaleźli go rzeczywiście zaplątanego w gałęzie, ogarniętego takim bólem i taką rozpaczą, że nie był w stanie się poruszyć. Wypadł był spośród drzew, gdzie krył się i pasł, i przebiegł przez leśny prześwit. David i ojciec pędzili za nim wzdłuż szerokiego strumienia uchodzącej z niego krwi. Schronił się znów pomiędzy drzewa, ale już po chwili David spostrzegł, że oparł się o gruby stary pień. Tylko jego zad był widoczny. Ojciec wybiegł naprzód, David za nim. Gdy dotarli do słonia, zobaczyli, że po bokach przebitego na wylot szarego cielska płynie gęsta krew. Ojciec uniósł dubeltówkę, oddał strzał i wtedy słoń przekręcił głowę obciążoną ciężkimi kłami, spojrzął na nich, a kiedy ojciec wystrzelił z drugiej lufy, zachwiał się niczym podcięte drzewo i runął w ich kierunku. Ale jeszcze żył. Padł na ziemię ze złamanym obojczykiem. Nie ruszał się już, ale jego wielkie oko patrzyło przytomnie na Davida. Miał bardzo długie rzęsy, a to jego oko było najbardziej żywotną rzeczą, jaką David kiedykolwiek widział.

— Strzel mu w ucho — zażądał ojciec. — No, rusz się.

— Ty strzel.

Przykuśtykał cały zakrwawiony Juma. Zdarta z czoła skóra zwisała mu na lewe oko, kość nosowa była całkiem odsłonięta, jedno ucho naderwane. Gwałtownym ruchem odebrał Davidowi strzelbę, bez słowa wbił wylot lufy w ucho zwierzęcia i dwukrotnie strzelił, za każdym razem gwałtownie szarpiąc zamek i wpychając lufę głębiej. Po pierwszym strzale oko słonia otworzyło się szeroko, zaszło mgłą, a z ucha wypłynęła struga krwi i spłynęła jaskrawym strumieniem po szarej skórze. Krew ta miała jakiś dziwny odcień i David pomyślał, że powinien go zapamiętać i rzeczywiście zapamiętał, ale nigdy mu się to na nic nie przydało. W jednej chwili całe dostojęństwo, cała duma i cała uroda jak gdyby spłynęły ze zwierzęcia, a ono samo przemieniło się w wielką pomarszczoną kupę szarej skóry.

— No, mamy go nareszcie! — zawołał ojciec. — Dzięki tobie, Davidzie. A teraz trzeba rozpalić ognisko, bo muszę opatrzyć rany Jummy. Chodź tu ty nieszczęsna zafajdana pokrako. Kły ci nie uciekną.

Juma z szerokim uśmiechem na twarzy podszedł do ojca z zupełnie niemal łysym ogonem słonia w ręku. Wymienili między sobą jakieś sprośne dowcipy, a potem ojciec zaczął mówić szybko w języku suahili: jak daleko do wody? Ile kilometrów do ludzi, którzy odbiorą kły? Jak się czujesz, stary zasmarkany świntuchu? Gdzie cię boli?

Wysłuchawszy odpowiedzi Jummy ojciec zwrócił się do Davida: — Pójdziemy i pozbieramy plecaki, które zostały w lesie. Juma rozpali ognisko. Apteczka jest w mojej torbie. Musimy się spieszyć, żeby zdążyć przed zmrokiem. Rany nie będą mu się paskudziły. To nie ukąszenia. Jazda, idziemy.

Ojciec szybko zrozumiał, co David czuje do zabitego zwierzęcia, i tej nocy a także w ciągu następnych kilku dni usiłował przekonać go, zrobić zeń na powrót chłopca, którym był, zanim znienawidził polowanie na słonie. David nie wpisał do swojego opowiadania argumentów ojca ani jego intencji, ale jedynie wydarzenia, fakty, swoje obrzydzenie, swoje odczucia w obliczu rzezi, w czasie odrąbywania kłów, a także podczas dość brutalnych ojcowskich zabiegów chirurgicznych na Jummy, zaprawionych prymitywnymi żartami z domieszką kpiny dla pomniejszenia rangi i znaczenia bólu, na który nie było żadnych środków uśmierzających. Pisał o zaufaniu, jakim go obdarzono, a który to dar odrzucił, o dodatkowej odpowiedzialności, której nie sprostął. Wszystko to zawarł w swoim opowiadaniu, jednakże bez specjalnego nacisku na wagę tych spraw. Usiłował, jak mógł najlepiej, opisać stojącego pod drzewem dogorywającego słonia tonącego we własnej krwi, którą już tyle razy broczył z dawnych ran, a która teraz zalewała mu płuca, tak że nie mógł oddychać. Silne serce pompowało ją pracowicie topiąc go, a on spokojnie patrzył na człowieka, który przyszedł żeby go zgładzić. David był dumny z faktu, że słoń wyniuchał Jummę i zaszarżował tak błyskawicznie. Gdyby nie strzał ojca, zabiłby Jummę, ale zdołał go już tylko rzucić na pień drzewa i umierając raz jeszcze zaatakować, zupełnie jak gdyby śmierć była tylko jeszcze jedną raną, aż wreszcie płuca jego wypełniła krew i oddychanie stało się niemożliwe. Tego wieczoru przy ognisku David patrzył na Jummę, który siedział z pozszywaną twarzą i złamanymi żebrami, starając się oddychać możliwie płytko, i zastanawiał się nad tym, czy słoń rozpoznał go i czy dlatego chciał go zabić. David miał nadzieję, że tak właśnie było. Słoń stał się dla niego bohaterem zajmując w jego sercu miejsce, które przez tyle lat zajmował ojciec. Nie przypuszczałem, że potrafi się zdobyć na taki wysiłek, myślał, on, taki zmęczony i taki stary. Mało brakowało, a zabiłby Jummę. Nie patrzył na mnie, tak jak gdyby mnie też chciał zabić. Myślę, że było mu smutno, tak samo jak mnie. Chciał tego dnia odwiedzić starego przyjaciela a dopadła go śmierć.

Zdawał sobie sprawę z tego, że napisał bardzo młodzieńcze opowiadanie o bardzo młodym chłopcu. Czytając je zauważył kilka słabych miejsc wymagających



wyjaśnień, by czytelnik zrozumiał, że mowa jest o prawdziwym zdarzeniu, i miejsca te zaznaczył kreskami na marginesie.

Doskonale pamiętał, jak wszelka godność opuściła zwierzę w momencie, kiedy zgasło jego oko, i że kiedy powrócił wraz z ojcem i plecakami, ciało słonia zaczynało już puchnąć, mimo że wieczór był chłodny. Prawdziwy słoń przestał istnieć, na jego miejscu zostały szare, pomarszczone, obrzękłe zwłoki i ogromne, nakrapiane brązowo i żółto kły, powód, dla którego go zabili. Na kłach znajdowały się również plamy zakrzepłej krwi i David paznokciem zeskrobał odrobinę skrzepu podobną do zastygłego lakieru pieczęci i wsunął go do kieszeni koszuli. To było wszystko, co pozostało mu po słoniu, z wyjątkiem załączka wiedzy o samotności.

Wieczorem przy ognisku po uporaniu się z cielskiem słonia ojciec znów usiłował rozmówić się z Davidem na serio. — Davidzie — rzekł — Juma mówi, że nikt nie ma nawet pojęcia, ilu on zabił ludzi.

— Ale wszyscy oni chcieli najpierw jego zabić.

— Oczywiście — przyznał ojciec. — Przecież miał te wspaniałe kły.

— To dlaczego nazywasz go mordercą?

— Nie chcę się z tobą sprzeczać — zgodził się ojciec. — Szkoda, że ci się to wszystko tak pomieszało.

— Szkoda, że nie zabił Jumy.

— Chyba przesadzasz — powiedział ojciec sucho. — Juma to twój przyjaciel, przecież dobrze wiesz.

— Już nie.

— Nie mów mu tego.

— On to wie.

— Myślę, że go przeceniasz — zauważył ojciec i na tym skończyła się ta rozmowa.

Kiedy wreszcie znaleźli się znów bezpiecznie przy ulepionej z gliny chacie wraz z kłami, które oparli o jej ścianę w taki sposób, żeby ich końce stykały się u góry, kłami tak wysokimi i grubymi, że ludzie nie chcieli wierzyć w ich prawdziwość nawet, gdy ich dotykali, i nikt, nawet ojciec, nie był wystarczająco wysoki, by sięgnąć do miejsca, w którym się zaginały, i Juma, i ojciec, i on byli bohaterami, a Kibo psem bohatera i wszyscy mężczyźni, którzy pomogli nieść kły, także byli, może już nieco

pijanymi i wkrótce całkiem pijanymi bohaterami, ojciec zwrócił się do Davida: — Czy chcesz, żeby znowu była między nami zgoda? — zapytał.

— Tak — odparł David, w pełnej świadomości faktu, że odtąd już nigdy nie będzie nikomu powierzał swoich myśli.

— Cieszę się — uśmiechnął się ojciec. — Tak będzie lepiej i prościej.

A potem usiedli na stołkach dla starców w cieniu wielkiego figowca, wpatrzeni w oparte o ścianę chaty kły, pili miejscowe piwo z tykiew, piwo przyniesione przez młodą dziewczynę i jej młodszego brata, który nagle przestał być uprzykrzonym darmozjadem i stał się sługą bohaterów, a obok leżał bohaterski pies bohatera ze starym kogutem między łapami, kogutem, który został podniesiony do rangi ulubionego ptaka bohaterów. Siedzieli, pili piwo, a po chwili rozległy się dźwięki bębna i rozpoczęła się *Ngoma*<sup>19</sup>.

David wyszedł ze swojego pokoju, beztroski, pusty w środku, a zarazem jakoś dziwnie z siebie dumny, i zobaczył Maritę, która czekała na niego na tarasie opalając się w jasnym słońcu wczesnego jesiennego poranka, o którego istnieniu zupełnie zapomniał. Wspaniały był ten chłodny i cichy poranek. Morze na dole było płaskie i spokojne, a na horyzoncie odcinając się od ciemnego pasma gór błyszczało białe zakale Cannes.

— Bardzo cię kocham — powiedział David do dziewczyny. Gdy wstała, otoczył ją ramieniem, pocałował i wtedy zapytała: — Skończyłeś opowiadanie?

— Oczywiście — odparł. — A czemużby nie?

— Kocham cię i jestem z ciebie dumna — oświadczyła. Objęci, wpatrzeni w morze przeszli kilka kroków.

— Jak się masz, dziewczyno?

— Bardzo dobrze. Jestem szczęśliwa. Czy ty mnie naprawdę kochasz, czy tylko ten piękny poranek kazał ci to powiedzieć?

— Poranek — roześmiał się David i znów ją pocałował.

— Czy dasz mi je do przeczytania?

— Za piękny dzień do czytania.

---

<sup>19</sup> Ngoma (w jęz. suahili) — zabawa, taniec, obrzędy.

— Chciałabym to zrobić po to, żeby móc odczuwać to samo, co ty, a nie po to, żeby być szczęśliwą wyłącznie dlatego, że ty jesteś szczęśliwy, zupełnie jak gdybym była twoim psem.

David wręczył jej klucz od swojego pokoju, a kiedy przyniosła bruliony, usiadła w barze i zabrała się do czytania, usadowił się obok niej, żeby czytać jej przez ramię. Dobrze wiedział, że zachowuje się nieodpowiednio i głupio. Nigdy czegoś takiego nie zrobił — było to wbrew wszystkim jego zasadom, ale dopiero po chwili o tym pomyślał, znów objął dziewczynę ramieniem i spojrzał na swój rękopis. Miał straszną ochotę na czytanie tego tekstu wraz z nią, nie mógł powstrzymać się od dzielenia z nią tego, czego dotychczas z nikim innym jeszcze nie dzielił. Był zawsze przekonany, że jest to nie tylko niemożliwe, ale niewskazane.

Kiedy Marita doszła do końca ostatniej strony, objęła Davida za szyję i pocałowała go tak mocno w usta, że przecięła mu wargę. Kiedy puściła go, spojrzał na nią i czując na języku smak krwi uśmiechnął się.

— Przepraszam cię! — krzyknęła. — Wybacz. Jestem taka szczęśliwa i nawet dumniejsza niż ty.

— Podoba ci się? — zapytał. — Czy czułaś zapach tej wioski i czysty zapach wnętrza chaty, i gładkość krzesła, na którym siedział stary człowiek? W tych chatach jest naprawdę czysto, podłoga zawsze zamieciona.

— Naturalnie. Pisałeś o tym w poprzednim opowiadaniu. Doskonale widzę też zarys pochylonego łba bohaterskiego psa Kibo. Sam też byłeś takim pięknym małym bohaterem. Czy krew słonia splamiła ci kieszeń?

— Tak. Plama rozmiękła, kiedy zacząłem się pocić.

— Pojedziemy do miasta, żeby uczcić ten dzień. Tyle tam jest rozrywek.

David zatrzymał się w barze, nalał sobie porcję whisky Haiga do szklanki, dopełnił ją zimnym Perrierem i zaniósł do sypialni. Wypił połowę i wszedł pod zimny prysznic. Nałożył na siebie spodnie, koszulę i sandały. Miał teraz pewność, że opowiadanie jest dobre, i jeszcze bardziej kochał Maritę. I opowiadanie, i Marita w najmniejszym stopniu nie ucierpiały z powodu jego wzmożonej percepcji, jasność widzenia nic wzbudziła w nim najłżejszego nawet uczucia smutku.

Katarzyna niechaj robi to, na co ma ochotę, teraz i w przyszłości. Wyjrzał przez okno i nagle zdał sobie sprawę, że odzyskał utracone poczucie beztroski. Dzień był idealny do latania. Szkoda, że nic ma w pobliżu lotniska, że nie można wynająć samolotu. Zabrałby Maritę i pokazałby jej, co można zrobić z takim pięknym dniem.

Może by jej się to nawet spodobało. Ale żadnego lotniska w pobliżu nie ma, więc lepiej o tym zapomnieć. Chociaż byłaby to wielka przyjemność. Jazda na nartach też jest przyjemna. To dałoby się zrealizować za jakie dwa miesiące, gdyby się wciąż miało ochotę. O Boże, jak cudownie, że skończył opowiadanie i że ona jest przy nim. Ta Marita, która nie jest tak cholernie zazdrosna o jego pracę i której można pokazać, co się zrobiło i do czego się zmierza. Ona to naprawdę rozumie i nic nie udaje. Kocham ją, tak jest, whisky, przyjmij to do wiadomości. Ty też, kochany Perrierze, stary chłopie. Dotrzymuję ci wierności staruszku, na mój własny zakichany sposób. Jak dobrze być szczęśliwym. Głupie uczucie, ale w sam raz na dzisiejszy dzień, więc poddaję mu się.

— Chodź, dziewczyno — zwrócił się do Marity, stając w progu jej pokoju. — Czemu nie idziesz? Czyżby nie niosły cię twoje śliczne nóżki?

— Jestem gotowa, Davidzie — odparła. Miała na sobie bardzo obcisły sweterek i spodnie. Uśmiechała się promiennie, rozczesywała swoje ciemne włosy i uważnie na niego patrzyła.

— Tak jest miło, kiedy jesteś wesoły.

— Wspaniały dzień — rzekł. — Co za szczęściarze z nas.

— Naprawdę tak sądzisz? — zapytała w drodze do samochodu. — Naprawdę sądzisz, że jesteśmy szczęściarzami?

— O tak. Myślę, że nasz los dzisiaj się odmienił, dzisiaj, a może nawet jeszcze w czasie nocy.

## Księga czwarta

### *Rozdział dwudziesty piąty*

Kiedy wracali do hotelu, zauważyli zaparkowany na podjeździe samochód Katarzyny. Postawiła go po prawej stronie wysypanej żwirem drogi. David ustawił swoją Isottę tuż za nim. Oboje z Maritą wysiedli z wozu i mijając mały pusty niebieski samochodzik weszli do hotelu.

Minęli pokój pracy Davida, od którego drzwi były zamknięte na klucz, lecz okno otwarte, a gdy dotarli do pokoju Marity, ta zatrzymała się i powiedziała: — Do widzenia.

— Co zamierzasz teraz robić? — zapytał ją David.

— Jeszcze nie wiem. Chyba zostanę u siebie.

David przeszedł przez patio i wszedł do hotelu głównym wejściem. Katarzyna siedziała w barze i czytała paryskie wydanie „Heralda”. Przed nią stała na pół opróżniona butelka wina i kieliszek. Spojrzała na niego.

— Co cię sprowadza? — zapytała.

— Zjedliśmy obiad w mieście i wróciliśmy.

— Jak się ma twoja nałożnica?

— Jaka znowu nałożnica?

— Mam na myśli tę, dla której piszesz te opowiadania.

— Ach, opowiadania.

— Tak, opowiadania. Te ponure opowiadki o twojej młodości i o oszuście, i pijaku, który był twoim ojcem.

— On w gruncie rzeczy wcale nie był oszustem.

— A czy nie oszukał twojej matki i wszystkich swoich przyjaciół?

— Nie. Prawdę mówiąc tylko samego siebie.

— W tych bezsensownych anegdotkach, tych skeczach, opowiadkach, czy jak nazwać to, co ostatnio wypisujesz, przedstawiasz go jako obrzydliwego kanciarza.

— Czy masz na myśli moje ostatnie opowiadanie?

– To ty je tak nazywasz.

– Tak — odparł David, nalał sobie do kieliszka pysznego zimnego wina i pomyślał, że tu w tym słonecznym pokoju, w tym wygodnym czystym hotelu, wśród pięknego jasnego dnia nawet dobre wino nie zdoła rozgrzać jego skamieniałego serca.

– Czy przyprowadzić ci Dziedziczkę? — zapytała go Katarzyna. — Byłoby niedobrze, gdyby powstało między nami nieporozumienie co do tego, czyj to jest dzień, albo żeby pomyślała, że zaczęliśmy nagle popijać na stronie.

– Nie trzeba.

– Kiedy mam ochotę. To jest jej dzień, a nie mój. Naprawdę, Davidzie, nie jestem wcale taką żołą, za jaką mnie masz. Ja tylko tak gadam i tak się zachowuję.

Czekając na powrót Katarzyny David wypił jeszcze jeden kieliszek szampana i przeczytał paryskie wydanie „New York Herald Tribune”, które pozostawiła na stoliku. Uznał, że samotne picie zmieniło smak wina, więc poszedł do kuchni, znalazł korek i zakorkował butelkę, żeby ją wstawić do lodówki. Ale butelka okazała się dziwnie lekka i kiedy spojrzął pod światło, okazało się, że zostało w niej już bardzo niewiele wina, więc wypił je i postawił butelkę na kafelkową podłogę. Nawet tak szybko wypity szampan w ogóle na niego nie podziałał.

Dzięki Bogu, pomyślał, że przynajmniej idzie mi pisanie. Jego ostatnia książka zyskała uznanie głównie dlatego, że jej postacie były prawdziwe, a szczegóły wiarygodne. Wystarczyło, żeby przypomniał sobie dokładnie jakieś przeżycie, a formę zawdzięczał głównie temu, co pomijał. Kończył je zazwyczaj tak, jak przymyka się przesłone soczewki aparatu fotograficznego, by zyskać jak największą ostrość, a wtedy upał nabierał blasku i zaczynał unosić się dym. Był pewny, że i tym razem osiągnął ten efekt.

To, co Katarzyna mówiła o jego opowiadaniu tylko po to, by sprawić mu przykrość, przywodziło mu na myśl ojca i wszystko, co usiłował niegdyś zrobić dla tego człowieka, jeżeli to w ogóle było możliwe. Teraz, mówił sobie, musisz raz jeszcze postarać się być dorosłym mężczyzną i dzielnie stawić czoła temu co nieuniknione bez irytacji, bez żalu do kogoś, kto czy nie rozumie, czy nie docenia tego, co piszesz. Ona rozumie z tego coraz to mniej i mniej. Ale przynajmniej wiesz, że dobrze ci się pracowało i nic nie może cię zranić dopóty, dopóki jesteś zdolny do pracy. Postaraj się jej pomóc i zapomnij o sobie. Jutro powrócisz do swojego opowiadania, przejrzyś je raz jeszcze i doprowadzisz do perfekcji.

Jednakże wolał nie myśleć o nim zbyt intensywnie. Na pisaniu zależało mu więcej niż na czymkolwiek innym i chociaż zależało mu również, na wielu innych sprawach, wiedział, że nie wolno mu analizować zbyt szczegółowo czegoś, co już zostało przelane na papier, nie dotykać, nie miętosić, podobnie jak nie wolno otwierać drzwi do ciemni, żeby zobaczyć, czy klisza dobrze się wywołuje.

Powrócił myślami do dziewcząt, zastanawiał się nad tym, czy ich nie poszukać, nie dowiedzieć się, na co mają ochotę, czy może chciałby pojechać na plażę. W końcu był to dzień jego i Marity, toteż ona na pewno już na niego czeka. Kto wie, może udałoby się jeszcze uratować odrobinę tego dnia dla nich wszystkich. Zresztą może dziewczyny coś razem wymyśliły. Powinien chyba pójść do nich i dowiedzieć się o ich plany. Zrób to, zachęcał samego siebie. Nie stój jak głupi. Zdecyduj się na coś. No, jazda, idź do nich.

Drzwi do pokoju Marity były zamknięte, więc zastukał.

Dziewczyny rozmawiały, a kiedy usłyszały jego pukanie, zamilkły.

— Kto tam? — zawołała Marita.

Doszedł go śmiech Katarzyny i jej słowa: — Proszę wejść. Kimkolwiek jesteś, przybyszu.

Marita powiedziała coś do Katarzyny, a ta zawołała: — Wejdźże. Davidzie!

Otworzył drzwi. Dziewczyny leżały w łóżku, bardzo blisko siebie, przykryte pod szyję prześcieradłem.

— Proszę cię bardzo, podejdź bliżej. Czekaliśmy na ciebie — powiedziała Katarzyna.

David patrzył na poważną ciemnowłosą dziewczynę, na roześmianą jasnowłosą. Marita usiłowała mu coś powiedzieć wzrokiem. Katarzyna tylko się śmiała.

— No co, nie wejdiesz?

— Przyszedłem was zapytać, czy nie pojechałybyście do zatoki?

— Ja nie — odparła Katarzyna. — Dziedziczka spała, więc położyłam się obok niej. Prosiła, żebym sobie poszła, bo nie chciała cię zdradzić. W najmniejszej nawet mierze. Może byś się przyłączył do nas, a wtedy obydwie będziemy mogły być ci wierne.

— Nie.

— Proszę cię, Davidzie, jest taki piękny dzień.

— Masz ochotę popływać? — zwrócił się David do Marity.

— Owszem — odparła sponad prześcieradła.

— Cóż z was za purytanie — roześmiała się Katarzyna. — Bądźcież rozsądni. Chodź do łóżka. Davidzie.

— Mam ochotę na kąpiel — oświadczyła Marita. — Wyjdź, Davidzie.

— Dlaczego wstydzisz się swojej nagości? Przecież on widuje cię nagą na plaży.

— Więc mnie zaraz zobaczy — powiedziała Marita. — Proszę cię jeszcze raz. Davidzie, wyjdź.

David wyszedł i nie odwracając się zamknął za sobą drzwi. Słyszał szept Marity i śmiech Katarzyny. Idąc po gładkich płytach chodnika obszedł hotel i spojrzał na morze. Wiała lekka bryza, w dali widać było trzy francuskie kontrtorpedowce i jeden krążownik, ciemne, czyste w rysunku, odcinające się ostro od błękitu morza. Płynęły w szyku bojowym wykonując widać ściśle określone zadanie. Sądząc po rozmiarach można by uważać, że to makiety, ale tylko do chwili, kiedy któryś z nich przyspieszał zmieniając szyk i pozostawiając za sobą biały ślad. David przyglądał im się, aż podeszły do niego dziewczyny.

— Nic bądź zły — zwróciła się do niego Katarzyna.

Były w plażowych strojach. Katarzyna położyła na żelazne krzeselko worek z ręcznikami i płaszcami kąpielowymi.

— Więc idziesz z nami? — zwrócił się do Katarzyny.

— Jeżeli się na mnie nie gniewasz.

David nie odpowiedział i nadal przyglądał się okrętom, które teraz zmieniały kurs. Jeden z krążowników wyłamał się z szyku, skręcił w lewo pod ostrym kątem tak, że uformowała się dokoła niego biała linia wzburzonej piany. Czarna chmura dymu wyłoniła się z jego komina i ciągnęła się za nim rozszerzającym się lewoskrętnym pióropuszem.

— To był przecież żart — uśmiechnęła się Katarzyna. — Ty i ja zawsze robiliśmy dobre, ale dosyć ryzykowne żarty.

— Co się tam dzieje, Davidzie? — zapytała Marita.

— Myślę, że to są ćwiczenia przeciw łodziom podwodnym. Są prawdopodobnie zanurzone. Może przypląnęły z Tulu. —

— Widziałam je kilka dni temu w Sainte Maxime i w Saint Raphael — powiedziała Katarzyna.



— Robią zasłonę dymną — zauważył David. — Jest tam z pewnością jeszcze kilka okrętów, których nie widać.

— A oto samoloty! — krzyknęła Marita. — Jak pięknie wyglądają.

Były to trzy małe zgrabne hydroplany, które wyłoniły się zza cypla i leciały nisko nad wodą.

— Kiedy byliśmy tu na początku lata, przeprowadzali ćwiczenia dział okrętowych w okolicy wysp Porquerrolles. To było wspaniałe widowisko — powiedziała Katarzyna. — Szyby okienne aż od tego drżały. Czy myślisz, że oni teraz też będą puszczali bomby głębinowe, Davidzie?

— Nie wiem, ale chyba nie, jeżeli są tam naprawdę łodzie podwodne.

— Pozwól mi z wami popływać, Davidzie — odezwała się Katarzyna. — Niedługo wyjeżdżam i będziecie sobie pływali sami, ile tylko zechcecie.

— Przecież już cię zaprosiłem.

— No tak, zrobiłeś to. Jedźmy więc i przestańmy się dąsać. Bądźmy przyjaciółmi. Jeżeli nadlecą samoloty, to lotnicy będą się mogli nam przyglądać z całkiem bliska. To im powinno sprawić przyjemność.

Gdy David i Marita pływali w sporej odległości od brzegu, a Katarzyna wygrzewała się na plaży, samoloty rzeczywiście podleciały dość nisko. Zjawily się błyskawicznie, trzy eszelony po trzy maszyny w każdej. Warkot wielkich silników rozległ się nagle tuż nad ich głowami, cichnąc powoli w miarę, jak oddalały się w stronę Sainte Maxime.

David i Marita wyszli z wody i przykucnęli na piasku obok Katarzyny.

— Nawet na mnie nie spojrzeli — oświadczyła Katarzyna. — To muszą być bardzo stateczni chłopcy.

— A czegoś się spodziewała? Fotografowania z lotu ptaka? — zapytał ją David.

Marita prawie nic nie mówiła od momentu, kiedy opuścili hotel, do tej rozmowy też się nie włączyła.

— Jak było miło, kiedy David żył tylko ze mną — powiedziała nagle Katarzyna do Marity. — Pamiętam, że podobało mi się wszystko, co robił. Musisz się postarać, Dziedziczko, żeby tobie też podobało się wszystko, co on robi. To znaczy, jeżeli mu jeszcze pozostało coś do zrobienia.

— Pozostało ci jeszcze coś, Davidzie? — zapytała Marita.

— Opisał wszystko w tych swoich opowiadaniach — stwierdziła Katarzyna. — A miał dużo do opowiedzenia. Mam nadzieję, Dziedziczko, że podobają ci się.

— Podobają — odparła Marita nie patrząc na Davida. Za to on patrzył na nią, zachwycając się jej poważną opaloną twarzą, jej mokrymi od morskiej wody włosami, jej wspaniałą gładką skórą, jej smukłym ciałem.

— To dobrze — stwierdziła Katarzyna, przeciągnęła się leniwie, westchnęła głęboko i wtuliła się cała we wciąż jeszcze rozgrzany popołudniowym słońcem leżący na piasku płaszcz kąpielowy. — Bo widzę, że teraz czekają nas już wyłącznie opowiadanka. Kiedyś miał tyle różnych zainteresowań, tak pięknie wszystko robił. I miał cudowne życie, a teraz myśli wyłącznie o Afryce, o ojcu pijaku i swoich wycinkach prasowych. O tych idiotycznych wycinkach. Czy on ci je już pokazał, Dziedziczko?

— Nie, Katarzyno.

— Na pewno to zrobi. Raz próbował mi je wcisnąć w Grau du Roi, ale nie dopuściłam do tego. Miał ich całe setki i na każdym było jego zdjęcie, zawsze jedno i to samo. To gorsze niż obnoszenie się z pornograficznymi pocztówkami. Naprawdę. Jestem pewna, że czyta je na osobności i zdradza mnie z nimi. Pewnie w koszu na papiery. Zawsze ma obok biurka kosz na papiery. Sam mówił, że to najważniejszy przedmiot dla pisarza.

— Chodź do wody, Katarzyno! — zawołała Marita. — Zrobiło mi się zimno.

— Mówię ci, najważniejsza rzecz dla pisarza to kosz na papiery — powtórzyła Katarzyna. — Zamierzałam kupić mu najpiękniejszy, jaki istnieje, taki, który byłby go wart. Ale zauważyłam, że on nigdy nic z tego, co pisze, nie wyrzuca. Używa takich śmiesznych brulionów uczniowskich i nic nigdy nie wyrzuca. Czasami coś przekreśla i bazgrze na marginesie. To wszystko razem pachnie mi oszustwem. Poza tym robi błędy gramatyczne i ortograficzne. Czy ty wiesz, Marito, że on w ogóle nie zna gramatyki?

— Biedny David — odezwała się Marita.

— Z francuskim jest jeszcze gorzej — ciągnęła Katarzyna. — On nawet nie próbuje pisać po francusku. Z konwersacją daje sobie jakoś radę. Blefuje. I to nawet dość zabawnie. Ale w gruncie rzeczy jest analfabetą.

— To okropne — mruknął David.

— Myślałam, że jest wspaniały, dopóki nie przekonałam się, że on nie potrafi bezbłędnie napisać nawet głupiego liściku. Będiesz to teraz mogła robić za niego.

— *Ta gueule*<sup>20</sup> — rzucił David z uśmiechem.

— On jest mocny w takich powiedzonkach — powiedziała Katarzyna. — Szybko się ich uczy, ale niestety, zanim się człowiek obejrzy, przestają być modne. Mówi dość potocznym francuskim, ale pisać nie potrafi. Jest naprawdę analfabetą, Marito, musisz to sobie uświadomić. Ma też straszny charakter pisma. W żadnym języku nie mówi ani nie pisze jak dżentelmen. Szczególnie we własnym.

— Biedny David — powtórzyła Marita.

— Nie mogę powiedzieć, że poświęciłam mu najlepsze lata mojego życia — ciągnęła Katarzyna. — W końcu żyję z nim dopiero od marca. Jeżeli się nie mylę. Powiedzmy więc, że oddałam mu najlepsze miesiące mojego życia. Tyle że były najweselsze ze wszystkich, jakie przeżyłam, i muszę przyznać, że wyłącznie dzięki niemu. Szkoda, że zakończyły się całkowitym rozczarowaniem. Ale co robić, jeżeli się odkrywa, że partner jest kompletnym analfabetą i w samotności uprawia rozpustę z wycinkami firmy Original Romeike czy jak jej tam. Każda inna dziewczyna też byłaby rozczarowana, a ja na pewno nie zamierzam ciągnąć tego dalej.

— Weź wycinki i spal je — zaproponował David. — To będzie najlepsze wyjście. A teraz chodź z nami popływać, Diablico.

Katarzyna spojrzała na niego spode łba.

— Skąd wiesz, że to zrobiłam. — zapytała.

— Że co zrobiłaś?

— Że je spaliłam.

— Naprawdę?! — krzyknęła Marita.

— Oczywiście — odparła Katarzyna.

David stał i patrzył na nią w skupieniu. Ziała przed nim beznadziejna pustka. Miał uczucie, jakie ogarnia człowieka jadącego samochodem górską drogą, gdy wyjeżdża z zakrętu i widzi, że droga się skończyła, a przed nim jest przepaść. Marita także wstała. Katarzyna przyglądała im się z nieruchomą twarzą.

— Chodźmy do wody — zażądała Marita. — Wypłyniemy tylko do cypla i wrócimy.

— Ciesz się, że nareszcie coś zaproponowałaś — powiedziała Katarzyna. — Od dłuższego czasu czekam na tę propozycję. Zaczyna się robić chłodno. Nie zapominajmy, że to już wrzesień.

---

<sup>20</sup> *Ta gueule* (fran.) — zamknij się.

## ***Rozdział dwudziesty szósty***

Ubrali się na plaży i poszli stromą ścieżką do sosnowego lasu, w którym pozostawili samochód. David niósł worek z ręcznikami i płaszczami kąpielowymi. Wsiedli do wozu i z Davidem za kierownicą pojechali do hotelu przez skąpany w promieniach zachodzącego słońca krajobraz. Katarzyna milczała. Można ich było wziąć za trójkę przyjaciół powracających z jednej z mało uczęszczanych plaż Estérelu po spędzonym tam popołudniu. Gdy zajechali przed hotel i spojrzeli z góry na morze, okazało się, że okręty wojenne odpłynęły, woda była spokojna i błękitna, a wieczór tego dnia równie piękny i bezchmurny jak przedpołudnie.

Weszli do hotelu głównym wejściem i David zaniósł worek z rzeczami do szatni.

— Daj mi to — zażądała Katarzyna. — Trzeba wszystko wywiesić do suszenia.

— Przepraszam — odparł David, obrócił się i poszedł do swojego pokoju pracy. Otworzył dużą walizkę od Vuittona. Bruliony z opowiadaniem, które położył na samym wierzchu, znikły. Podobnie jak cztery grube koperty z wycinkami, przesłane mu przez bank. Bruliony z kroniką były na miejscu. Zamknął walizkę na klucz, przeszukał wszystkie szuflady komody, potem cały pokój. Nic chciało mu się wierzyć, że został okradziony. Nic wyobrażał sobie, że Katarzyna może być zdolna do czegoś takiego. Leżąc na plaży myślał nawet o takiej możliwości, ale doszedł do wniosku, że to wykluczone, i odrzucił tę myśl. Wszyscy troje zachowywali się spokojnie i z dużą dozą ostrożności, tak jak czyni się zazwyczaj w obliczu zagrożenia albo w czasie katastrofy, jednakże trudno było sobie wyobrazić, że podobna rzecz mogłaby się rzeczywiście zdarzyć.

Teraz wiedział już na pewno, że się zdarzyła, ale jeszcze próbował sobie wmówić, że to tylko koszmarny żart. Przerażony, z bijącym sercem ponownie otworzył walizkę, przeszukał ją, zamknął i znowu przetrząsnął pokój.

Teraz nie było już mowy o zagrożeniu czy katastrofie, była już tylko pełna groza. Ale to przecież niemożliwe. Ukryła je. Może znajda się w przechowalni bagażu albo w ich sypialni, może schowała je w pokoju Marity. Na pewno nie odważyła się ich zniszczyć. Nikt nie potrafiłby zrobić tego drugiemu człowiekowi. Nie mógł uwierzyć w taką możliwość. Mdlilo go na samą myśl o czymś podobnym. Wyszedł zamykając za sobą drzwi na klucz.

Kiedy wszedł do baru, zastał w nim obydwie dziewczyny. Marita, patrząc na niego, od razu zorientowała się, co się stało, Katarzyna przyglądała mu się w lustrze. Nie patrzyła wprost na niego, lecz na jego lustrzane odbicie.

— Gdzie je schowałaś, Diablico? — zapytał ją David.

Odwróciła wzrok od lustra.

— Nie powiem ci. Zabezpieczyłam ich.

— Powiedz mi, gdzie są. Bardzo mi są potrzebne.

— Nonsens. Były okropne, nienawidziłam ich.

— Przecież podobało ci się to o Kibo. Mówiłaś, że kochasz tego psa. Czyżbyś zapomniała?

— On też musiał zniknąć. Zamierzałam wyciąć go i schować sobie na pamiątkę, ale nie mogłam go znaleźć. A w ogóle to mówiłaś, że zdechł.

David zauważył, że Marita to patrzy na Katarzynę, to odwraca od niej wzrok, to znowu na nią patrzy.

— Gdzie je spaliłaś, Katarzyno? — zapytała.

— Tobie nic nie powiem — odparła Katarzyna. — Ty też jesteś w to zamieszana.

— Czy spaliłaś je razem z wycinkami? — zapytał David.

— Nie będę nic mówiła. Zachowujesz się wobec mnie jak policjant albo jak nauczyciel.

— Powiedz mi, Diablico, muszę to wiedzieć.

— Zapłaciłam za nie. Zapłaciłam żywą gotówką.

— Wiem — powiedział David. — Byłaś bardzo hojna. Gdzie je spaliłaś?

— Jej nie powiem.

— To powiedz mnie.

— Każ jej odejść.

— I tak muszę iść — powiedziała Marita. — Zobaczmy się później, Katarzyno.

— Doskonale — odparła Katarzyna. — To nie twoja wina, Marito.

David usiadł na wysokim stołku obok Katarzyny, która w lustrze śledziła sylwetkę wychodzącej z baru Marity.

— Gdzie je spaliłaś, Diablico? Teraz możesz mi powiedzieć.

— Ona by tego nie zrozumiała. Dlatego chciałam, żeby sobie poszła.

— Naturalnie. Mów, gdzie je spaliłaś?

— W żelaznym bębnie z dziurami, tym, w którym Madame pali śmieci.

— Czy wszystko się spaliło?

— Tak, nalałam benzynę z kanistra, który stał w garażu. Wybuchł duży ogień i wszystko spłonęło. Zrobiłam to dla ciebie, dla nas wszystkich.

— Naturalnie. Czy na pewno wszystko spłonęło?

— O tak. Możemy tam pójść i zobaczyć, ale to nie ma sensu. Papier zrobił się zupełnie czarny, poruszałam go patykiem i rozpadł się na popiół.

— Pójdę i zobaczę.

— Ale wrócisz?

— Naturalnie.

Palenie jego brulionów odbyło się w metalowym pojemniku, w którym mieściło się niegdyś 250 litrów benzyny, a w którym wybito kilkanaście dziur. Patyk, którym Katarzyna poruszyła popiół, okazał się kijem od szczotki z przyczernionym świeżo końcem i zapewne już przedtem był używany do tego celu. Kanister znajdował się w kamiennej szopie i był pusty. David zauważył w głębi pojemnika kilka nie dopalonych kawałków kartonu, pozostałość zielonych okładek brulionów, strzępy gazety i dwa nadpalone kawałeczki różowego papieru listowego, używanego przez agencję wycinkową Romeike. Na jednym widniała nawet nazwa miejscowości Providence i skrót nazwy stanu Rhode Island, RI, z którego listy zostały nadane. Popiół był dobrze wymieszany, ale gdyby David zadał sobie trud cierpliwego przeszukania go, znalazłby z pewnością jeszcze jakieś nie dopalone strzępy papieru. Podarł strzęp różowego papieru z nadrukiem Providence RI na drobne kawałeczki, odniósł kij od szczotki do szopy, gdzie zauważył stojący w kącie swój rower, którego opony najwyraźniej wymagały napompowania, i przez pustą kuchnię hotelową poszedł do salonu, gdzie przyłączył się do siedzącej przy barze swojej żony Katarzyny.

— No co, było tak, jak mówiłam? — zapytała.

— Tak — odparł, usiadł na wysokim stołku i wparł się łokciami w blat.

— Może wystarczyłoby spalić wycinki — zauważyła Katarzyna — ale pomyślałam sobie, że lepiej zrobić porządek ze wszystkim.

— I zrobiłaś to, nie ma co.

— Teraz możesz się znowu spokojnie zabrać do kroniki bez żadnych dystrakcji. Mógłbyś zacząć jutro rano.

— Pewnie.

— Cieszę się, że zachowujesz się tak rozsądnie — pochwaliła go Katarzyna. — Nie masz na pewno pojęcia, jakie marne były te opowiadania.

— Dlaczego nie uratowałaś chociażby tego o Kibo? Mówiłaś, że ci się podoba.

— Nie mogłam go znaleźć. Ale gdybyś chciał je odtworzyć, mogę ci je podyktować. Słowo w słowo.

— To byłaby dobra zabawa.

— Na pewno. Chcesz spróbować. Mogę zaraz zacząć. W tej chwili, jeżeli masz ochotę.

— Nie. Nie teraz. Napisz je.

— Nie umiem pisać. Dobrze o tym wiesz. Ale mogę ci je opowiedzieć.

Pozostałe były zupełnie bezwartościowe. Chyba sam to rozumiesz.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Dla ciebie. Pojedziesz sobie do Afryki i napiszesz je jeszcze raz.

Jak będziesz miał dojrzalszy pogląd na te sprawy. Krajobraz tam na pewno niewiele się zmienił. Wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyś zamiast tego napisał coś o Hiszpanii. Sam mówiłeś, że tamtejszy krajobraz jest bardzo podobny do afrykańskiego, a do tego miałbyś do czynienia z cywilizowanym językiem.

David nalał sobie trochę whisky, zdjął kapsel z butelki Perriera i napełnił szklankę. Przypomniało mu się, że gdy jechali z Katarzyną do Aigues Mortes, mijali rozlewnię Perriera i jak...

— Nie mówmy już o mojej pracy — powiedział do Katarzyny.

— Kiedy ja lubię. Szczególnie, jeżeli to, co mówimy, jest konstruktywne i ma określony cel. Zawsze świetnie pisałeś, że zachciało ci się zabrać do tych opowiadań. Najgorsze w nich to ten brud, te muchy, to okrucieństwo, to bestialstwo. Czytając je miałam wrażenie, że rozkoszujesz się tym wszystkim. Najstraszniejsze było to o masakrze w kraterze i twoim bezlitosnym ojcu.

— Czy nie mogłabyś przestać?

— Przecież już ci mówiłam, że mi to sprawia przyjemność. Chcę, żebyś zdał sobie sprawę, że spalenie ich było absolutnie konieczne.

— Napisz to. Nic mam ochoty tego słuchać.

— Przecież wiesz, że nie potrafię pisać.

— Potrafisz.

— Nie — upierała się Katarzyna. — Mogę je opowiedzieć i niech kto inny je spisze. Gdybyś był przyjacielem, zrobiłbyś to dla mnie. Gdybyś mnie naprawdę kochał, nie odmawiałbyś.

— Mam ochotę na jedną jedyną rzecz — powiedział David. — Zamordować cię. A nie zrobię tego jedynie i wyłącznie dlatego, że jesteś wariatką.

— Nie wolno ci tak do mnie mówić.

— Nie?

— Nie. Nie wolno. Nie wolno. Słyszysz?

— Słyszę.

— No to powtarzam. Nie masz prawa tak do mnie mówić. Takich strasznych rzeczy.

— Słyszę.

— Nie będziesz się do mnie tak odzywał. Nie dopuszczę do tego. Rozwiode się z tobą.

— Sprawiałabyś mi wielką przyjemność.

— W takim razie nigdy nie dam ci rozwodu.

— To też dobrze.

— Zrobię to, na co będę miała ochotę.

— Już to zrobiłaś.

— Zabiję cię.

— Gównu mnie to obchodzi.

— Nawet w takiej chwili jak ta nie potrafisz wyrażać się jak dżentelmen.

— A co w takiej chwili powinien mówić dżentelmen?

— Że mu jest przykro, że żałuje.

— Świetnie. A więc przykro mi. Żałuję, że cię spotkałem. Żałuję, że ożeniłem się z tobą...

— Ja też.

— Zamknij się, dobrze? Opowiesz to komuś, kto to spisze. Poza tym żałuję jeszcze, że twoja matka poznała twego ojca i że cię sfabrykowali. Żałuję, że przyszedł na świat. Że wyrosłaś na dorosłą kobietę. Żałuję wszystkiego, co przeżyliśmy, tego, co dobre, i tego, co złe...

— O nie.



— No już — westchnął. — Skończyłem. Nie zamierzałem wygłaszać przemówienia.

— Jesteś pełen litości nad samym sobą.

— Być może — powiedział David. — Ale po jaką cholere spalilaś moje bruliony. Diablico? Moje opowiadania?

— To było konieczne, Davidzie — powiedziała. — Przykro mi, że tego nie rozumiesz.

On jednak rozumiał wszystko, jeszcze zanim postawił jej to pytanie.

Retoryczne, jak dobrze wiedział. Nie cierpiał retoryki, nie ufał tym, którzy ją stosowali, i teraz wstydził się, że wpadł w tę pułapkę. Powoli popijał swoją whisky z Perrierem i myślał o tym, jakim kłamstwem jest twierdzenie, że wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć, i próbował narzucić sobie ścisłą dyscyplinę, taką samą, jaką stosował w dawnych czasach, wówczas kiedy wraz z mechanikami sprawdzał przed odlotem stan kadłuba i motoru maszyny, i działa pokładowe. Nie było to właściwie konieczne, bo samoloty były starannie przygotowywane do lotów, ale stanowiło to pewien sposób na wyłączenie myślenia, i żeby użyć sentymentalnego określenia, dodające otuchy. Jednakże teraz było to absolutnie konieczne, albowiem mówiąc Katarzynie, że najchętniej by ją zamordował, formułował twierdzenie szczere i bynajmniej nie retoryczne. Wstydził się teraz monologu, jaki zaraz potem wygłosił, i nie mógł już nic poradzić na to, że wymknęła mu się prawda, chociaż powinien był się przecież opanować. Teraz więc przywołał całą swoją siłę woli, by móc się oprzeć na niej, gdyby znowu groziło mu stracenie panowania nad sobą. Dolał do szklanki jeszcze trochę whisky, wypełnił ją Perrierem i przyglądał się bąbelkom, które unosiły się w górę i pękały. Niech ją diabli wezmą, myślał.

— Przykro mi, że się uniosłem — powiedział po chwili. — Oczywiście dobrze cię rozumiem.

— Cieszę się. Jutro rano wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Do Hendaye, a stamtąd do Paryża — gdzie zajmę się znalezieniem ilustratorów dla twojej książki.

— Naprawdę?

— Tak. To mój obowiązek. Zmarnowaliśmy mnóstwo czasu, chociaż dzisiaj odrobiłam już sporą część i zamierzam tak robić dalej.

— Czym pojedziesz?

— Bugattim.

— Nie powinnaś sama prowadzić.

— Kiedy mam ochotę.

— Nie powinnaś, Diablico. Nie mogę się na to zgodzić.

— W takim razie pojedę pociągiem. Do Bayonne. Tam wynajmę samochód.

Tam albo w Biarritz.

— Czy nie moglibyśmy porozmawiać o tym jutro rano?

— Wolę teraz.

— Nie odjeżdżaj, Diablico.

— Chcę. Nie możesz mi tego zabronić.

— Chodzi mi wyłącznie o ciebie.

— Nonsens. Zresztą, jeżeli tak, to dlaczego powstrzymujesz mnie od wyjazdu?

— Zaczekaj trochę i wyjedziemy wszyscy razem.

— Kiedy ja nie chcę jechać z wami. Wyjadę jutro i to Bugattim. Jeżeli mi go nie dasz, pojedę pociągiem. Nie możesz mnie powstrzymać od jazdy pociągiem. Jestem pełnoletnia. To, że jestem również mężatką, nie czyni mnie jeszcze niewolnicą. Wyjeżdżam i nic na to nie poradzisz.

— A wrócisz tu?

— Chyba tak.

— Rozumiem.

— Nic nie rozumiesz, ale jest mi to obojętne. Mam bardzo dokładny i logiczny plan działania. Tych rzeczy nie rzuca się po prostu...

— Do kosza na śmieci — dodał David, przypomniał sobie o dyscyplinie i łyknął szybko whisky. — Czy zamierzasz zobaczyć się w Paryżu ze swoimi adwokatami? — zapytał.

— Jeżeli uznam to za stosowne. Zazwyczaj to robię. To, że ty nie masz adwokata, nie oznacza jeszcze, że inni ludzie nie muszą się spotykać ze swoimi. A może moi adwokaci mogliby coś dla ciebie zrobić?

— W dupie mam twoich adwokatów.

— Czy wystarczy ci pieniędzy?

— Wystarczy.

— Na pewno? A może te opowiadania były dużo warte? Martwi mnie to, bo przecież wiesz, że jestem bardzo sumienna w sprawach finansowych. Zorientuję się, ile straciłeś, i zrekompensuję ci to.

— Może mi łaskawie wyjaśnisz, o czym ty właściwie mówisz?

— Każę je wycenić i wpłacę dwa razy wyższą sumę na twoje konto.

— Cóż za hojność. No, ale ty zawsze byłaś hojna.

— Chcę być tylko sprawiedliwa, Davidzie. Wcale nie wykluczam, że były więcej warte, niż to określą ci, którzy je wycenią.

— A kto to będzie robił?

— Muszą być jacyś specjaliści. Każdą rzecz da się wycenić.

— Co to za ludzie?

— Pojęcia nie mam. Ale wyobrażam sobie, że można by się zwrócić na przykład do redaktora naczelnego „Atlantic Monthly”, „Harper’s” czy „La Nouvelle Revue Française”.

— Wychodzę na chwilę — oświadczył David. — Powiedz mi tylko, jak się czujesz?

— Poza tym, że obawiam się, że pewnie zrobiłam ci krzywdę, i myślę o tym, jak ci ją wynagrodzić, czuję się doskonale. Jadę do Paryża między innymi po to, żeby to załatwić. Nie chciałam o tym mówić, ale mnie zmusiłeś.

— Zostawmy już ten temat, dobrze? Więc zamierzasz pojechać pociągiem?

— Nie, zamierzam pojechać Bugattim.

— Doskonale. Weź go. Ale prowadź ostrożnie i nie wyprzedzaj pod górę.

— Będę prowadziła tak, jak mnie uczyłeś, będę sobie wyobrażała, że siedzisz obok mnie i będę przez cały czas mówiła do ciebie, opowiadała ci różne historyjki, głównie o tym, jak uratowałeś mi życie. Często wymyślasz sobie takie opowiadki. Jeżeli będę cię czuła przy sobie, podróż wyda mi się krótsza, na pewno w ogóle się nie zmęczę i nawet nie poczuję tempa jazdy. Z góry się na to cieszę.

— Doskonale. Pamiętaj, żeby się nie przemęczać. Przenocuj w Nimes, chyba że wyjedziesz bardzo wcześnie. W hotelu Imperator znajdą nas.

— Chciałabym dojechać do Carcassonne.

— Nie. Diablico, to za daleko.

— Jak wyruszę o świcie, to z łatwością tam dotrę. Pojadę na Arles i Montpellier, żeby nie tracić czasu na przejazd przez Nimes.

— Gdybyś wyjechała trochę później, to zatrzymaj się w Nimes.

— Ależ to bez sensu.

— Pojadę z tobą. Nie mogę cię puścić samej.

— Nie, bardzo cię o to proszę. Muszę to zrobić sama. To dla mnie bardzo ważne. Naprawdę. Nie chcę, żebyś jechał ze mną.

— Rozumiem, ale to jest mój obowiązek.

— Daj spokój. Miej do mnie zaufanie. Będę bardzo ostrożna. Pojadę bez zatrzymania do samego Paryża.

— To wykluczone. Diablico. Nie zapominaj, że teraz robi się wcześniej ciemno.

— Nie martw się o mnie. Jak to ładnie, że pozwalasz mi wziąć samochód. Ale ty zawsze byłeś dla mnie dobry. Jeżeli zrobiłam ci przykrość, to na pewno mi wybaczysz. Tak mi będzie ciebie brak. Już za tobą tęsknię. Następnym razem pojedziemy razem.

— Miałaś ciężki dzień — powiedział David. — Jesteś zmęczona. Pozwól przynajmniej, że przejadę się Bugattim do miasta i każę mu zrobić szybki przegląd.

Zatrzymał się pod drzwiami Marity i zapytał: — Czy chcesz się ze mną trochę przejechać?

— Tak — odparła.

— No to chodź.

## **Rozdział dwudziesty siódmy**

David siadł za kierownicą i z Maritą u boku wyjechał na nadmorską, stale przysypywaną piaskiem drogę, zdjął nogę z gazu i nie zwiększał szybkości, by móc spokojnie przyglądać się rosnącym po lewej stronie wysokim papirusom, a na prawo pustej plaży i morzu, aż oczom jego ukazała się czarna asfaltowa szosa. Pojechał nią, w pewnym momencie zobaczył malowany na biało most, stwierdził, że jedzie za szybko, i oceniając odległość zdjął nogę z gazu i począł łagodnie i rytmicznie naciskać hamulec. Samochód szedł równo, zwalniał za każdym naciśnięciem, nie znosiło go na bok, dobrze trzymał się szosy. Tuż przed mostem David zatrzymał się, zmienił bieg i już szybkim, równomiernym tempem pojechał szosą nr 6 prosto do Cannes.

— Wszystko spaliła — powiedział nagle do Marity.

— O Boże.

Wjechali do Cannes, gdzie płonęły już uliczne latarnie, i David zatrzymał samochód pod kępą drzew, tuż przed kawiarnią, w której spotkali się po raz pierwszy.

— Czy nie wolałbyś pójść gdzie indziej? — zapytała Marita.

— Wszystko mi jedno. Zresztą, co za różnica?

— A może wolałbyś się po prostu przejechać? — zaproponowała.

— Nie, chciałbym przede wszystkim trochę ochłonąć. Jechałem tak eksperymentalnie dlatego, żeby się przekonać, czy samochód jest sprawny i czy nadaje się do jazdy dla niej.

— A więc Katarzyna odjeżdża?

— Tak twierdzi.

Siedzieli przy stoliku na tarasie, nakrapianym cieniami liści kołyszących się drzew. Kelner przyniósł Maricie kieliszek sherry Tio Pepe, a Davidowi whisky z Perrierem.

— Czy chcesz, żebym z nią pojechała?

— Czyżbyś się bała, że przytrafi jej się coś złego?

— Nie, skądże. Na razie zrobiła chyba wystarczającą ilość szkód.

— Może — odparł David. — Spaliła każdą pieprzoną stroniczkę wszystkiego, co napisałem, z wyjątkiem kroniki. To znaczy z wyjątkiem tego, co pisałem o niej.

— Wspaniała jest ta kronika.

— Nie podbijaj mi bębena. Nie potrzebuję pochwał.

— Czy nie mógłbyś odtworzyć opowiadań?

— Nie — odparł. — To, co jest dobre, jest niepowtarzalne. Wyparowuje z pamięci. Potem, ilekroć to czytasz, spotyka cię wielka, niewiarygodna niespodzianka. Nie chce ci się wierzyć, że to ty pisałeś. Jak coś za pierwszym razem ci wyjdzie, to nie da się napisać po raz drugi. Raz a dobrze, na tym to wszystko polega. Zresztą każdy pisarz ma określony przydział. Musi mu starczyć na całe życie.

— Przydział czego?

— Przydział dobrych utworów.

— Na pewno je jeszcze pamiętasz.

— Ani ja, ani ty, ani nikt ich nie pamięta. Wyparowały. Udały mi się, więc zniknęły.

— Zrobiła ci krzywdę.

— Nie.

— Więc co?

— Spieszyła się — odparł David. — Wszystko, co się dzisiaj działo, stało się z powodu pośpiechu.

— Mam nadzieję, że dla mnie będziesz równie wyrozumiała.

— Musisz teraz już tylko pilnować, żebym jej nie zamordował. Wiesz, co ona chce zrobić? Zapłacić mi za spalone opowiadania, żebym nie był stratny.

— Nie.

— O tak. Każe je wycenić przez swoich adwokatów w jakiś fantastyczny, najbardziej idiotyczny sposób, a potem wypłaci mi dwukrotną stawkę.

— Daj spokój, Davidzie, na pewno źle ją zrozumiałeś.

— A jednak to powiedziała i wiesz co, ma to nawet pozory logiki. Musi jeszcze tylko dopracować szczegóły, poza tym podwojenie stawki da jej poczucie hojności, a to sprawi jej przyjemność.

— Nie wolno jej prowadzić samochodu. Nie możesz do tego dopuścić.

— Wiem.

— Co zamierzasz zrobić?

— Jeszcze się zastanawiam. Posiedźmy chwilę. Nie ma powodu do pośpiechu. Myślę, że jest zmęczona i już na pewno śpi. Chętnie bym się także przespał i to z tobą. Może gdy się obudzę, okaże się, że to był tylko sen, że nic nie zostało spalone i będę się mógł znowu zabrać do pracy.

— Będziemy spali i któregoś ranka obudzisz się i zaczniesz pracować równie wspaniale jak dziś.

— Dobra z ciebie dziewczyna — powiedział David. — Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że wpakowałaś się w okropną kabałę, kiedy podeszłaś tu do nas tamtego wieczoru.

— Nie strasz mnie. Doskonale wiem, w co się wpakowałam.

— Pewnie. Oboje to wiemy. Czy napijesz się jeszcze czegoś?

— Jeżeli ty się napijesz — odparła Marita. — Ale wiesz, nie miałam pojęcia, że będę musiała brać udział w walce.

— Ja też nie.

— W twoim przypadku jest to tylko walka z czasem.

— Ale nie z czasem Katarzyny.

— Wiem, że ona żyje w innym czasie. Czas ją przeraża. Sam przed chwilą powiedziałeś, że to wszystko stało się z powodu pośpiechu. Jest to stwierdzenie fałszywe, chociaż interesujące. Ale pomyśl, jak długo zwyciężałeś w walce z czasem.

Po chwili David wezwał kelnera, zapłacił rachunek, zostawił mu duży napiwek i dopiero gdy wsiedli do samochodu, zapalił motor, światła i zwolnił hamulec, świadomość tego, co mu się dzisiaj przytrafiło, uderzyła go znowu z pełną siłą. Uświadomił sobie tę klęskę równie dojmująco i jasno jak wtedy, gdy zajrzawszy do żelaznego pojemnika na śmieci zobaczył rozgrzebany kijem od szczotki popiół. Jechał w świetle własnych reflektorów wolno i ostrożnie przez opustoszałe wieczorne ulice miasta, a potem wzdłuż portu i minąwszy go wjechał na szosę. Czuł obok siebie ciepło ramienia Marity i usłyszał jej głos:

— Wszystko rozumiem. Davidzie — powiedziała. — Mnie to też bardzo dotknęło.

— Nie trzeba się poddawać.

— Jestem zadowolona, że przeżywam to tak samo jak ty. Wiem, że nic nie można zrobić, ale zrobimy to.

— Dobrze.

— Naprawdę to zrobimy. *Toi et moi.*

## ***Rozdział dwudziesty ósmy***

Kiedy David i Marita znaleźli się w jadalni. Madame wyszła do nich z kuchni. W rękę trzymała list.

— Madame pojechała pociągiem do Biarritz — oświadczyła. — Pozostawiła ten list dla Monsieur.

— Kiedy? — zapytał David.

— Natychmiast po odjeździe Monsieur i Madame. Wysłała kelnera na dworzec po bilet i po miejsce w *wagon-lit*.

David zabrał się do czytania listu.

— Na co mielibyście państwo ochotę? — zapytała Madame Aurol. — Jest zimna kura i sałata. Może omlet na początek? Mam też trochę pieczeni baraniej, gdyby Monsieur sobie życzył. A pani, Madame?

Marita i Madame Aurol rozmawiały, podczas gdy David czytał list. Gdy skończył, wsunął go do kieszeni i spojrzał na Madame Aurol.

— Czy robiła wrażenie zdenerwowanej, kiedy odjeżdżała? — zapytał.

— Może trochę.

— Ona wróci — oświadczył David.

— Na pewno. Monsieur.

— Zaopiekujemy się nią jak należy.

— Oczywiście, Monsieur — powtórzyła Madame Aurol. Podczas gdy ostrożnie przewracała omlet na patelni, lzy pojawiły się na jej policzkach.

David objął ją i pocałował.

— Niech pan lepiej idzie i porozmawia z Madame — powiedziała. — Ja tymczasem nakryję do stołu. Aurol i nasz kelner pojechali do La Napoule na trochę *bellotte* i polityki.

— Ja nakryję — zaoferowała się Marita. — Otwórz wino, Davidzie, dobrze? Napiłbyś się Lansoną?

David zamknął drzwiczki lodówki i trzymając w jednej ręce zimną butelkę, drugą odwinął z niej wosk, obluzował drucik, a potem bardzo ostrożnie trzymając korek pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym poruszał go, podważał i z przyjemnością przytulał do siebie długą, zimną, krągłą — jakże obiecującą butelkę. Wreszcie udało mu się wyciągnąć korek i napełnił trzy kieliszki. Madame odeszła na chwilę od kuchni i wszyscy troje unieśli kieliszki. David nie miał pomysłu na toast, więc wygłosił pierwsze słowa, jakie przyszły mu na myśl:

— *A nous et à la liberté.*<sup>21</sup>

Wszyscy troje napili się. Madame podała omlet do stołu i znowu się napili, już bez toastu.

— Jedz, Davidzie, proszę cię — poprosiła Marita.

— Dobrze — odparł i bez pośpiechu zabrał się do omletu popijając od czasu do czasu szampanem.

— Zjedz chociaż troszeczkę, to ci dobrze zrobi — namawiała go Marita.

---

<sup>21</sup> *A nous et à la liberté.* (fran.) — za nas i za wolność.



Madame spojrzała na nią i potrząsnęła głową.

— Co komu z tego przyjdzie, jak Monsieur się zagłodzi — oświadczyła.

— Oczywiście — zgodził się David, jadł powoli i dolewał sobie szampana, który za każdym razem zdawał się na nowo ożywać.

— Gdzie zostawiła samochód? — zapytał po chwili.

— Przed dworcem — odparła Madame. — Nasz kelner pojechał z nią i wrócił z kluczykiem. Położyłam go w pana pokoju.

— Chyba dużo było ludzi w *wagon-lit*?

— Nie. Niewiele. Na pewno dostała dobre miejsce.

— To nie jest zły pociąg — zauważył David.

— Proszę zjeść trochę kury i skończyć tę butelkę. Otworzymy drugą.

Kobiety Monsieur mają zawsze pragnienie.

— Nie ja — powiedziała Marita.

— O tak, pani też! — krzyknęła Madame Aurol. — Skończcie już tę butelkę i zabierzcie drugą do pokoju. Ja znam Monsieur. Szampan dobrze mu robi.

— Wolę dziś nie pić za dużo, *chérie* — uśmiechnął się David do Madame. — Jutro jest też niedobry dzień i nie chciałbym na dodatek mieć kaca.

— Nie będzie pan miał kaca. Znam pana. Tylko trzeba jeść. Proszę to zrobić dla mnie.

Po chwili odeszła i gdy po kwadransie wróciła, okazało się, że David zjadł całą porcję kury i sałaty. Wszyscy troje napili się jeszcze po kieliszku, a potem David i Marita życzyli Madame, która znowu zachowywała się bardzo oficjalnie, dobrej nocy i wyszli na taras, żeby popatrzeć na gwiazdy. Spieszyło im się, David niósł otwartą butelkę szampana w kubelku z lodem. Odstawił ją na parapet, wziął Maritę w ramiona i całował.

Obejmowali się ciasno, po chwili David zabrał kieliszek z szampanem i wraz z Marita poszedł do jej pokoju.

Łóżko było posłane dla dwóch osób. David postawił kieliszek na podłogę.

— Madame — powiedział tylko.

— Tak — odparła Marita. — Oczywiście.

Leżeli obok siebie, przez okno wdzierała się lekka, orzeźwiająca bryza, noc była chłodna i dziwnie przezroczysta.

— Kocham cię, Davidzie — szepnęła Marita. — Jestem tego już pewna.

Pewna, pomyślał David, ona jest pewna, nic nie jest pewne.

— Przez ostatnie dni, kiedy nie mogłam być z tobą, przez całą noc wciąż rozmyślałam i rozmyślałam, i bałam się, że nie zechcesz mieć żony, która cierpi na bezsenność.

— A jaką ty będziesz żoną?

— Zobaczysz. Na razie szczęśliwą.

Zdawało mu się, że bardzo długo nie zasypia, ale w rzeczywistości usnął szybko, a kiedy obudził się z pierwszym brzaskiem, zobaczył leżącą obok Maritę i poczuł radość, ale tylko przez chwilę, dopóki nie uświadomił sobie tego, co się stało. Próbował jej nie obudzić, ale gdy tylko się poruszyła, pocałował ją. Uśmiechnęła się i szepnęła; — Dzień dobry, Davidzie.

— Śpij jeszcze, kochanie.

— Dobrze — wymamrotała, zwinęła się w kłębek jak małe zwierzątko i leżała tak, ciemnowłosa, z opuszczonymi powiekami, a jej długie, ciemne, błyszczące rzęsy odcinały się pięknie od opalenizny jej zaróżowionych porannym światłem gładkich policzków. Patrząc na nią David myślał o tym, jaka jest śliczna, i o tym, że nawet gdy śpi, widać, że odwaga jej nie opuszcza. Była bardzo piękna. Koloryt i niezwykła gładkość jej skóry upodobały ją do dziewcząt z Jawy. W miarę jak światło stawało się silniejsze, policzki jej nabierały ciemniejszej barwy. Wreszcie potrząsnął głową, wziął pod pachę zawiniątko z odzieżą, otworzył, po czym zamknął za sobą drzwi i wyszedł na spotkanie nowego poranka, boso po zwilżonych rosą płytach chodnika.

Poszedł do swojej sypialni, wziął prysznic, ogolił się, nałożył czystą koszulę i szorty, rozejrzał się po pokoju, w którym po raz pierwszy w życiu znajdował się sam, bez Katarzyny, poszedł do kuchni, znalazł puszkę konserwy *Maquereaux Vin Blanc Capitaine Cook*, otworzył ją i bacząc, by nie rozlać sosu, zaniósł wraz z butelką Tuborga do salonu.

Otworzył piwo i trzymając kapsel pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, zginał i ścisnął go, aż stał się całkiem płaski a nie widząc pojemnika na śmieci wsunął go do kieszeni. Chwycił wciąż zimną i zroszoną butelkę i wdychając aromat marynowanej i dobrze przyprawionej makreli pociągnął długi łyk, odstawił butelkę na blat baru, po czym wyjął z bocznej kieszeni spodni list Katarzyny rozłożył go i zaczął czytać.

*Davidzie, zrozumiałam nagle, że sam na pewno wiesz, jakie to wszystko dla mnie straszne. Gorsze niż przejechanie człowieka, gorsze niż przejechanie dziecka. Zderzak stuka w coś twardego, mały wstrząs od czegoś leżącego na szosie i zaraz to wszystko, co zawsze potem następuje: zbiegowisko, wrzeszczący tłum. Francuzki krzyżące écraseuse<sup>22</sup>, nawet kiedy jest to na pewno wina dziecka. Zrobiłam to, wiem, że to zrobiłam, i wiem, że nic się już nie odwróci. To zbyt okropne, żeby mogło być prawdziwe. Ale stało się.*

*Powiem krótko. Wrócę i załatwię nasze sprawy w możliwie najprostszy sposób. Nie martw się. Będę depešowała i pisała, i zrobię wszystko, co na razie trzeba dla twojej książki, i kiedy ją skończysz, załatwię całą resztę. Opowiadania musiałam spalić. Najtrudniej było upierać się przy tym, że to w porządku, ale tego nie muszę Ci mówić. Nie proszę o przebaczenie, ale błagam Cię, miej się dobrze, a ja zrobię wszystko, co będę mogła.*

*Dziedziczka była dobra dla Ciebie i dla mnie i nie nienawidzę jej.*

*Nie zakończę tego listu tak, jak bym chciała, bo zabrzmiałoby to zbyt fałszywie, powiem tylko, że byłam ostatnio strasznie szorstka, szalenie trudna i właściwie zupełnie niemożliwa, co oboje dobrze wiemy. Kocham Cię i będę Cię zawsze kochała, i przepraszam. Cóż za pusto słowo.*

*Katarzyna.*

Skończył czytać i natychmiast znów zaczął od początku.

Nigdy nie czytał żadnego listu Katarzyny, bo od chwili kiedy poznali się w Paryżu w barze hotelu Grillon aż do dnia, w którym pobrali się w amerykańskim kościele na Avenue Hoche, byli co dzień razem, więc czytając ten pierwszy list stwierdził, że ona wciąż potrafi go rozczulić.

Wsunął list na powrót do tylnej kieszeni spodni i zjadł drugą malutką, tłusciutką makrelę w marynacie z białego wina i skończył zimne piwo. Poszedł do kuchni po kawałek chleba dla zebrania sosu z puszki i po drugą butelkę piwa. Wiedział, że będzie dzisiaj próbował pisać i że mu się to na pewno nie uda. Za dużo przeżył wzruszeń, za dużo odebrał ciosów, wszystkiego było właściwie za dużo, a przenoszenie uczuć z jednej dziewczyny na drugą, chociaż mogło się wydawać słuszne i chociaż upraszczało jego sytuację, było zabiegiem poważnym i gwałtownym i list Katarzyny dodawał mu jeszcze powagi i gwałtowności.

Dobra jest, panie Bourne, mówił bezgłośnie do siebie, opróżniając drugą butelkę, nie trać czasu na rozmyślanie o tym, jak bardzo wszystko ci się pogmatwało, bo to przecież wiesz. Masz trzy wyjścia. Pierwsze to postarać się przypomnieć sobie

---

<sup>22</sup> écraser (fran.) — zgnieść, rozgnieść.

dokładną treść opowiadań i napisać je jeszcze raz. Drugie to napisać całkiem nowe opowiadanie. Trzecie to ciągnąć dalej tę cholerną kronikę. Więc weź się w garść i wybierz najlepsze. Zawsze lubiłeś hazard, szczególnie kiedy mogłeś stawiać na samego siebie. Nigdy nie stawiaj grosza na coś, co potrafi mówić, twierdził często ojciec, a ty dodawałeś, z wyjątkiem siebie. Nie, Davy, na mnie na pewno nie, uśmiechał się wtedy ojciec, ale radzę ci, żebyś postawił kiedyś na samego siebie i to najwyższą stawkę, mój ty mały skurwysynu o kamiennym sercu. Chciał właściwie powiedzieć o lodowatym sercu, ale w ostatniej chwili postanowił być łaskawszy. Małe kłamstwa przychodziły mu łatwo. Zresztą może rzeczywiście tak uważał. Nie daj się tumanić piwu Tuborga.

Wybierz najlepsze wyjście i napisz nowe opowiadanie, najlepiej jak potrafisz. I pamiętaj, że Maritę to też dotknęło, może nawet bardziej niż siebie. No dobrze, niech będzie najwyższa stawka. Pamiętaj, że Katarzyna żałuje tego, co utraciliśmy, nie mniej niż ty.

## ***Rozdział dwudziesty dziewiąty***

Kiedy skończył pisać, było już po południu. Gdy tylko zasiadł do roboty, napisał początek pierwszego zdania, po chwili skończył je i utknął na dobre. Przekreślił te kilka słów, próbował zastąpić je innymi i znów poczuł, że stoi przed pustą ścianą. Miał następne zdanie w głowie, ale nie potrafił przenieść go na papier. Raz jeszcze napisał pierwsze, które było proste i w trybie oznajmującym, i znowu nie potrafił dodać następnego. I tak przez dwie godziny. Pisał po jednym zdaniu i każde następne było prymitywniejsze od poprzedniego i beznadziejnie tępe. Tak spędził kilka godzin, aż uświadomił sobie, że po tym, co się stało, nie pomoże mu nawet największa determinacja. Zrozumiał to, ale nie zaakceptował, i zamknąwszy w walizce brulion z paroma przekreślonymi akapitami, wyszedł z pokoju, żeby poszukać Marity.

Siedziała na tarasie z książką, a gdy podniosła głowę i spojrzała na niego, powiedziała tylko: — Nic?

— Gorzej niż nic.

— Ani trochę?

— Figa.

— Napijmy się czegoś — zaproponowała.

— Świetnie.

Usiedli w salonie, przez którego okna zaglądał słoneczny dzień. Pogoda była równie piękna jak poprzedniego dnia, może nawet lepsza, albowiem lato się skończyło i każda godzina słońca była darem niebios. Nie powinniśmy marnować tego pięknego czasu, pomyślał David. Powinniśmy się nim cieszyć, zabrać go ze sobą na pamiątkę. Zrobił koktajl Martini, napełnił nim kieliszki. Skosztowali go i okazał się zimny i bardzo mocny.

— Dobrze, że pracowałeś przez całe przedpołudnie — powiedziała Marita. — Nie myślmy już dzisiaj o naszych skomplikowanych sprawach.

— Zgoda.

Sięgnął po dzin Gordona, wermut Noilly Prat i dzbanek, wylał z niego wodę po stopniałym lodzie i posługując się swoim pustym kieliszkiem odmierzył składniki i wymieszał je.

— Piękny dzień — powiedział. — Co chciałabyś z nim zrobić?

— Popływajmy, póki jest ciepło.

— Świetnie. Czy powiesz Madamie, że spóźnimy się na obiad?

— Przygotowała coś zimnego — powiedziała Marita. — Byłam pewna, że niezależnie od tego, jak ci pójdzie robota, będziesz chciał popływać.

— Jakaś ty domyślna — zauważył David. — Co słyszeć u Madamie?

— Ma lekko podbite oko.

— Nie.

Marita roześmiała się.

Pojechali drogą przez las, zaparkowali wóz w półcieniu sosen i zabierając ze sobą kosz z jedzeniem i plecak z ręcznikami zeszli na plażę. Od wschodu wiała lekka bryza, gdy wyszli spomiędzy drzew, ujrzeli granatową talię morza. Skały były czerwone, piasek w zatoczce żółty i pomarszczony, a gdy podeszli do samego brzegu, woda nabrała przezroczystości jasnego bursztynu. Położyli plecak i koszyk w cieniu skały, rozebrali się i David wspinał się na stromy brzeg, by stamtąd skoczyć do wody. Stał przez chwilę w słońcu nagi i smagły i patrzył daleko przed siebie.

— Czy skoczysz ze mną? — zawołał.

Marita potrząsnęła głową.

— Zaczekam na ciebie.

— Nie! — krzyknęła, weszła do morza i zatrzymała się, kiedy woda sięgnęła jej do połowy ud.

— Jaka jest? — krzyknął David z góry.

— Chłodniejsza niż kiedykolwiek. Właściwie prawie zimna.

— Doskonale.

Przyglądał się, jak powoli szła coraz dalej w morze, i kiedy woda sięgnęła jej brzucha i dotykała piersi, wyprostował się, stanął na palcach, przez chwilę zdawał się być zawieszony nad przepaścią, aż wreszcie zataczając w powietrzu łuk skoczył. Zamieszała się pod nim woda białą pianą, a gdy wychynął, utworzył się w niej na krótką chwilę lej, zupełnie jak po wyskakującym na powierzchnię delfinie. Marita popłynęła ku białej wirującej pianie i nagle tuż przy niej wyłonił się spod powierzchni David, podniósł ją, przytulił i przyłożył słone usta do jej ust.

— *Elle est bonne, la mer* — powiedział. — *Toi aussi*<sup>23</sup>.

Wyłynęli na głęboką wodę, minęli miejsce, w którym góry schodziły do morza, położyli się na wznak i dryfowali. Woda była zimniejsza niż dotychczas, jedynie na powierzchni lekko nagrzana i Marita leżała z wygiętym kręgosłupem, z głową zanurzoną tak, że wystawał tylko nos, jej opalone piersi to zanurzały się, to wynurzały, podczas gdy lekki wietrzyk marszczył powierzchnię wody. Oczy miała zamknięte, by chronić je przed słońcem. David leżał obok niej, prawym ramieniem podtrzymywał jej głowę i całował to lewą, to prawą sutkę jej piersi.

— Mają smak morza — powiedział.

— Zaśnijmy tak.

— A potrafiłabyś?

— Trudno byłoby długo leżeć z wygiętymi plecami.

— Wypłyniemy trochę dalej i wrócimy na plażę.

— Dobra.

Wyłynęli więc daleko, dalej niż kiedykolwiek, tak daleko, że oczom ich ukazała się druga zatoka, i jeszcze dalej, aż zobaczyli fioletową linię sterczących daleko za lasem gór. Położyli się znowu na wodę i przyglądali się linii brzegu. Potem zaczęli powoli wracać. Zatrzymali się na odpoczynek, najpierw kiedy przestali widzieć góry, a potem gdy już nie widać było drugiej zatoki. Wreszcie ruszyli szybkim kraulem z powrotem na swoją plażę.

---

<sup>23</sup> Elle est bonne... (fran.) — dobre jest morze. I ty też.

— Zmęczyłaś się? — zapytał David.

— Bardzo — odparła Marita. — Jeszcze nigdy tak daleko nie wypłynęłam.

— Serce wciąż ci wali?

— Ale jest dobrze.

David poszedł pod skałę, przyniósł butelkę Tavela i dwa ręczniki.

— Wyglądasz jak foka — oświadczył siadając obok Marity na piasku.

Podał jej butelkę, pociągnęła kilka razy i oddała mu ją. David też pociągnął głęboko, a potem, kiedy leżeli na gładkim, suchym piasku, a obok nich koszyk z prowiantem i zimne wino, Marita odezwała się:

— Katarzyna na pewno by się tak nie zmęczyła.

— Akurat. Nigdy w życiu nie wypłynęła tak daleko.

— Naprawdę?

— Dziewczyno, ty nie zdajesz sobie sprawy, gdzie myśmy byli. Nigdy nie widziałem z morza tych gór.

— Zgoda — uśmiechnęła się. — Nic dzisiaj już dla niej nie zrobimy, więc zapomnijmy przez chwilę o całej tej sprawie, dobrze?

— Dobrze.

— Czy jeszcze mnie kochasz?

— Tak. Bardzo.

— Nie wiem, czy nie zrobiłam jakiegoś strasznego głupstwa, a ty jesteś dobry i nie chcesz mi sprawić przykrości.

— Nonsens. Nie zrobiłaś żadnego głupstwa, a ja wcale nie jestem dobry.

Marita wzięła z koszyka pęczek rzodkiewek, jadła je powoli i popijała winem. Rzodkiewki były młode, chrupkie i ostre.

— Nie przejmuj się tym, że nie idzie ci pisanie — odezwała się po chwili. — Będzie dobrze. Ja to na pewno wiem.

— Na pewno.

Wyłuskał widelcem ze słoika kawałek karczocha, zamoczył go w musztardowym sosie przygotowanym przez Madame i wsunął do ust.

— Podaj mi wino — zażądała Marita, upiła spory łyk i wepchnęła butelkę dość głęboko w piasek.

— Wyśmienity obiadek przygotowała nam Madame — powiedziała Marita.

— Doskonały. Czy to A urol podbił jej oko?

– Tylko trochę.

– Dokucza mu swoim gadaniem.

– Jest pomiędzy nimi duża różnica wieku. Jeżeli go obraziła, to miał prawo ją uderzyć. Tak powiedziała. Pod koniec naszej rozmowy. Poza tym kazała ci coś przekazać.

– Co?

– Same miłe rzeczy.

– Ona cię kocha – zauważył David.

– Skądże, głuptasie. Ona jest tylko po mojej stronie.

– Nie ma już żadnych stron.

– Nie, oczywiście że nie. Nigdy ich nic było. Wszystko po prostu się stało.

– O tak, stało się – David podał jej słoik z kawałkami karczochów, drugi z musztardową przyprawą i sięgnął po Tavela. Butelka była wciąż chłodna. Pociągnął z niej.

– Jesteśmy pogorzalcami – powiedział. – Ta wariatka zrobiła z Bournesów pogorzalców.

– A Bournesowie to my?

– Oczywiście, że Bournesowie to my. Potrwa trochę, zanim załatwimy wszystkie formalności, ale już jesteśmy małżeństwem. Czy dać ci to na piśmie? Myślę, że to potrafiłbym napisać.

– Nie potrzebuję niczego na piśmie.

– Wypiszę ci to na piasku.

Spali głębokim, spokojnym snem do wieczora, a kiedy Marita się obudziła, słońce stało nisko i zobaczyła leżącego obok na łóżku Davida. Oddychał spokojnie. Patrzała na niego i pomyślała sobie, że widziała go z zamkniętymi powiekami i uśpionego dopiero dwa razy w życiu. Przesunęła wzrokiem po całym jego ciele, a on leżał spokojnie z rękami wzdłuż boków. Przeszła przez niego, w łazience spojrzała w długie lustro i uśmiechnęła się. Ubrała się i poszła do kuchni porozmawiać z Madame.

Kiedy po pewnym czasie wróciła do pokoju. David wciąż spał. Przysiadła na brzegu łóżka. W półmroku włosy jego wydawały się niemal białe, a twarz bardzo ciemna. Marita siedziała i czekała, żeby się obudził.



Byli w barze i pili whisky Haiga z Perrierem. Marita ciągnęła swoją powoli.

— Uważam, że powinieneś codziennie jechać sam do miasta, kupować gazety i czytać je w kafejce przy drinku. Szkoda, że nie ma tam jakiegoś klubu czy porządnej kawiarni, w której mógłbyś się spotykać z miłymi ludźmi.

— Rzeczywiście nie ma.

— Byłoby dobrze, gdybyś codziennie był trochę sam, to znaczy beze mnie, kiedy nie pracujesz. Za dużo kręciło się dokoła ciebie dziewcząt przez ostatnie tygodnie. Postaram się dla ciebie o męskie towarzystwo.

Będę zawsze dbała o to, żebyś się mógł spokojnie spotykać ze swoimi przyjaciółmi. Że tak nie było, to jeden z wielkich błędów Katarzyny.

— Nie robiła tego naumyślnie. Wina jest moja.

— Być może. Ale jak myślisz, czy będziemy mieli przyjaciół? Prawdziwych dobrych przyjaciół?

— Każde z nas już jednego ma.

— Ale czy znajdziemy jeszcze innych?

— Być może.

— A odbiorą cię mnie, bo będą mądrzejsi ode mnie?

— Nie będą mądrzejsi.

— Czy będą się zjawiali młodzi, ciekawi, pełni nowych pomysłów? Czy nie okaże się wtedy, że zaczęłam cię nudzić?

— Nie i nie.

— Zabiję ich, jeżeli tak będzie. Nie oddam cię nikomu tak jak ona.

— Świetnie.

— Bardzo pragnę, żebyś miał przyjaciół mężczyzn, przyjaciół z czasu wojny, żebyś jeździł z nimi na polowania i grał z nimi w karty w klubie. Ale chyba nie musisz koniecznie mieć przyjaciółek? Nowych, świeżych, które będą się w tobie durzyły, naprawdę cię rozumiały i te de?

— Nie uganiam się za dziewczynami. Dobrze o tym wiesz.

— Co chwila pojawiają się nowe. Każdego dnia. Nie można się mieć dość na bacności. Ty szczególnie.

— Kocham cię i jesteś moim partnerem. No, proszę cię, rozluźnij się. Bądź po prostu ze mną.

— Jestem z tobą.

— Wiem i szalenie lubię na ciebie patrzeć i wiedzieć, że jesteś i że będziemy ze sobą spali, i że będziemy szczęśliwi.

W ciemności Marita przytuliła się do niego, czuł jej piersi na swojej, jej ramię pod głową, jej usta na swoich ustach, dotyk jej pieszczotliwej ręki.

— Jestem twoją dziewczyną — powtarzała. — Twoją dziewczyną. Czymkolwiek jestem poza tym, zawsze będę twoją dziewczyną. Która cię kocha.

— Tak, najdroższa moja. Śpij dobrze. Śpij dobrze.

— Zaśnij pierwszy. Ja za chwilę wrócę.

Kiedy wróciła, spał. Wsunęła się pod prześcieradło i przytuliła do niego. Leżał na prawym boku, oddychał cicho i głęboko.

## ***Rozdział trzydziesty***

Gdy światło wczesnego poranka zaczęło zaglądać przez okno, David obudził się. Na dworze było jeszcze szaro. Spojrzał w okno i wzrok jego napotkał na zupełnie inne sosny niż te, które oglądał ze swojej sypialni, przestrzeń pomiędzy nimi a morzem wydawała mu się jakaś większa. Stwierdził, że zdrętwiało mu prawe ramię. Dopiero gdy całkowicie się ocknął, zorientował się, że leży nie w swoim łóżku, i dostrzegł leżącą obok uśpioną Maritę. Uświadomił sobie wszystko, co się stało, spojrzał na nią rozkochanym wzrokiem, przykrył jej pachnące opalone ciało prześcieradłem, pocałował ją leciutko w policzek, nałożył szlafrok i wyszedł w wilgotną świeżość poranka mając obraz jej urody pod powiekami. Wziął zimny prysznic, nałożył koszulę i szorty i poszedł do pokoju pracy. Po drodze zatrzymał się pod drzwiami Marity, otworzył je cichutko i popatrzawszy na uśpioną dziewczynę, ostrożnie je zamknął i poszedł dalej. Wyjął z szuflady ołówki i świeży brulion i zaczął pisać opowiadanie o ojcu i jego udziale w walkach z powstańcami Maji-Maji, które zaczęły się od przejścia przez gorzkie jezioro. Przeprowadził go i jego ludzi przez to jezioro i opisał ich pierwszy dzień i potworny wysiłek, i strach, jaki ich ogarnął, gdy spostrzegli, że wschód słońca zaskoczył ich w połowie przeprawy, którą zamierzali wykonać pod osłoną ciemności, i jeszcze nieludzki upał przyprawiający o malignę. Kiedy zbliżało się południe i od morza powiał świeży wschodni wietrzyk. David skończył opis nocy spędzonej przez ojca i jego ludzi w obozie rozbitym pod figowcami, gdzie spływała

woda z pobliskiej skarpy, i zaczął prowadzić ich stromą górską ścieżką na tę właśnie skarpe.

Wiedział teraz znacznie więcej o ojcu, niż kiedy po raz pierwszy opisywał tę historię, i w miarę pisania odkrywał wiele drobnych szczegółów, które czyniły z ojca postać bardziej konkretną, bardziej wyrazistą. Zrozumiał też, że na szczęście dla niego ojciec był bardzo skomplikowanym człowiekiem.

Pisało mu się gładko, bez pauz, przypominał sobie całe zdania z pierwszej wersji, powracały doń pełne, nietknięte, więc kładł je na papier, czasem poprawiał, przerabiał, skracał, zupełnie jak gdyby dokonywał korekty. Nie zabrakło mu ani jednego, a wiele było takich, które nie wymagały żadnych zmian. Gdy wybiła druga godzina, okazało się, że wskrzesił, odtworzył lub udoskonalił wszystko to, co za pierwszym razem kosztowało go cztery dni pracy. Posiedział w swoim pokoju jeszcze przez dłuższą chwilę i nie miał już żadnych wątpliwości, że każde stracone zdanie powróci do niego z biegiem czasu bez najmniejszego uszczerbku.

# Ernest Hemingway **Rajski ogród**



Ernest Hemingway (1899—1961), amerykański laureat Nagrody Nobla, autor m.in.

*Komu bije dzwon, Pożegnania z bronią,*

opowiadania *Stary człowiek i morze,*

jest dobrze znany polskiemu czytelnikowi.

Powieść *Rajski ogród* opublikowana została 25 lat po śmierci autora.

Akcja rozgrywa się w luksusowej scenerii francuskiej Riwiery lat dwudziestych, gdzie młody pisarz spędza miodowy miesiąc z piękną i bogatą żoną. Na horyzoncie pojawia się ta trzecia, równie piękna i równie bogata. Wynikiem jest skomplikowany układ erotyczny.



**Czytelnik**

ISBN 83-07-01875-7

600,—